Białe i czarne duchy

Gnatowski, Jan (1855-1925)

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/f3cf6974-0348-4565-a81a-dac64d08c0da
Data wygenerowania dokumentu pdf
18.06.2026

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony
Białe i czarne duchy
Autor
Gnatowski, Jan (1855-1925)
Data powstania dokumentu
1920-01-01
Język
polski

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Instytut Badań Literackich PAN

347783

JAN ŁADA

BIAŁE I CZARNE DUCHY

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Bibl. Centr.
Nr. 3698
w Inowrocławiu

Wydano z dubletów
Biblioteki Gł. U.M.K.

10 próśb książki do czytelnika

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami!
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przerzucaniu kartek!
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów!
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu!
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków, dopisków!
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek!

PTZG Oddz. Inowrocław 2 10000 511 5 48

Pow. Biblioteka Ce... Nr 3698 ... Inowrocławiu

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN BIBLIOTEKA

I.13.131

PUBLICZNA BIBLIOTEKA Inowrocławiu

8-3 tad Biał

B - 1337/751

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

— ...Zdarli mu skórę z pleców, wydłubali oczy, wszystko żywcem... I żywcem wrzucili do ziemi... Świadkowie powiadali, że ruszał się długo, długo...

Z ust bladej kobiety w czerni, słowa wychodziły twarde i bezbarwne, jak mechaniczne uderzenia drewnianych pałeczek o deskę. Śród zebranych ciszę głęboką przerwało wielkie westchnienie.

A siwa kobieta, siedząc bez ruchu z zaciśniętemi rękami i z wzrokiem wbitym w przestrzeń, mówiła dalej głuchym, martwym głosem.

— Jednego miałam... Tamtym zmarło się dawno... Tego dochowałam. Był silny i piękny. Jak piękny! I dobry! Doszedł dziewiętnastu lat, i wtedy zawołano nań, i poszedł, i nie wrócił... A ja zostałam... dlaczego?

W pytaniu zadźwięczało coś żywego. Jakaś bezradna troska i skarga. I milczące grono słuchaczy poruszyło się, kiwając głowami, przytakując.

— Poco my żyjemy wszyscy? — Ozwał się tłumiony głos z kąta.

— Tak, tak! — przywtórzyły inne głosy. — Poco?

— Moją matkę zamęczyli ukraińcy, jak bolszewicy zamęczyli pani Stężyńskiej syna, — zawołała z rozpaczliwym wybuchem jedna z kobiet. — I zostałam sama, jak ona, i jak ona nie umarłam dotąd ni z głodu, ni z bolu. Dlaczego, Boże, dlaczego?

— A moje dzieci zabrało cofające się wojsko do Moskwy i pewnie tam zginęły z nędzy!

— A wszystkim nam zniszczono mienie, popalono domy!

— Z głodu mrzemy i rozpaczy!

— Czy przynajmniej wrócimy kiedyś do zgliszczów naszych siedzib?

— Czy odnajdziemy tych, z którymi nas rozdzieliła ta straszna wojna?

— Kiedyż, kiedyż koniec przyjdzie tym okropnościom?!

Okrzyki krzyżowały się nabrzmiałe bolem i skargą, to znów niecierpliwe i gniewne. Z tych kilkunastu osób każda opłakiwała kogoś z najbliższych, każda miała krwawe krzywdy do pomszczenia. A przytem jedni dojadali resztek dawnego dostatku, podczas gdy inni marli już głodem. I wszyscy żyli w napięciu oczekiwania i wciąż zawodzących nadziei, w rozdźwięku wewnętrznym i tęsknocie.

W pokoju było prawie całkiem ciemno. Tylko okrągłe otwory gazowego piecyka jaśniały w mroku, jak krwawe źrenice potwora. Na dworze szalała jesienna wichura. Wiatr wył i jęczał potępieńczym głosem, siekąc naprzemian deszczem i śniegiem w szyby okien, zasłonięte storami. Od czasu do czasu silniejszy prąd po-

wietrza poruszał gwałtownie ramy okienne, probując wyrwać je z zawias. Wówczas któraś z kobiet wstrząsała się nerwowo. A potem znów zapadała ciężka cisza.

Szczodrowski, siedzący w kącie, nachylił się do sąsiadki i spytał niecierpliwie:

— W tej ciemności można sfiksować. Czy nie można zapalić światła?

Panna Jadwiga poruszyła głową, przecząc:

— Ciocia nie lubi. Mówi, że pociemku ma czasem wrażenie, że Henryś jest przy niej.

Szczodrowski ruszył ramionami.

— Zawsze te impresye i wizye! Jakby to mogło przynieść ulgę!

— Nie! To nie przynosi ulgi, ale absorbuje chwilowo.

— I gorzej jeszcze rozdrażnia.

— Pewnie, ale co tej kobiecie zostało, prócz jej boleści? Tem ona żyje...

Szczodrowski zamyślił się przez chwilę.

— Ha! Może pani ma słuszność — mruknął. — Właściwie to my wszyscy żyjemy naszym bolem... Gdyby nie to, czyżbyśmy się tu schodzili?

A tymczasem stary Oświeyko mówił trzęsącym się, urywanym głosem.

— Pani Stężyńska wie przynajmniej, jak zginął jej Henryś... jej opowiedzieli świadkowie... a o moim Bolku nikt nie powiedział, nikt nie wie! Ciało znaleźli całe w ranach, z bezkształtną twarzą, ale kto to zrobił, i kiedy, za życia li, czy po śmierci — kto mi to powie, mnie, ojcu?! I jak mi żyć, nie wiedząc...

— Jak nam wogóle żyć bez tych, którzy odeszli od nas przed czasem? — ozwał się głos z kąta.

— Tak, o tak! — podwyciła panna Izabela, ta, której matkę zamęczyli ukraińcy. — Jak nam żyć bez nich i bez wieści o nich.

— Co tam jest za strasznym progiem śmierci?

— Czy naprawdę przez tę okrutną przepaść nie masz żadnego mostu?!

— Most jest, ale nie każdemu pilno z niego korzystać!

Słowa te wymówił młody człowiek, siedzący naprzeciw piecyka i oświetlony padającym wprost na niego promieniem światła. Była to twarz bardzo blada i bezkrwista o kanciastych liniach i oczach głęboko zapadłych, żarzących się jak dwie pochodnie.

— Żarniewicz będzie nas znów nawracał na spirytyzm i ciała astralne! — uśmiechnął się Szczodrowski.

Ale panna Jadwiga nie podzieliła jego ironii.

— Dlaczegoby nie mógł mieć słuszności? — odrzekła. — Jeśli nawet to tylko złudzenie, cóż to szkodzi, gdy przynosi ukojenie?

Szczodrowski ręką machnął.

— I panią już przekabacił?

— Nie, ale ciocia po każdym seansie traci na parę dni martwotę swą i przygnębienie.

— Czy pokazują jej Henryka?

— Nie jeszcze, ale obiecują, a to wystarcza, by w tę nieszczęsną duszę wlać bodaj na czas jakiś moc życia.

— Czy raczej zgalwanizować ją fata morganą.

— A choćby? Wszystko lepsze od tej śmiertelnej apatyi, przerywanej konwulsyą rozpaczy.

— Nie sądzę, żeby to było lepsze. Kłamstwo gorsze, niż wszystko!

— A ja myślę, że kłamstwo może być cnotą, jeśli przynosi pociechę takim nędzarzom, jak ciocia.

— Dlatego też Żarniewicz kwitnie między nami, jak najwspanialszy z naszych stepowych burzanów! Każdy, prócz pani i mnie, a może prócz mnie jednego tylko, szuka za jego pośrednictwem rozwiązania zagadek, których rozwiązać nie można.

— Kto wie? — szepnęła cicho panna Jadwiga.

—. Ja też widzę, że i pani poddajesz się wpływowi tegoż szarlatana. — Ale panna Jadwiga nie słuchała go. Od chwili już uwagę jej pochłaniało to, co mówił Żarniewicz. Szczodrowski zwrócił mimowoli uwagę na ten głos niski i przytłumiony, a dźwięczny jak spiż, do którego domięszano dużo srebra. Głos płynął w ciemnej przestrzeni łagodnie i przekonywująco, pieszcząc słuch, wkradając się do mózgu, niby kropla za kroplą sączona oliwa.

— Ten hultaj bierze ich samym dźwiękiem i barwą intonacyi, — pomyślał gniewnie Szczodrowski. — Potem gra już na ich duszach jak na klawiszach fortepianu.

Żarniewicz zaś mówił dalej.

— Więc w owych rzekomych gusłach, jakie sto lat temu i mniej odprawiało pospólstwo, przyzywając duchy umarłych, mieści się wielka prawda i wielka mądrość. Lud przechował tradycyę odwieczną, której nić

zerwał dawno świat wykształcony. Ten sam lud, który w skarbnicy swych tajemnic chowa skrzętnie nazwy i właściwości leczniczych roślin, sposoby wspomagania ludzi i zwierząt, tak jak i środki szkodzenia im zbliska i zdaleka; ten sam lud, który umie tak dobrze czytać w księdze przyrody, do której dzisiejsi mędrcy zatracili klucz, — on zapamiętał także niejedną kartę z tajemniczej księgi zaklęć i błogosławieństw, z księgi otwierającej przed wtajemniczonymi pieczęcie grobu i nieśmiertelnego życia duchów. Ta wiedza prastara, przeciwstawiająca się zwycięskiemu rozwojowi chrystyanizmu, w pierwszych wiekach jego istnienia, ta gnoza starożytnych filozofów i kabalistów przechowuje się dziś w okruchach śród maluczkich, ale całość jej istnieje, a choć dziś niewielu tylko znana, oświeci blaskiem swym niedługo ludzkość całą.

Ale zgromadzenie, wsłuchane z początku z uwagą i skupieniem w słowa mówcy, poczęło niecierpliwić się jego długim wywodem. Po kątach ozwały się szmery, ktoś syknął, w pobliżu Szczodrowskiego zawiązano pół głośną rozmowę.

— Teraz doszedł już do Indyi, i pocznie rozpływać się nad cudami Joghów, — rzucił ktoś, siedzący wpobliżu.

— A z tego konika nie prędko zsiądzie, — odparł Szczodrowski, powstając, — trzeba iść do domu.

Ruszono się za jego przykładem. Odchodzący zbliżali się po kolei do pani Stężyńskiej, pochylając się nad jej ręką. Ona żegnała ich automatycznie i w milczeniu. Nie była już jednak tak obojętną, jak przed godziną.

Refleks światła, padający na jej twarz, wydobywał z jej szklistych źrenic iskrę życia.

— Żarniewicz nakręcił ją znów na swoje kopyto, — szepnął Szczodrowski, żegnając się z Jadwigą. — Myśli biedaczka, że wywoła jej Henryka.

— Oczywiście, wszakże to jutro dzień Wszystkich Świętych i wigilia Zaduszek.

— Będzie seans?

— Rozumie się.

— Tutaj?

— Nie wiem. Dowiemy się zapewne, gdy odejdą profani.

Dzwi do przedpokoju zamknęły się za ostatnim odchodzącym. Żarniewicz zakręcił guzik od światła, pogrążając na nowo pokój w ciemność, i począł mówić dalej swym miękkim głosem o srebrzystej barwie:

— Jest to najstraszniejszy z zabobonów, jakie szerzą zgodnie, choć w odmiennym kształcie, materyalizm z jednej strony, chrystyanizm z drugiej. Materyalizm przeczy istnieniu zaświata, chrystyanizm fałszuje zasadnicze o nim pojęcie. I to drugie zło, gorsze jest od pierwszego. Materyalistę bowiem przekonać można oczywistością faktów: chrześcijanin przekonany o nich, bluźni światłu i prawdzie, pacząc w potworny sposób najpromienniejsze z miediumicznych zjawisk, znieprawiając nieśmiertelną piękność świata duchów, obrzydłemi teoryami o wiekuistem odrzuceniu i męce. Sam krwawo bezlitośny wytwarza sobie bezlitośne bóstwo, i żelaznemi wrzeciądzami zawiera podwoje nieśmiertelnego życia, broniąc zazdrośnie dostępu żywym. I dlatego to, mate-

ryalistów witamy chętnie w naszym gronie, nie bojąc się ich skalpelu, podczas gdy fanatyk religijny znieważa nasze wierzenia i przeszkadza naszym pracom. Duchy potrafią działać swobodnie wobec negujących je świadków, ale odczuwają wstręt niełatwo dający się przełamać do kontaktu z ludźmi, których ideologia jest karykaturą wielkich prawd, objawianych na naszych zgromadzeniach.

Kilka pozostałych osób słuchało w milczącem skupieniu. Ale z głębi salonu ozwał się rozdrażniony głos starego Oświeyki, protestując:

— Co mi tam pan będziesz gadać o jakichś filozofiach, a jeszcze i do wiary przytyki czynić! Czy to takie rzeczy mogą wleźć do szlacheckiego łba? I co mi tam staremu na tych twoich duchach zależy? mnie ich wszystkich niepotrzeba... jednego ty mi daj, jednego pokaż, mego Bolka drogiego, a resztę...

Głos starego załamał się krótkiem szlochaniem. Żarniewicz zwrócił się ku niemu, pełen współczucia i słodyczy.

— Chcąc jechać z Sarn do Berdyczowa, musisz, szanowny sędzio, przejechać przez Równo, tak samo, jak z Brześcia do Warszawy nie możesz pominąć Siedlec. Wybrać się trzeba z przepustkami i aprowizacyą, nie będąc nieraz pewnym, czy się dojedzie i kiedy. Otóż wędrówka w zaświaty jest, sam sędzia przyznasz, czemś nieskończenie trudniejszem i dalszem od każdej ziemskiej podróży. Jakże chcesz odbyć ją jednym skokiem, bez przygotowań, bez upoważnień i bez środków ochronnych, oraz koniecznej pomocy?

Ale sędziemu Oswieyce argumentacya nie trafiała do przekonania.

— Gadaj co chcesz, a ja taki ciebie nie rozumiem. Wiem ja, co znaczy peregrynować, bom trzy tygodnie wlókł się z nemi babami w tiepłuszce. Przez Sarny i Równo przejeżdżałem mało nie sto razy, a i w Siedlcach wytrzymali nas kilka godzin podczas tej ostatniej podróży. Ale co to ma wspólnego z tymi waszymi seansami i wywoływaniem umarłych, tego dalibóg nie skombinuję. I ja przecie do mego Bolka nie pojadę, ani kuryerem, ani bumblem, tylko on nieborak ma przyjść do mnie, by uścisnąć swego starego i powiedzieć, jaką była jego ostatnia godzina. Ot i wszystko, a resztę możesz zapakować w gębę grubej Bercie i wystrzelić do wszystkich dyabłów!

— Nie rozumiemy się istotnie, ale mniejsza o to. Szło mi jedynie o podkreślenie trudności, jakie nastręcza kontakt żywych ze światem umarłych. To co nas od nich rozdziela, to przedewszystkiem materya. Wyzuwając się z materyi, żywy staje się umarłym. Kto zaś pozostając przy życiu pragnie obcowania z umarłymi, musi zwlec z siebie przynajmniej część doczesnej powłoki. Duch musi u niego przezwyciężyć materyę i ujarzmić zmysły. Inaczej będzie on mógł wejść w porozumienie jedynie z najnikczemniejszymi z mieszkańców przestworu. Wyższe duchy nie przyjdą na wezwanie istoty splamionej brudną gliną ziemi.

Zatrzymał się, a płomyki gazowego światła ślizgały się po jego kanciastych rysach i twarzy bez zarostu. Pani Stężyńska przysunęła do niego krzesło swe

tak blisko, że dłońmi dotykała prawie jego kolan. Panna Izabela przychylała się nad nim z drugiej strony, chciwie łowiąc każde słowo. Oświeyko wsadził swą wielką łysą głowę pomiędzy dwie kobiety i wpatrywał się w Żarniewicza szeroko rozwartemi wyłupiastemi oczyma.

A Żarniewicz mówił dalej z coraz większem namaszczeniem, jak kapłan, wykładający garstce adeptów tajemnice wiary.

— Jak zzuć z siebie doczesność i przezwyciężyć materyę? Mówiłem już o tem i raz jeszcze powtarzam. Trzeba wiele obcować z Bogiem, mało z ludźmi. Trzeba oczyszczać siebie codzienną medytacyą i kontemplacyą, trzeba wznosić się na wyżyny najsurowszej ascezy. Cała istota życia winna być jednem umartwieniem i jedną modlitwą. Ale nie tą ciasną modlitwą, jaką chrześcijanie zwracają ku sztucznemu wytworowi własnej wyobraźni, nie tą modlitwą, ujętą w ciasne ramki zmyślonych dogmatów i wyznaniowej wyłączności, jeno tą szeroką lecącą w górę, ku niebieskiemu światłu, ogarniającą jednaką miłością i troską wszystkie stworzenia cielesne i wszystkie duchy, zarówno białe, jak i czarne...

Ale Oswieyko przerwał mu w tem miejscu, uderzając gwałtownie dłonią po kolanie.

— A niechże acana kule biją! Ładne rzeczy wygadujesz! toż to ni mniej ni więcej, jeno kumanie się z dyabłami! Dziękuję pokornie za taką konfidencyę!

Żarniewicz zlekka zagryzł cienkie, bezkrwiste wargi.

— Nieporozumienie jest tylko w wyrazach, — odrzekł, siląc się na spokojność. — Panu dobrodziejowi

przypominają się baśnie słyszane w dzieciństwie od starej piastunki. Baśnie takie nie mogą się obejść bez dyabła z rogami i koźlem kopytem, jak szczupak faszerowany nie obejdzie się bez pieprzu. My jednak, którzy posiadamy wiedzę prawdziwą, my możemy jeno uśmiechnąć się z tego zabobonu i żałować tych niewielu, którzy dziś jeszcze wierzą w istnienie satyrów i faunów, przyodzianych w szwabski spencer i trójgraniasty kapelusz.

Ale stary szlachcic nie dał się przekonać.

— At, gadaj zdrów! ty wiesz swoje, ja swoje! A co wiem? to, czego mnie matka nauczyła w katechizmie. A co w katechizmie pisze się o złych duchach, to musisz pan wiedzieć, boś przecie katolik. W każdym razie ja nie myślę od tego odstąpić. Wiary nie porzucę, jak starych rękawiczek.

Żarniewicz ruszył zlekka ramionami, a na ustach pojawił mu się ledwie dostrzegalny uśmiech lekceważenia.

— Powtarzam sędziemu, że między nami jest jedynie różnica wyrazów. Nikt z nas nie myśli wyrzekać się wiary; dążymy przeciwnie do jej oczyszczenia i pogłębienia w duszach. A w duchy złe wierzymy tak samo, jak pan sędzia, choć nie nadajemy im pozoru pruskich kolonistów. Głównem zadaniem naszem jest odpędzanie od nas ich wpływu i natarczywości, jednanie udziału duchów czystych w naszej pracy.

— To niby znaczy aniołów? — zagadnął szlachcic, roztwierając szeroko oczy i usta.

— Jeśli pan chcesz... nie idzie nam o nomenklaturę, to pewne, że im dalej posuwamy się w naszych pracach i im bardziej podnosi się ich poziom, tem wyższe duchy przychodzą na nasze wezwanie, i tem mniej dokuczają nam duchy złośliwe, umiejące wobec mniej doświadczonych, podszywać się pod duchy jasne i bałamucić nieraz dłuższy czas swemi kłamstwami.

— Ale wkońcu potraficie je napędzić? — dopytywał się szlachcic.

— To właśnie jest celem naszej wiedzy i naszej pracy. Ale wiedza musi być pełną, a dusza nasza — ofiarną i wolną od wszelkiej skazy. Wtedy dopiero możemy zyskać posłuch u tych duchów, które pragniemy powołać. I to jest powód, dla którego tak długo przychodzi nam na nie czekać.

— Dlatego to, ja dotąd jeszcze nie doczekałam się mojej najdroższej mateczki! — wykrzyknęła rozszlochanym głosem panna Izabela.

— I Henryś nie przyszedł do mnie jeszcze, nie przyszedł, — szepnęła zmartwiałym głosem pani Stężyńska.

Oświeyko milczał przez chwilę.

— To może mój chłopiec przecie przyjdzie do mnie — westchnął. — On zawsze lubił dobraną kompanię, i nie zadawał się z hołotą. Nie dziw, że i teraz woli poczekać, aż wypłoszycie to piekielne tałałajstwo, a wtedy...

— A wtedy zjawi się z pewnością — oświadczył uroczyście Żarniewicz. — Gdybym tylko miał lepsze medium! — dodał ciszej sam do siebie.

— Nie kontent pan jesteś z Walka, — zapytała ciekawie Izabela, nachylając mu się do ucha.

— Oczywiście, że nie. To frant! Siłę ma, ale trzeba mu wciąż na pięty następować, żeby nie wyrznął jakiego kawała. No, ale nie długo będzie z tem może koniec!

— Koniec? — szeptała gorączkowo stara panna. — Chcesz pan porzucić Walka? masz pan kogo?

— Być może — szepnął zagadkowo.

I nakręcił guzik, uwalniając się powodzią światła, od niedyskretnej ciekawości panny Izabeli.

II.

Pokój był zupełnie ciemny. Małą lampkę w kącie przykrywała gruba zasłona, przepuszczając jedynie odrobinę szarego, matowego światła. Z poza zasuniętych firanek dochodziły tłumione odgłosy ulicznej wrzawy, tramwajowe dzwonki i poryki samochodów. Oprócz pianina i sofy pod ścianą, oraz stolika, stojącego pośrodku i otoczonego krzesłami, nie było w pokoju żadnych sprzętów. Na stole bieliły się arkusze papieru, przy którym leżały ołówki. Parę osób siedziało na sofie, kilka innych zbiło się w kącie, rozmawiając szeptem; co chwila otwierały się drzwi od jaskrawo oświetlonego przedsionka, i wchodził nowy gość, a z nim razem wpadała szeroka fala światła. Wchodzący rzucali półgłosem jedno i to samo pytanie, na które odpowiadano przecząco: — Nie! Żarniewicza jeszcze nie było, ale przyjdzie z pewnością, i Walek też przyjdzie, choć dziś rano wypraszał się

i chciał koniecznie seans odłożyć, wymawiając się nieusposobieniem. Była podobno między nim a Żarniewiczem awantura. Żarniewicz groził mu, że z nim zerwie i postara się o inne medium i dopiero pod tym naciskiem Walek ustąpił. Czy jest wyczerpany? Niewątpliwie, że jest: wszyscy to mówią i z twarzy mu to widać, ale Żarniewicz, to przecie mistrz w tych sprawach. On sobie z Walkiem poradzi.

Szepty stawały się chwilowo głośnymi rozgwarami, potem uciszały się i milkły. Po zgromadzonych przelatywał miły dreszcz towarzyszący zazwyczaj oczekiwaniu rzeczy ciekawych i niezwykłych. Wreszcie ktoś odsunął zasłonę lampy i obrzucił wzrokiem obecnych.

— Jesteśmy wszyscy.

— A tamtych niema.

— Czyżby... I czekamy od godziny.

W tej chwili jednak rozległ się donośnie dzwonek. Do pokoju wszedł Żarniewicz, a za nim wsunął się niezgrabnie młodzieniec, o twarzy okrągłej i nabrzmiałej, o rysach pogniecionych i jakby zatartych, o długich lnianych włosach, prawie całkiem białych i niebieskich, porcelanowych oczach. Ubrany był w długi, czarny surdut, jak szewski czeladnik w niedzielę. Idąc, suwał ogromnemi, płaskiemi stopami, ślizgając się bez szelestu i wyciągając do zebranych z bezmyślnym, zakłopotanym uśmiechem, czerwone łapy zimne i mokre, jak skóra węgorza.

Żarniewicz rozmawiał pocichu z grupą zebranych w przeciwległym końcu pokoju.

— Miałem z nim wielki kłopot — szeptał. — Z ra-

na już odmówił mi przyjścia, jak wiecie, teraz znów, powiada, że mu brak fluidu. Ja na to: mniejsza z tem. Spróbujemy, a jeśli się nie uda, odłożymy. Ale on jest wprost zacietrzewiony w swej ambicyi. »Mnie nie może się nie udać, mówi; ja nie miałem seansu, któryby się nie powiódł«. No i przyszedł wreszcie.

— I uda się, jak myślisz?

Żarniewicz ramionami ruszył.

— Byleby on nie zanadto oto się starał! — rzuci półgębkiem.

— Czy przypuszczasz...

Żarniewicz uśmiechnął się gorzko.

— Nie przypuszczam: wiem.

— Czy być może! przyłapałeś go.

— A skoro tak, cóż warte są wszystkie nasze obserwacye i badania?

Żarniewicz znów ramionami ruszył.

— Moi drodzy — rzekł — w świecie duchów nawet spotykamy się z najpospolitszem kłamstwem i oszustwem: cóż u ludzi? Widzieliście kiedy wierzenie, któregoby nie bezcześcili właśni adepci i kapłani? Zadanie nasze byłoby zaprawdę bardzo łatwe, gdybyśmy mieli narzędzia całkiem ideowe. Ale my miewamy jako pośredników najczęściej ludzi płatnych i żyjących z pośrednictwa, jak z rzemiosła. Jest to klucz zardzewiały, bez którego jednak nie jesteśmy w stanie otworzyć złotych podwoi prawdy.

Przy stole zaczynały się przygotowania do sensu. Walek certował się z panną Izabelą, żądając zgaszenia lampy.

— Ależ na poprzednich seansach zawsze się paliła — perswadowała stara panna.

— Bo ja nie jestem dziś w usposobieniu. A kiedy nie jestem w usposobieniu, światło gorzej przeszkadza i mnie i... im.

Równocześnie ozwało się pytanie, czy drzwi od sąsiednich pokojów zamknięte na klucz.

— Drzwi wewnętrzne zamknięte — ozwał się jakiś głos, — ale od przedpokoju niema klucza.

Z przedpokoju dochodziła głośna wrzawa. Służąca w podrażnionym tonie dowodziła, zaklinała się, narzekała. Klucz nie znalazł się.

Żarniewicz podszedł do medium z nasuniętemi brwiami.

— Dajno pan pokój figlom! — zauważył nakazująco. — Gdzie klucz?

Ale Walek przysięgał, że nie wie o żadnym kluczu. I cóżby mu przyszło z ukrywania go? Zresztą, jeśli o to szło, można było zrewidować mu ubranie i paltot, wiszący w przedpokoju. Żarniewicz machnął ręką i odszedł w głąb sali.

— Trzeba będzie dobrze Walkowi na palce patrzeć! — zauważył półgłosem do Pleszczyńskiego, tego, któremu bolszewicy wywieźli dzieci do Moskwy. — Mam wrażenie, że nie da się uśpić i sprobuje piaskiem w oczy sypać!

Pleszczyński rozglądnął się bezradnie, jakby szukając pomocy.

— Mój Boże! A ja tyle właśnie liczyłem na ten seans!

Żarniewicz rękami rozwiódł.

— Co ja poradzę? Cała nadzieja, że mój wpływ na niego silniejszym będzie od jego oporu.

— Nieszczęśliwa to rzecz być na łasce tak marnego indywiduum — wtrącił Mauszel, — uprawiający spirytyzm z namiętnością.

— A co to pan mówiłeś wczoraj? — zagadnęła z nerwową niecierpliwością Izabela. — Czy naprawdę myślisz o zastąpieniu Walka? Masz kogo?

Żarniewicz zawahał się z odpowiedzią.

— Nie mogę o tem jeszcze mówić — rzekł wreszcie przytłumionym głosem. — Zbyt ważna to sprawa, by ją puszczać na ludzkie języki, choćby wśród najbliższych. Dość z was będzie, jeśli powiem, że być może nie dziś to jutro znajdzie się wśród nas mistrz prawdziwy, znawca tajemnicy i pośrednik prawdy, wobec którego ja jestem jedynie lichym adeptem z opaską na oczach.

W gronie osób, otaczających Żarniewicza, zabrzęczało, jak w ulu.

— Mistrz? Znawca? Pośrednik? Któż to? Powiedz pan, na Boga! Kto? Gdzie?!

Ale Żarniewicz odwrócił się od ścigającej go garstki i podszedł do Walka, któremu młody Oświeyko, były porucznik marynarki, wiązał właśnie kunsztownym węzłem nogi i łokcie.

— Zaczynamy, czy co? — zawołał swym donośnym, wesołym głosem.

Żarniewicz skinął w milczeniu ręką, lampa zgasła. Zapanowała zupełna ciemność i cisza. Czekano w ro-

snącem naprężeniu nerwów, dotykając sobie nawzajem palców. Zjawa kazała na siebie czekać.

Nagle przebiegło obecnych westchnienie, wyrywające się ze wszystkich piersi. Ponad głowami ukazał się fosforyczny punkcik i począł wirować fantastycznie, podnosząc się, to znów opadając ponad stołem. Chwilę później ujrzano opodal drugi. Potem światełka znikły, a natomiast usłyszano wyraźnie uderzenie w klawisze, kilka lekkich urywanych taktów. I znów cisza. Przerwał ją tłumiony okrzyk kobiecy, potem parę innych okrzyków. Dał się słyszeć szelest, potem lekkie klaśnięcie.

— Ktoś mnie po włosach pogładził!

— A mnie pocałował w czoło!

— A mnie klasnął po fizyonomii.

— Mnie ktoś mokrą ręką schwycił za nos.

Ale Żarniewicz prosił o spokój, więc uciszono się, tylko porucznik, którego obliczu duch wyrządził niespodziewany despekt, nie mógł się uspokoić.

— Czekaj łotrze — mruczał pod nosem, — już ja ci nie daruję!

Seans szedł dalej, obecni nie dziwili się niesmacznym i wprost żakowskim wybrykom, jakich dopuszczały się duchy niższego rzędu. Bywał to najczęściej pierwszy akt, po którym dopiero można było przystąpić do następnych, do obcowania z wyższymi duchami.

Ale wyższe duchy ociągały się. Dawały wprawdzie o sobie znać zapachem esencyi różanej, czy jak twierdził porucznik, bergamotowej pomady, potem jednak znów poczynały latać fosforyczne ogniki, i ponawiały się złośliwe koncepty. Jedna z pań usiadła na czemś

kolącem, przypominającem jeża, podczas gdy Pleszczyńskiego ktoś wytargał za uszy. Nastrój się obniżał. Rozłamywał się łańcuch rąk, zebrani poczynali się niecierpliwić. W tem szmer rozmów półgłośnych przerwał nagły łoskot. Coś runęło na ziemię, i przez chwilę słychać było gwałtowne szamotanie się i sapanie.

— Światła! — krzyknął ktoś. — Światła prędzej.

Poznano głos porucznika Oświeyki. Żyrandol zajaśniał promienną łuną. Uczestnicy, w pierwszej chwili oślepieni światłem, ujrzeli młodego człowieka, trzymającego mocną dłonią za kołnierz Walka we drzwiach przedpokoju. Medium miało rozerwaną koszulę i potargane włosy. Rzucili się ku niemu wszyscy. Ale porucznik miał już czas obszukać kieszenie swemu jeńcowi.

— Patrzcieno państwo! — mówił, śmiejąc się; — toż to istny sklep norymberski. Czego tu niema! I gaza, mająca udawać zmateryalizowane duchy, i piórka do łechtania, i banieczka z perfumą bergamotową, a ot i pudeleczko z fosforem do nacierania palców, żeby świeciły się w ciemności... Wszystko, czem nas ten łotr tumanił! Ale, że mu udało się rozwiązać ten marynarski węzeł, którym go ścisnąłem... Niema co, majster z niego!

Porucznik się śmiał, ale ojciec jego był niepocieszony.

— Tobie śmiech, mnie płacz, — narzekał. — Jeśli z tego chłopaka oszust, któż mi pokaże mego Bolka?

— Nie mówiłem to papie tyle razy, że wszystko to głupstwo i zawracanie głowy — odburknął młody.

— Dobrze ci gadać! Tobie Bolek był brat, mnie

on syn... I ja już nigdy chyba nie dowiem się, jak on umarł!

Głos starego szlachcica brzmiał rozpaczliwem rozczarowaniem. Wśród większości zebranych dawał się odczuć ten sam nastrój.

— Cóż zatem było prawdą, a co oszustwem i złudzeniem? — pytali jedni.

— Cóż teraz mamy czynić i jak dostać się do naszych drogich? Czy już nie potrafimy zetknąć się nimi? — szeptali inni, ogarnięci nagłą trwogą.

Byli i tacy, którzy gniewali się na marynarza. Jeśli to była fantasmagorya tylko, poco z niej budził? Była słodką, a teraz...

Ale Żarniewicz pospieszył opanować ogólne wzburzenie. Zaczął od tego, że kazał Walkowi ruszać precz. Chłopak uniewinniał się i buczał wielkim głosem, całując bliżej stojących po rękach, ale to jeszcze gorzej psuło sprawę. Wreszcie pozbyto go się i większość uczestników poszła za nim do przedpokoju, szukając okryć i parasoli. Żarniewicz jednak zastąpił im drogę.

— Nie puszczę was póki mnie nie wysłuchacie! — mówił, zastawiając sobą drzwi wchodowe. — Cóż u licha! Jam przecie nie oszust i mam prawo bodaj do tego, by mi powiedziano: »Bywaj zdrów!« Więc chwilka jeszcze cierpliwości, a potem, jeśli zechcecie, rozstaniemy się bez pretensyi.

Nie sposób było odmówić mu słuszności. Wrócili więc wszyscy do seansowego pokoju, niektórzy nie zdejmując paltotów, i zasiadłszy przy stole lub podpierając ścianę plecyma, słuchali jego wywodów.

On zaś przypominał im, jak wśród pierwszej fali uchodźców ze wschodu tęsknota, niepokój, rozpacz pchnęły niektórych do szukania odpowiedzi na trawiące ich pytania w seansach. Przypomniał pierwsze ich prace, trudności, jakie musieli przezwyciężać, zwłaszcza z mediumami, z których najpożyteczniejszym był jeszcze przecie Walek... On, Żarniewicz, poznał odrazu lichotę moralną tego chłopaka i dziś jeszcze ostrzegał przed nim; używać go jednak musiał z powodu siły, jaka w nim tkwiła, ale miała i w tem wkrótce zajść zmiana. Jaka zmiana? Bracia w duchu, uczestniczący w tych zebraniach, dowiedzą się o tem rychło... Będzie to wielka rzecz. Należy ukorzyć się w Panu, skupić ducha i czekać.

— A tymczasem nie możemy porozumiewać się z naszymi drogimi? — wykrzyknęła z żalem panna Izabela.

— Owszem, musimy tem bardziej starać się o zetknięcie z nimi, nie zrażając się przeszkodami. Na miejsce medium, którego musieliśmy się pozbyć, szukajmy innego. A nadewszystko prośmy duchy, by same zechciały objawić nam wolę swą i jestestwo...

Urwał w pół zdania. Okrągły stół, dokoła którego siedziało wprawdzie kilka osób, nie tworzących jednak łańcucha, poruszył się nagle i podniósł w górę tak, że obecni ujrzeli nogi jego narówni z własnemi głowami. Równocześnie przeleciał po pokoju mimo szczelnie zamkniętych drzwi i okien chłodny, wilgotny przewiew i żyrandol elektryczny, niedotykany niczyją ręką, zgasł nagle. Równocześnie panna Izabela, siedząca obok Żarniewicza, pochyliła się całem ciałem wstecz i opadła ciężko

na oparcie fotelu. Żarniewicz zerwał się i podbiegł do niej, chwytając rękę, obwisłą bezwładnie.

— Jest w pełnym transie, — zawołał drżącym ze wzruszenia głosem. — Panowie! Łączcie się co prędzej w łańcuch! i wznieście w górę serca! Coś wielkiego idzie! Jakiś duch potężny daje znać o sobie!

Nikt nie odpowiedział, nie pytał: Wszyscy znaleźli się ramię przy ramieniu dokoła stołu, który tymczasem opuścił się na ziemię. Oczekiwanie przejęło wszystkie dusze i blada trwoga.

W głębokiej, strasznej ciszy, zalegającej ciemną przestrzeń, rozległ się głos Żarniewicza, poważny i uroczysty:

— Królu duchów, jaśniejących w przestrzeni i odradzających się męką wcieleń do wyższego bytu! Wejrz na nasze usiłowania i porywy i nadzieje! zeszlij nam duchy jasne, by nas wywiodły w górę, w światło, w absolut!

— Daj mi ujrzeć mego Bolka — szeptał Oświeyko, tłumiąc łkanie.

— Powróć mi, choć na chwilę, mego Henrysia — mówiła drewnianym swym głosem pani Stężyńska.

— Chroń i wróć mi dzieci — jęczał Pleszczyński.

Inni także szeptali życzenia swe i inwokacye. Wszystkie serca ściśnione były przerażeniem i oczekiwaniem tego co miało przyjść; przez wszystkie usta cisnęła się z głębi jaźni boleść i troska.

Ale Żarniewicz skinął, uciszając szmery.

— Duchu, który schodzisz ku nam, daj nam znak swego przyjścia, iżbyśmy wiedzieli, że jesteś z nami!

Słowa Żarniewicza nie przebrzmiały jeszcze, kiedy wśród zebranych rozległ się huk, do piorunowego podobny, ale krótki i urwany, jak błyskawica. Było to tak, jak gdyby ktoś z niesłychaną mocą uderzył w stół dębowy. Trzymający łańcuch cofnęli z przerażeniem dłonie. Ale stół nie poruszył się. Porucznik pochylił się ku niemu, przyświecając sobie elektryczną latarką.

— Blat rozpękł się na dwoje, — rzekł poważnie.

— Trzymać łańcuch, — nakazał Żarniewicz.

Ręce połączyły się posłusznie. Wszyscy trwali w milczeniu. Wtem z ust medium poczęły wyrywać się naprzód niewyraźne, potem coraz głośniejsze jęki. Ręce uśpionej kobiety wyciągały się przed siebie, jakby chciały przed czemś zasłonić się, coś odepchnąć. Luźnych wyrazów, wyrywających się z ust, niepodobna było wprawdzie zrozumieć: odczuwało się jednak straszliwy lęk, wstręt i opór, a siła tych uczuć była tak wielka, że świadków mróz obleciał.

Szczęściem jednak, przykra ta scena trwała krótko. Uśpiona kobieta umilkła i uspokoiła się. Powieki rozwarte przed chwilą przerażeniem, jakby wobec jakiegoś okropnego zjawiska przymknęły się teraz, głowa opadła bezwładnie, dłonie obwisły sztywno. Żarniewicz pochylił się ku niej, zadając półgłosem jakieś pytanie, na które ona odpowiedziała.

— Duch, który dał znać o sobie, zjawi się wnet przed nami, — obwieścił uroczyście przewodnik seansu.

Cisza zaległa. W powietrzu zdawało się unosić coś niewidzialnego a istniejącego. Ale zjawa nie ukazywała się. Ponad stołem, u samego sufitu zabłysło kil-

ka fosforycznych nitek i wnet rozwiało się bez śladu. Klawisze pianina ozwały się dźwiękiem tak cichym, jak muśnięcie skrzydła i umilkły. Ciemną izbę zapełniło głuche milczenie.

Żarniewicz przechylił się nad medium.

— Czy duch nie zjawi się?

— Zjawi się, ale nie zaraz. Jest on wielkim i władnym i dlatego większej potrzeba siły dla zjednania go waszym prośbom.

— Wszakże jest między nami, bo dał znak.

— Jest, ale nie pojawi się póki nie przyjdzie ten, który ma moc przywołania go.

— Czy to ten, na którego oczekuję?

— Ten sam. Ale i on nie sprowadzi ducha, jeśli wszyscy nie wesprzecie go kornem a mocnem błaganiem.

Żarniewicz wyprostował się.

— Wszyscy na kolana, — rozkazał. — Módlmy się do Króla duchów.

W ciszy słuchać było szept poruszających się ust. Naraz rozległ się drewniany głos pani Stężyńskiej.

— Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

— On nie chce, by do niego przemawiano bezmyślnemi formułkami, — zauważyło medium. — On żąda hołdu własnej myśli i serca.

Pani Stężyńska umilkła, szepty ustały. Po dłuższej chwili zebrani powstawać poczęli z klęczek, zajmując dawne miejsca.

— Czy ten, którego czekam, nadejdzie dzisiaj? — zagadnął, podnosząc się z klęczek Żarniewicz.

— Nadejdzie zaraz. Widzę go przechodzącego ulicą... oto jest przy waszym domu... wszedł do windy...

Zabrzmiał dzwonek.

— To profesor — ozwał się Żarniewicz. — To ten mistrz, któremu niegodnym rozwiązać rzemyka obuwia. Od chwili, gdy wejdzie tu, przy nim przewodnictwo i władza.

W ramach rozwartych drzwi do przedpokoju ukazał się człowiek niemłody już, szpakowaty, wygolony, w księżym kołnierzyku, i pastorskim surducie poniżej kolan. Rysy miał nie znaczące, ale w spojrzeniu czuć było wielką moc, a zaciśnięte usta znamionowały wolę. Żarniewicz pokłonił się przed nim nisko, on włożył mu na głowę obie dłonie, szerokim, hieratycznym ruchem.

— Profesor! — oznajmił Żarniewicz uroczyście.— Ten, który miał przyjść.

Profesor zbliżył się naprzód do medium i przez chwilę trzymał nad nim wyciągnięte dłonie, potem zamienił parę cichych wyrazów z Żarniewiczem i zajął jego miejsce.

— Pomódlmy się — rzekł głosem słodkim, wkradającym się w słuch, jak krople płynnego miodu lub oliwy.

I stał przez chwilę nieruchomy, z oczyma ekstatycznie podniesionemi w górę, z rękami złożonemi, jak przy ołtarzu. Potem wyciągnął ręce ponad pochylonemi głowami, jakby je chciał osłaniać, czy błogosławić.

— Zacznijmy — rzekł. I znów zapadła cisza. Nikt nie śmiał poruszyć się, zdawać się mogło, że się

słyszy przyśpieszone tętno serc. Mijały długie ciężkie chwile.

— Nie jeszcze? — szepnął Żarniewicz, nachylając się do celebrującego profesora.

— Nie.

I znów trwało oczekiwanie.

Wreszcie profesor spytał.

— Czy medium nie może powiedzieć, czego duch żąda od nas, by się ujawnić?

— Silniejszego napięcia woli i pragnień — brzmiała odpowiedź.

— Chciejmy! — rozkazał z naciskiem profesor, wznosząc obie ręce w górę.

Odpowiedziało mu jedno wielkie westchnienie, wydzierające się ze wszystkich piersi.

— Błagajmy! — rozległ się raz jeszcze głos profesora.

I znów płynęły ciężkie, leniwe chwile.

Nagle Żarniewicz dotknął zlekka ramienia profesora, wskazując mu oczyma świetlny punkt w górze. Profesor odpowiedział mu lekkim ruchem głowy.

— Jest! — przeleciało mu przez usta, jak tchnienie.

Istotnie w górze, ponad stołem, zabłysł błękitny ognik. Nie wykonywał jednak żadnych ewolucyi, nie ruszał się: wisiał i świecił, jak lampka w ciemnym kościele. Ale choć nie było w nim ruchu, była odmiana. Rósł z ognika, zmienił się w świetlną kulę. U szczytu kuli tej wyrosło coś w rodzaju mniejszego koła, potem fosforyzujące światło wydłużyło się w dół, przybiera-

PUBLICZNA BIBLIOTEKA Inowrocławia

jąc zwolna kształt ludzkiej postaci. Postać ta, zarysowująca się z początku jedynie zewnętrznemi liniami, poczęła zwolna modelować się, aż stała się całkiem wyraźna. Było to świetliste podobieństwo młodzieńca w wojskowej bluzie i pełnym rynsztunku, o rysach chłopięcych niemal jeszcze, ale pełnych rycerskiego animuszu. Postać kołysała się przez chwilę w górze, potem spłynęła wolno w stronę pani Stężyńskiej.

— Mój Henryś! — rozległ się okrzyk niewysłowionego szczęścia.

I dwie postacie, jedna czarna ze srebrną smugą ponad czołem, druga świetlista, jak księżycowa łuna, zlały się z sobą w uściśnieniu, wśród cichego szlochania.

— Henryś, mój, mój! — szeptały wśród pocałunków drżące wargi starej kobiety.

Po sali rozbiegły się szepty pełne zdumienia.

— On!... ani wątpić, taki sam właśnie, jak go widziałem ostatni raz. Dziw, dziw!

Żarniewicz nachylił się do medium.

— Czy duch pozwala pytać się bezpośrednio?

— Duch pragnie chwilę jedną poświęcić najdroższej mu istocie — odrzekło medium. — Wnet potem pragnie wejść w kontakt ze wszystkimi, będzie odpowiadał na ich pytania i udzieli im rad zbawiennych.

— Czy duch, który zmateryalizował się w tej chwili, żył dawniej, jako Henryk Stężyński? — spytał profesor.

— Tak jest.

— Czy jest szczęśliwym i czy nie potrzebuje pomocy?

Zapytanie to wymówione zostało niepewnym nieco głosem przez pannę Jadwigę.

Medium odpowiedziało bez wahania:

— Tak, jest szczęśliwy i od nikogo nie potrzebuje pomocy. Sam owszem może dopomódz i opieką swą otoczy najbliższych.

Nikt nie zadał na razie innego pytania. Ale medium niepytane mówiło dalej:

— Duch życzy sobie, by go zwano nie jego dawnem imieniem ziemskiem, jeno innem, jakie mu przypadło w świecie duchów. Chce, by go zwano Mocnym nietylko podczas seansu, ale i w rozmowach między uczestnikami. Henryk umarł, Mocny żyje i żyć będzie. I okaże swą moc.

I nagle podnosząc głos zamagnetyzowana jęła mówić z namiętnem poruszeniem i energią:

— Bo on jest władny i posłuchu żąda. Chylcie głowy, słuchajcie, słuchajcie!

Zapanowało przez chwilę milczenie. Wszyscy czuli lęk głęboki i znicestwienie własnej jaźni wobec tego czegoś wielkiego, co przygniatało ich w proch, unosząc się ponad nimi wysoko, jak słońce ponad gwiazdami.

Ale młody Oświeyko, który miał duszę żołnierską, pochylił się do siedzącego obok Pleszczyńskiego i szepnął mu, ruszając ramionami:

— Dziwna rzecz doprawdy. Znałem przecie tak dobrze Henryka... Choć młodszy o parę lat, nie miał przedemną tajemnic i mogę powiedzieć, że czytałem w jego duszy, jak w otwartej księdze. Było chłopczysko proste, szczere, wesołe, trochę dzieciak, kawał szaławiły.

i teraz on ma udzielać rad zbawiennych i sterować tymi, co w przededniu śmierci mieli go za dziecko! Niepojęte!

Ale Pleszczyńskiemu kamieniem leżał na sercu los jego dzieci w Moskwie. Chciał wierzyć, by w wierze znaleźć pociechę i krytyka go drażniła. W tej chwili jednak dał się znów słyszeć głos medium:

— Jest między wami jeden niewierzący, ale dla wiary innych dany wam będzie znak nowy, i znak ten niewiernego przekona.

— Niewierny to ja, — szepnął porucznik nawpół do siebie, na wpół do siedzącej przy nim z drugiej strony Jadwigi. — Ale naprawdę, to ja nie jestem niewierny, bo i jak nie wierzyć temu, co na własne oczy oglądam, tylko poprostu nie rozumiem, nie rozumiem nic a nic!

Panna Jadwiga jednak nie odpowiedziała młodemu człowiekowi i nie słyszała zapewne, co jej szeptał. Oczy miała wlepione w eteryczną postać, falującą ponad stołem, a z oczu płynęły jej jedne za drugiemi łzy.

— Henryku, Henrysiu nasz, drogi, drogi...

Promienna postać odchyliła się w tej chwili od kobiety w żałobie, podpłynęła w stronę Jadwigi. Wszystkie oczy szły za nią. Postać zatrzymała się przy młodej kobiecie, opierając dłonie na jej ramionach. Przez chwilę widziano poruszające się usta widma i słyszano tłumiony szept. Panna Jadwiga musiała szept ten rozumieć, kilkakrotnie bowiem dawała znaki przyzwolenia; potem jednak wzdrygnęła się nagle, zaprzeczając energicznie dłonią i ręką. Ale widmo zdawało się nastawać, po chwili głowa młodej kobiety zwisła bezwładnie, a cień pochylił się i złożył pocałunek na jej czole. I wnet po-

teni rysy młodzieńca w wojskowej bluzie poczęły zacierać się i zlewać w niewyraźny, fosforyzujący obłok. Obłok wznosił się jeszcze czas jakiś między stołem a sufitem, świecąc sinawym odbłyskiem, potem rozpłynął się zwolna, zostawiając jednak malutki świecący punkcik; punkcik ten poruszał się zlekka, jak owad, krążący w letni wieczór dokoła rozkwitłego kwiatu. Przez mgnienie oka nie można go było dostrzedz, tak zmalał, potem począł znów rysować się wyraźniej, wydłużył się, rozświetlił, aż wreszcie widzom, śledzącym chciwie i z zapartym oddechem tę ewolucyę, przedstawiła się całkiem jasno postać ludzka, do poprzedniej podobna, ale przecież inna. Była to także postać młodzieńca, ale już nie nawpół dziecinna, jak tamta, o kilka lat starsza, z junacko podkręconym wąsem i krótką, przystrzyżoną brodą, w podobnym mundurze wojskowym, jak tamta. I powtórzyło się to wszystko, co zaszło z poprzednią zjawą. Widmo podpłynęło do starego Oświeyki i złączyło się z nim długim uściskiem. Stary trząsł się i szlochał głośno, powtarzając, jak przedtem pani Stężyńska, imię zmarłego syna i bełkocząc coś niewyraźnie, czego nie mogli dosłyszeć sąsiedzi.

Jak przedtem z matką Henryka i z Jadwigą trwał przez czas jakiś ten dyalog dziwny, niedosłyszalny dla nikogo, a przejmujący duszę wszystkich do głębi. Starzec zdawał się pytać, a potem słuchał z natężeniem: duch jakby opowiadał, a w miarę tego opowiadania Oświeyko uderzał w dłonie, z wyrazem zdumienia i bolu, to znowu podnosił je w górę, a twarz rozjaśniała mu się radością i dziękczynieniem. A potem znów tak się wy-

dało, jakby duch czegoś żądał i o coś nastawał. Stary przez chwilę jakby się wzbraniał, ale gdy widmo cofnęło się odeń, wyciągnął ku niemu ramiona, potakując głośniej niż przedtem, tak, że obecni mogli posłyszeć parę oderwanych słów: »Ależ tak, skoro każesz... musi się stać jak chcesz... musi to zrobić«...

Nim skończył wymawiać te wyrazy, widmo pochyliło się nad nim raz jeszcze i poczęło rozpływać się w siną mgłę, po której wnet nie zostało i śladu. Mrok zapełnił salę, potem nagle, nie dotknięty niczyją ręką, zapalił się elektryczny żyrandol. Seans był skończony.

III.

— Mówię ci, że od tego nieszczęsnego seansu, w zaduszny wieczór, jakby siekierą uciął. Coś stało się i z ojcem i z marszałkową i z Jadzią. Z nimi trzema właśnie, z którymi rozmawiały oba upiory. Żadne z nich nie chce ani słowem wspomnieć, o czem była rozmowa, ale wobec mnie i mego kochania budują razem we troje mur, któremu z dniem każdym przybywa cegieł i mocy. I ot widzisz, ja, co przed paroma tygodniami pewny byłem przyszłości, czuję teraz, że mi się załamała... Stałem na powierzchni, w słońcu, a teraz dokoła mnie ciemności, jestem jak w lochu i czuję, że odchodzi ode mnie szczęście.

Szczodrowski słuchał żałosnych słów Jurka Oświeyki z głową opartą na dłoni i z chmurnie ściągniętemi brwiami. Choć o kilkanaście lat starszy, był on serdecznym przyjacielem młodego marynarza. Majątek

Oświeyków graniczył z jego posiadłością, sędzia był mu opiekunem. Gdy go wcześnie odumarli rodzice, Szczodrowski stał się z kolei jakby starszym bratem i przewodnikiem młodych Oświeyków, prostując młodzieńcze zboczenia, zasłaniając przed wybuchami ojcowskiego gniewu. Potem przyszła burza, która pochłonęła Bolka, a ich wyrzuciła na bruk stolicy. I wtedy na tragicznem tle ogólnych wypadków zawiązała się ta wiośniana idylla dwojga młodych serc, domagających się szczęścia, choć wokół biły pioruny i potokiem lała się krew.

Szczodrowskiemu ścisnęło się serce przy tem wspomnieniu. Ale opanował się, karcąc duszę za jej swawolę, i słuchał dalej Jurka z wyrazem współczucia na pobladłej twarzy.

A porucznik mówił głosem, łamiącym się z bolu:

— Byłeś przy tem od początku... Pamiętasz ten karnawał w Kijowie, ostatni przed wojną i ten wieczór u Iwanczewskich, gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy. Miała na sobie suknię mieniącą się srebrem i ciemne róże... Ze mnie był przecie smarkacz jeszcze i dotąd ani w głowie postały mi takie rzeczy, ale gdym ją zobaczył, powiedziałem sobie: »Ta, albo żadna!« I los mój był rozstrzygnięty. Pamiętasz? Zwierzyłem ci się zaraz, choć ludzie mówili, że miałeś się do niej — ale to był wymysł, bo czyżbyś mnie przyjął był tak poczciwie, czyżbyś mnie zachęcał do wytrwania w tem uczuciu, do zasłużenia sobie na wzajemność? Być może, że takim dzieciakiem będąc, dałbym zewnętrznym wrażeniom stłumić rodzące się uczucie, gdybyś mnie był oblał konwią zimnej wody. Aleś ty nie uczynił tego i uczucie pozo-

stało, rozkwitając w duszy mej, jak kwiat... Była to ochrona przeciw pokusie zmysłów, jakby ryngraf, zasłaniający pierś. I z ryngrafem tym przeszedłem zawieruchę wojenną i wychodzę z niej, nie zmarnowawszy, nie skaziwszy nic, taki, jakim mnie zastała...

Urwał i trwał pogrążony w myślach. Szczodrowski słuchał go nieruchomy w swym fotelu.

— Potem los nas rozrzucił. Mnie chwyciła wojna, ją na długo odcięła od kraju nieprzyjacielska granica. Spotkałem się z niemi przed rokiem, jako towarzysz broni Henryka, potem na uchodźtwie, dokąd pani Stężyńskiej przywiozłem wieść straszną o jedynaku. I tak dziwnie się stało, że w tej niedoli zbliżyły się nasze dusze... Nie trzeba było zwierzać się z tem: zrozumieliśmy odrazu, że Bóg nas dla siebie stworzył, aleśmy milczeli, bo ona była jedyną dźwignią i pociechą przybranej matki, a wobec świeżej mogiły jakże było mówić o szczęściu?

— Oczywiście! Bez wyraźnego mówienia jednak byłeś przekonany, że masz przyzwolenie panny Jadwigi?

— Miałem je. Czy takie rzeczy wyrażają się tylko słowami? Od przyjazdu chodziłem codzień do tych pań; rozumie się, przedewszystkiem dla opowiadania biednej marszałkowej o Henryku, ale przecież i dla spojrzenia w oczy kochanej dziewczynie, i szepnięcia jej takiego sobie słówka, jak: »po zawierusze, prawda?« Na to ona ściskała mi rękę i kazała modlić się za Henryka i o pociechę dla ciotki. Wiesz, jak to kobiety umieją...

— A teraz? — przerwał Szczodrowski z odcieniem niecierpliwości w głosie.

— A teraz ona odwraca się odemnie, wybuchając rozpaczliwem łkaniem i woła przez łzy, że powinienem odejść od niej, bo ona nieszczęście tylko może przynieść. A potem powiada, że jakaś otchłań ją ciągnie, że ciąży nad nią jakaś moc, i że mocy tej ona nie zdolna się oprzeć. A wtedy wyciąga do mnie ręce, błagając, bym ją ratował i wyrwał z niedoli gorszej, niż śmierć... Wczoraj jeszcze mówiła mi, łkając, że szczęście swe pogrzebała już, ale że grozi jej coś, stokroć gorszego niż utrata szczęścia, bo podeptanie duszy własnej i hańba... i ja muszę tego słuchać bezradnie, nie mogąc dać jej ratunku. Cóż ty na to, Władku?

Szczodrowski zacisnął rozpaczliwie ręce.

Nieszczęście, — szepnął — co stało się tej dziewczynie?

— Nie dość na tem — mówił marynarz. — Słuchaj dalej. Wspomniałem jej raz mimochodem, że gdyby Henryk żył, stanąłby z pewnością po mojej stronie. Czy wiesz, co mi odpowiedziała? — »Henryk! ależ w nim źródło mego nieszczęścia i tego co już jest i tego, które grozi«. — Rozumiesz ty to?

— Oszaleć przyjdzie! A cóż na to wszystko marszałkowa?

— Pani Stężyńska? Widziałeś ją po Zaduszkach?

— Byłem kilka razy, ale raz tylko zastałem. Zawsze była zajętą, oczywiście spirytystycznemi gusłami.

— I nie zauważyłeś w niej różnicy?

Szczodrowski zastanowił się.

— Wiesz, że tak, to była dawna marszałkowa, jaką znaliśmy przed jej nieszczęściem. Mówiła swobo-

dnie, interesowała się, w oczach jaśniało życie... uderzyło mnie to w pierwszej chwili, potem jednak ześliznęło się po pamięci.

— Otóż widzisz, taką ona jest teraz ciągle. Poprostu wstała z grobu i żyje. Ale cóż? Cieszyłbym się tą odmianą z całego serca, gdyby nie przynosiła mi tyle złego. Bo co mi Jadwiga mówi o Henryku, tego ja nie jestem w stanie sprawdzić, ale to co robi Stężyńska, to widzę codzień.

— Chce od ciebie oderwać siostrzenicę?

— Wszystkie manewry kobiece są w toku: odprawianie mnie ode drzwi, wysyłanie Jadwigi gdy przyjdę, przeszkadzanie naszym rozmowom, nie mówiąc o aluzyach i przytykach. Nie poznałbyś marszałkowej, tej tak dobrej, słodkiej, prostodusznej kobiety, którą znaliśmy. A w dodatku ma ona całkiem niespodziewanego sprzymierzeńca — wiesz w kim? W moim ojcu.

— W twoim ojcu, cóż sędzia ma do tego?

— Alboż ja wiem? Widma musiały im rozkazać, zarówno Stężyńskiej, jak i ojcu, te przeklęte widma, które wpakowały się nam w drogę życia i paczą ją, krzywią charaktery, doprowadzają do waryacyi.

— Masz słuszność! I ktoby się tego mógł spodziewać po człowieku, tak szczerze i tak poprostu wierzącym, tak praktycznym i trzeźwym. Ale jak do tego przyszło?

— A ot jak. Zaczęło się od wyrzutów, dlaczego nie przychodzę na seans, dlaczego taki zły brat ze mnie, że mogąc obcować z Bolkiem, nie staram się o to.

— A ty na seansach teraz nie bywasz? Bo zdawało mi się, że dawniej uczęszczałeś pilnie?

— Tak, póki to miałem za zabawkę, opartą częścią na szarlataneryi, częścią na sugestyi, lub na niezbadanych dokładnie siłach mechanicznych. Chodziłem wtedy trochę z nudy, trochę z ciekawości. Ale gdym zobaczył, że to nie takie sobie szalbierstwo, ale coś od szalbierstwa gorszego, coś, co wchodzi w życie w sposób szkodliwy i niebezpieczny, coś, co przekracza szranki, ustanowione między życiem a śmiercią i łamie cały ład życia, wówczas powiedziałem sobie: »Dosyć!« i nie poszedłem więcej!

— Mimo zjawy brata?

— Właśnie dlatego, że do zjawy tej przyszło. Cóż to, proszę ciebie? Przychodzi jakiś jegomość nie-wiadomo kto i skąd, potem drugi taki sam, ten w tużurku dobrze skrojonym, tamten w niezgrabnym pastorskim surducie, robią jeden po drugim jakiś dziwaczny *hocus pocus* i naraz zjawia się widmo brata, widmo przyjaciela. Widma te zjawiają się nie na jedną chwilę, jak w starych legendach, nie poto, by ostrzedz, upomnieć, wspomódz z wyższego nakazu, ale żeby brać udział w powszedniem życiu bliższych i dalszych. Przychodzą niemal codzień na długie i próżne gawędy, mieszają się do spraw nic ich nie obchodzących za życia i mieszają się w sposób szkodliwy i lekkomyślny! I ja miałbym do takich dziwnych rzeczy przykładać rękę?! Nim jeszcze zaczęły się intrygi o rozerwanie mego stosunku z Jadwigą dostrzegłem szereg rzeczy, które mnie odrzuciły od tych guseł, a gdy raz sobie powiedziałem, że czło-

wiek rozsądny i uczciwy brać w nich udziału nie powinien, już nie dałem się sprowadzić z tego stanowiska, mimo, że ojciec wpadł w furyę, jak to on umie. Krzyczy mi w pasyi: »Brata się wyrzekasz?« Ja mu na to: Właśnie dlatego, że czczę pamięć brata, nie chcę jej ubliżać wywoływaniem widm, niemających z nim nic wspólnego, prócz pozoru.

— Wtedy on w ostatecznej pasyi wyciąga do mnie ręce, krzycząc, że prędzej mu włosy na dłoniach porosną, niż spełnią się moje zamiary. »Wiem ja — powiada — że zachciało ci się amorów z Jadwigą, ale nic z tego, mój paniczu! Jadwiga nie dla ciebie! Stoi ona pod opieką duchów potężnych, które losem jej rządzą i postanowiły już o nim nieodwołalnie. A wiesz ty, kto są te duchy? Oto mój Bolek i Henryś marszałkowej. Młodzi oni, ale tam za grobem, wielka ich moc, a my powinniśmy być im posłuszni. Jeśli więc sam nie chcesz z nimi obcować, nie próbuj wchodzić im w drogę, bo zginiesz marnie, a ja palcem nie ruszę, żeby ci pomódz, boś i nie wart«. Pytam go tedy, skąd on wie o tych pięknych rzeczach, a on odpowiada, że to wszystko wie od Bolka, który tak go usposobił przeciw mnie i tak nastroił odnośnie do Jadwigi. A pomyśl teraz, co się z tą biedaczką dziać musi, kiedy jej tych dwoje klekocą nad głową takie szaleństwa!

— Szaleństwa, albo i co gorszego, niż szaleństwa — mruknął do siebie Szczodrowski.

— Co ty myślisz? — zagadnął niespokojnie Jurek.

— Nic, nic... Tak mi coś przez głowę przeleciało... Mów dalej.

— A cóż mam dalej mówić? Dość tego, co wiesz. Dwoje nieszczęśliwych ludzi obałamuconych do szaleństwa, dwojgu innym łamie się duszę, a reszcie uczestników prędzej czy później grozi to samo, wszystkich bowiem ujmuje i ściska coraz mocniej niewidzialna sieć. Czy poddać się jej? Chyba nie! Ale jeśli nie, toć trzeba znaleźć jakiś sposób zwalczenia tej piekielnej intrygi.

— Oczywiście nie można się poddać i trzeba intrydze przeszkodzić. Tylko jak, jak?

Szczodrowski przeszedł się kilka razy po pokoju, trąc czoło, potem zwrócił się do Oświeyki.

— Mówisz, że seans w noc zaduszną stanowi przełom, od którego datuje ofensywa Żarniewicza, czy tak?

— Nie wiem, czy to ofensywa Żarniewicza, czy tylko przy udziale Żarniewicza, ale co do przełomu, to tak.

— To jest ważne, bo daje nam punkt wyjścia. A ten Żarniewicz — znasz ty go? A może jest ktoś, kto go zna lepiej?

Jurek ramionami ruszył.

— Sądzę, że ze wszystkich uczestników seansów ja go jeszcze znam najwięcej. Parę lat temu spotkałem się z nim w Kijowie. Żył tam w podobnych warunkach, jak tutaj, otoczony ludźmi, którym wojna zabrała najbliższych, wyrzucając ich samych z siodła i rozstrajając do niemożliwości nerwy. Jedni z nich byli mu oddani duszą i ciałem, inni tworzyli galeryę, szukającą silnych wrażeń i zabicia czasu. Opowiadano mi już wówczas o materyalizacyach i ciałach astralnych, nama-

wiano do konwersacyi z kolegami, zabitymi w początkach wojny, ale ja wolałem pójść do teatru. Jedno z tych czasów zostało mi w pamięci: jego oczy. Po każdem spotkaniu szły za mną świdrujące, pełne sugestyi, żywe. I przez kilka godzin nie byłem w stanie wybić ich z myśli.

— A w Warszawie?

— W Warszawie spotkałem go u marszałkowej i zaraz musiałem wziąć udział w seansie, potem ciągnął mnie śladem hypnotyzera ojciec...

— Jaki był wzajemny stosunek Żarniewicza z panną Jadwigą?

— Aż do Zaduszek całkiem normalny w ramach towarzyskiego życia: on poprawny i raczej trzymający się w rezerwie ona niewątpliwie pociągana zagadkowością i nastrojem zebrań, ale wobec niego obojętna. Tem bardziej uderza obecna odmiana.

— Wiesz co o tym drugim?

— Wiem, że uchodzi za jednego z najznakomitszych teozofów w Europie. Był księdzem katolickim i podobno nawet profesorem jakiejś wyższej uczelni, potem pod wpływem samej pani Bławackiej porzucił sutannę i togę, oddając się wyłącznie wiedzy tajemnej. Do Warszawy przybył pierwszego listopada; o tem wiem. Wiem także, że Żarniewicz, tak samo jak inni adepci, traktuje go wprost z niewolniczą czołobitnością. Wiem także, że siła jego w sprawach okultystycznych przewyższa nieskończenie to wszystko, co potrafią uczynić Żarniewicz i jego media: patrzałem przecie na to, własnemi oczyma.

— Jakim jest wpływ profesora i Żarniewicza na uczestników seansów?

— Przedewszystkiem zaznaczam, że do dawnego grona przyłączył się teraz szereg osób nowych, nieznanych nikomu z nas i wyglądających raczej podejrzanie. To są adepci mistrza, którzy Żarniewicza prawie ignorują i patrzą w profesora, jak w słońce, porozumiewając się z nim bez słów, spełniając praktyki seansowe, jak obrzędy kultu. Do dawnych uczestników profesor nie miesza się zgoła: działalność jego wyraża się jedynie za pośrednictwem medium, oraz Żarniewicza. Niektórym z naszych jednak nowy kurs nie w smak. Nie dogadza im mistrz, niesympatyczni są jego adepci. Mimo to, bodaj czy nie wszyscy, prócz mnie, trzymają się seansów, jak pijany płotu; tyle przecie na nich widzą dziwów!

— Więc powiadasz, że na grono naszych znajomych oddziaływa wciąż, jak dawniej, Żarniewicz, a nie ów mistrz ze szkoły Bławackiej?

— Raczej Żarniewicz, niż tamten, ale właściwie to na wszystkich oddziaływa kto inny.

— Któż taki?

— Widma.

— Widma? Mówię to z własnego doświadczenia. Jest coś wprost nieodpartego, coś przekraczającego o wiele granice możliwości życiowych w potędze, jaka idzie od tej, jak oni mówią, materyalizacyi. I co najciekawsze, to fakt, że choć sam widziałem cały szereg postaci znanych mi za życia, a choć słyszałem szczegółowo ich rozmowy, miałem zawsze uczucie i nietylko

uczucie, ale i przeświadczenie, że nie jest to kilka istot odrębnych, ale jedna, potężna, jednolita i konsekwentna... I to właśnie przejęło mnie dziwną jakąś grozą i odrzuciło od tych praktyk, bo nie mogłem wierzyć, że mówi do mnie istotnie brat lub przyjaciel, którego kształt zewnętrzny widziałem przed sobą. A jeśli nie żaden z nich, to kto?

— Tak... Kto? — powtórzył w zamyśleniu Szczodrowski.

IV.

Jadwiga klęczała przy łóżku w swym malutkim pokoiku, obok salonu ciotki. Głowę miała opartą na kurczowo zaciśniętych dłoniach, usta poruszały się, nie wydając jednak głosu. Nie mogła się modlić. W mózgu wirowały jej koła ogniste, pierś obejmowała twarda, lodowa obręcz. Minął już czas pierwszych buntów i oburzeń; siły jej były wyczerpane, skrzydła opadły. Czuła, że opanowuje ją coraz bardziej jakaś nieznana obca moc. Daremne było szamotanie się i opór.

Podniosła oczy w górę i utkwiła je tam, gdzie wisiał na ścianie, w głowach łóżka złocisty obraz Częstochowskiej Bogarodzicy. Chciała utrwalić sobie w pamięci śniade oblicze niewieście, pełne łagodności i powagi zarazem, chciała, żeby jej wpadł do duszy jeden z tych strzelistych promieni, którymi jaśnieje majestat Królowej Niebios, pragnęła, by nad jej znękaną głową święte Dzieciątko wyciągnęło błogosławiące, miłosierne dłonie...

Ale pokój był ciemny. Za oknami jęczał posępnie wicher zimowy, szarpiąc obciętemi gałązkami ulicznych drzewek. Postać Maryi ginęła w mroku, przez który nie był w stanie się przebić ani jeden z błysków złoconej ramy i szaty. Jadwidze zdało się, że Matka Boska odeszła gdzieś od niej wdal i już nie wróci i uczuła się bezmiernie samotną i opuszczoną.

Chciała sobie przynajmniej przypomnieć oblicze Maryi, ale nie mogła i tego. Obraz święty odpływał od niej daleko, stawał się coraz bardziej niepochwytnym. Myśli jej natomiast narzucało się coraz natrętniej i coraz plastyczniej inne wspomnienie. Była kilkakrotnie w Kijowie na Demonie i teraz oto postać przeklętego zarysowała się przed nią, jak żywa, ogarniając ją nietoperzowemi skrzydłami, paląc ognistem spojrzeniem.

— Jam jeden władcą — rozbrzmiewał w ciemności i ciszy głos, nakazujący i pełen czaru. — Mnie jednemu służ, mnie jednego słuchaj, mnie jednego...

Scena zjawy z pierwszego aktu, rozwijała się przed nią w całej swej wspaniałości i grozie. Niewidzialny dla towarzyszek Tamary Duch stawał przed nią w całej swej tragicznej piękności, szepcząc jej jednej tylko miłosne zaklęcia. Tamara z przerażeniem odrzucała od siebie straszną miłość z zaświata, próbując zasłonić się wspomnieniem umiłowanego człowieka: ale czemże są Demonowi wysiłki ludzkie?! Kochanek zginie wnet w nierównym boju, a uciekającą przed nim kusiciel dosięgnąć potrafi, nawet w poświęconych murach klasztoru.

I zdawało się Jadwidze, że i ją także porywa siła jakaś obca a straszliwa, że leci w otchłań jakąś bez dna

ni kresu, że świat cały załamuje się dokoła i znikąd nie wyciąga się ku niej pomocna dłoń. Blady strach ją przeszył... Podniosła w górę dłonie, chcąc o coś uchwycić się i zatrzymać, ale nie znalazła nic, tylko unoszący ją wicher wył coraz gwałtowniej, jakby naigrawał się z jej niemocy. I wtedy imię jedno zarysowało się jej w mętniejącym mózgu, niosąc otuchę, jak deska zbawcza rozbitkowi.

— Jurku! Jurku mój! Ratuj!

Złowroga wizya prysła. Młoda kobieta znalazła się znów w swej panieńskiej izdebce. Kibić jej obejmowało czyjeś ramię serdecznym uściskiem i głos jakiś szeptał jej miękko:

— Co tobie, dziecino? Dlaczego drżysz i płaczesz! — Głos był pani Stężyńskiej, ale jakże odmienny od tego, jakim znękana matka Henryka zwykła była przemawiać przed jego pojawieniem. Nie było w głosie tym nic z drewnianego zobojętnienia bez nadziei i bez dźwięku, jakiem brzmiał dawniej. Do zmartwiałej duszy wpadł złoty promień, napełniając ją ciepłem i światłem.

I nie była to już ta dawna kobieta, blady cień ze świata zmarłych zabłąkany między żyjącymi. Jadwiga widziała ją w blasku otwartych, oświetlonych drzwi. Ciotka wydała jej się dwadzieścia lat młodszą, woskowa twarz nabrała życia, oczy iskrzyły się jak dyamenty. I młodej kobiecie przyszło nagle na myśl, że ten cud zmartwychwstania istoty zamarłej w bolu bez miary, świadczył chyba na korzyść i chwałę sił tajemnych, których był dziełem.

— Modliłaś się? to dobrze! — mówiła ciotka, głaszcząc włosy klęczącej dziewczyny. — Jest za co Bogu dziękować... a komuż więcej przystało, jak tobie, która po mnie jesteś jemu najbliższą i najdroższą.

Pociągnęła Jadwigę ku kanapce, stojącej po tamtej stronie drzwi, i przygarnęła ją pieszczotliwie ku sobie.

— Widzisz jednak, dziecinko, modlić się trzeba także i o to, byśmy zrozumieli i spełnili należycie jego wolę. Tyś szczęśliwa, ach, jak szczęśliwa! słyszałaś przecie: sam on nazwał ciebie najdroższym skarbem i dodał, że losem twym rozporządzać może nie ziemia, ale niebiosa. Ale nie zapomniałeś chyba, co dodał przytem: »Nam trzeba ufać i spełniać posłusznie co każemy, nie oglądając się wstecz, wyrzucając precz z serca cokolwiek nam się sprzeciwia« — pamiętasz?

Młoda dziewczyna skinęła głową. Ciałem jej, przytulonem do siedzącej kobiety, wstrząsnął dreszcz.

A pani Stężyńska przycisnęła ją mocniej do siebie i mówiła dalej:

— A skoro tak, co znaczyło, powiedz, to imię, które wymawiałaś przed chwilą, jakby wołając o pomoc? Czem jest ten obcy człowiek dla ciebie i jak możesz go wzywać, ty, która masz przy sobie tak bliską, tak miłującą cię istotę, jaką jest on?

Słowa starej kobiety z początku łagodne i słodkie, przybrały teraz ostrzejszy akcent. Czuć w nich było wyrzut i żal...

— Mamże ci przypominać jego słowa, jego wielkie, święte słowa? »Gdybym żył, byłabyś moją wybraną

na ziemi. Ale odszedłem i stałem się nieskończenie lepszym, potężniejszym, piękniejszym, niż za dni żywota. I oto teraz dokonywam wyboru, którego nie miałem czasu dokonać w życiu. Chcę ciebie poślubić na wieczność, oddając na doczesne życie przyjacielowi wiernemu. Przyjaciel skarb ten zachowa mi przez czas wędrówki ziemskiej i odda mi w pierwszej godzinie wieczności; a ty, droga, daj mi znak, że wolę moją przyjmujesz, i że za grobem ślubujesz mi miłość bez kresu, i że mi poświęcasz to wszystko, co nie jest miłością ku mnie.

Pani Stężyńska urwała. Pierś jej podnosiła się gwałtownie, twarz skurczyła się boleśnie. Bezwiednym odruchem odsunęła od siebie młodą dziewczynę.

— A ty znaku mu nie dałaś, niewdzięczna. Miłością nie chcesz płacić za miłość i obcych wzywasz, kiedy na ustach twoich jedno powinno być imię, jego imię. Jadwigo!

Dziewczyna osunęła się do nóg ciotki.

— Kiedyż ja tamtego kocham! — szepnęła.

Pani Stężyńska porwała się wpół rozgniewana, namiętna.

— Jak śmiesz? jak mogło słowo takie postać na twoich ustach? jakiś Oświeyko i on?!

Jadwiga schyliła czoło do samej ziemi.

— Przebacz, ciociu! co ja winna? tamto trwa we mnie lata całe i tyś wiedziała o tem i nie mówiła nic, a teraz...

— To było przedtem... teraz, gdy on wyciągnął ku tobie rękę, odmieniło się wszystko... ty tylko nie umiesz odmienić, podnieść serca! Gdyby przyszedł do

ciebie syn królewski, ofiarując ci koronę, czyżbyś postawiła go narówni z pierwszym lepszym marynarzem? A Henryś — więcej niż syn królewski, on — syn światła, on duch, nad inne duchy... czegóż ty żądasz, szalona?!

— Ależ on umarł, ciociu, — zakrzyknęła panienka, zrywając się i łamiąc rozpaczliwie ręce. — Póki żył patrzał na mnie, jak na starszą siostrę i sam w Kijowie prześladował panem Jerzym... Skądże mu się to wzięło?

Na pani Stężyńskiej protest Jadwigi nie wywarł żadnego wrażenia.

— Duchy chodzą innemi drogami, niż my, ludzie, — zauważyła uroczyście. — Im rozkazywać, nam słuchać. Przeszkadza ci co? Precz z tem! Przeklęte to uczucie, które ziemię stawia na miejscu nieba! Wyrwij ten chwast obrzydły z korzeniem i bądź gotowa spełnić wolę oblubieńca twego!

— Ależ ciociu — broniła się rozpaczliwie Jadwiga, — wszak oblubieńcem moim nie ma być on, Henryś, ale ten człowiek, którego nie znam, który nie wiadomo skąd wyrósł i rozpanoszył się między nami, którego ja się boję, ciociu, och boję!

— Jak człowiek trzymany w ciemności boi się słońca, jak zły boi się dobra!

— Ale czyż on jest dobrym? Od jego spojrzenia krew w żyłach się ścina.

— Bo się buntujesz i nie chcesz poddać jego władzy, władzy Henrysia, który przemawia przezeń.

— Henrysia! Henryś przemawia do mnie i przez Żarniewicza i przez tego ex-księdza i przez Izabelę i przez tamte drugie widmo... Wszyscy oni żywi i umarli w jednem kółku się kręcą... a ja tego nie rozumiem i strach mi i wstręt mi i chciałabym, żeby kto mi powiedział, gdzie prawda, a gdzie złuda i fałsz i nie mam nikogo, nie mam...

Drzwi z drugiej strony salonu uchyliła służąca.

— Pan porucznik Oświeyko zapytuje, czy może wejść?

Pani Stężyńska stanęła groźna, pałająca gniewem, odpychając od siebie młodą dziewczynę.

— Idź do twego Jurka! — krzyknęła. — Wzywałaś go: masz teraz! On cię pouczy, gdzie prawda, a gdzie fałsz! Ale o mnie zapomnij! Kto się sprzeniewierza memu Henrysiowi, tego ja nie znam i znać nie chcę.

— Ciociu! — jęknęła rozpaczliwie Jadwiga, obejmując jej kolana, — zlituj się, nie odpychaj mnie, wszak byłaś mi od niemowlęcia matką, wszak nikogo nie mam, prócz ciebie na świecie.

— Owszem, masz przecie Jurka Oświeykę!

— Ależ ja przecie gotowa już byłam jego poświęcić, spełniać wolę duchów, byle mi pozwoliły zostać panną, nie zmuszały do związku z nieznanym, wstrętnym człowiekiem.

— Wola duchów nie może być spełnioną połowicznie, idź za Oświeykę, jeśli chcesz.

Od przeciwległych drzwi doleciał głos służącej:

— Co mam powiedzieć panu porucznikowi?

PUBLICZNA BIBLIOTEKA
w Inowrocławiu

— Chcesz go przyjąć? Ja wyjdę, nie będę przeszkadzać!

— Nie, nie, ciociu, nie odchodź!

— Więc chcesz, żeby odszedł?

Jadwiga nie odpowiedziała. Ukryła twarz w fałdach sukni pani Stężyńskiej, tłumiąc łkanie.

— Więc zgadzasz się na to, czego żąda Henryś? — nacierała nielitościwie ciotka. — Więc dobrze! Powiedz temu panu, Marysiu, że jesteśmy obie w domu, ale przyjąć go nie możemy. Słyszysz? Nie możemy obie.

Z przedpokoju doleciał ponownie dźwięk dzwonka. Chwilę potem pojawiła się znów służąca we drzwiach salonu.

— Pan Oświeyko odeszedł, a teraz przyszedł pan Żarniewicz i czeka.

— Pan Żarniewicz? Proś! — rozkazała pani Stężyńska.

— Ciociu! — zawołała błagalnie Jadwiga.

— Czego chcesz, moje dziecko? — zagadnęła starsza kobieta z dawną słodyczą w głosie.

— Ja nie wyjdę! Ja nie mogę! Ja...

— Ale wyjdziesz, wyjdziesz! Henryś chce tego. Zwilż oczy wodą i chodź!

— Nie, nie! Na Boga!

Ale Żarniewicz stał już w progu salonu i kłaniał się obu kobietom ze zwykłym swym chłodnym uśmiechem na wąskich, bezkrwistych wargach.

V.

— Wy młodzi zostańcie tu sobie i gawędźcie o swoich sprawach, a ja pójdę pogwarzyć z moim Henrysiem — ozwała się w kilka minut później pani Stężyńska. — Na wczorajszym seansie zapowiedział mi on odwiedziny swe na dziś. Nie chcę, żeby czekał.

We drzwiach jednak zatrzymała się i odwróciła twarz uśmiechniętą, ale i lekko zafrasowaną.

— Jakie to dziwne, proszę pana! Widzę go nieraz, rozmawiam codzień, bo niema dnia, żeby mnie nie nawiedził... A przecie pozostaje dla mnie jak obcy... Innego gościa mogę posadzić, uczęstować, dogodzić mu; inaczej mam wrażenie, że nie stało się, jak należy. A jemu, jedynakowi memu, jakżebym rada czemś dogodzić! Kawę tak lubił, a za konfiturami wprost przepadał, jak dzieciak. I ot — nie można... Jakże to tak?

I poczekawszy chwilę z większem jeszcze zakłopotaniem dodała:

— Panowie, co jesteście tak mądrzy i znaleźliście do nich drogę, nie moglibyście to wymyśleć sposobu...

Nie śmiała dokończyć, czując, że mówi dziecinnie i że więcej ze siebie nie wydostanie. Ale Żarniewicz zrozumiał odrazu i odrzekł z pobłażliwym uśmiechem:

— Najzawołańsza gospodyni z radomyskiego powiatu przemawia przez panią, a zarazem i najlepsza z matek. I tak to naturalne. Dusza ludzka nie znosi pojęcia śmierci, a życie zaś rozumie tylko z punktu widzenia zmysłów. A naprawdę to w stosunku wzajemnym

między żyjącymi i duchami idzie nie o nadanie umarłym właściwości żywych, ale o wyzwolenie żywych z zależności od materyi i zbliżenie ich przez to do istot wolnych od doczesnego jarzma zmysłów.

Marszałkowa niezupełnie zrozumiała. Choć o cudach i ascezie fakirów mówiono jej wiele, nie zostało jej z tego nic w pamięci. Jej przecie chodziło o jedno tylko: o widzenie Henrysia i obcowanie z nim, jak z żywym. Skinęła też głową, przytakując Żarniewiczowi, w którego wierzyła ślepo odkąd pokazał jej syna, ale równocześnie wydarło się jej tłumione westchnienie. Żarniewicz pospieszył z pociechą.

— Nie może pani tedy traktować ukochanego jedynaka konfiturami, ale może podnieść się do niego tak blisko, że wszystkie przysmaki i wszystkie wartości życia doczesnego przestaną dla pani istnieć. Zamiast być z synem przez pewien tylko czas, jak bywa z konieczności w obcowaniu najbliższych sobie osób, możesz być z nim nierozłączna. Będziesz go czuła przy sobie zasypiając i odnajdziesz czuwającego przy tobie, otwierając oczy. A wtedy cóż dla ciebie będzie stanowić jedzenie, cóż kształt widomy astralnego ciała, skoro to, co ci najdroższe będzie przy tobie zawsze w życiu doczesnem i zawsze za grobem?

Pani Stężyńska wyciągnęła ręce, jakby coś niewidzialnego chciała pochwycić i przygarnąć. Z oczu poczęły jej jedna za drugą spływać łzy. A Żarniewicz mówił dalej, rozgrzewając się wspaniałością wysnuwającej myśli.

— Chcenie twoje wystarczy na ucieleśnienie obcu-

jącego z tobą ducha. Głos dobrze znany odpowie ci na każde pytanie. Czegóż ci więcej potrzeba?

Potrząsła głową, ręce przycisnęła do piersi. Na pobladłej twarzy malowało się pytanie i prośba. On pochylił głowę na znak, że ją zrozumiał.

— W świecie zagrobowej światłości, jak i w doczesnej ciemni, nie dzieje się nic bez przyczyny i niema przeskoków, — pouczał dalej, przybierając zwykły mu akcent namaszczenia. — Roślina wyrasta z ziarna, rozwija się kwiatem, aż opadnie, zostawiając po sobie zarodki nowego życia. Myśl i wola człowieka rozwijają się podobnie, z małych zawiązków, rozkwitając w czyn owocny. Tylko czyn ten trwalszym stać się może od przemijającego kwiecia. W każdym człowieku jest Prometeusz, zdolny sięgnąć zuchwałą dłonią po nieśmiertelność.

Marszałkowa słuchała go z rękami złożonemi jak do pacierza, ale on nie patrzał teraz na nią, wzrok jego wpił się w Jadwigę, rzucając jej usilne nakazy, pogrążając całą jej postać w magnetycznym fluidzie.

— Co to jest nieśmiertelność? To świat ducha, który nie umiera nigdy, to świat tych, którzy przez szereg wcieleń uwolnili się wreszcie z cielesnych pętów. Człowiek, ciałem związany z ziemią, może nietylko otworzyć sobie okno na te przestrzenie przedziwnych zjaw i cudów, ale może sam stać się przestrzeni tych mieszkańcem. Jak? Wyniszczając w sobie zmysły, wstępując szczebel za szczeblem świetlistą drabiną między gwiazdy.

Ale wędrówki tej żaden człowiek nie może sam odbyć: musi mu podać rękę pomocną i stać mu się sterem

duch silniejszy, wtajemniczony. Jak uczeń z mistrzem, płynąc wdal bez kresu, strącając z siebie resztki ziemskich pyłów, wchłaniając nieśmiertelność, stając się cząstką bóstwa.

Pani Stężyńska słuchała czas jakiś mowy przerastającej jej poznanie, potem jednak musiała sobie powiedzieć, że dalsze słuchanie tej mglistej muzyki słów nie doprowadzi do niczego, wysunęła się więc cichutko na rozmowę z synem, nieskończenie więcej zrozumiałą dla niej i przyjemną. Jadwiga, zasłuchana w to, co mówił Żarniewicz, nie zauważyła odejścia ciotki.

Miała oczy przymknięte, nie chciała ani słowa uronić. To, co słyszała, działało na nią, jak haszysz. Ogarniało ją jakieś rozkoszne półomdlenie i w bezwładzie tym unosiła ją niewiadomo dokąd fala jakaś ze srebrzystych dźwięków i z łagodnych a promiennych blasków złożona. Był to jakby sen, ale sen dziwnie uroczy. Nie chciała budzić się z niego do rzeczywistości. Czuła to, że sen prysnąłby, gdyby ujrzała, kto mówi i dlatego nie podnosiła powiek. Tak! Żarniewicz był obcy jej duszy, wstrętny sercu. Bała się go, czuła w nim idące ku sobie nieszczęście. Ale to, czego słuchała, było tak piękne... Czy to naprawdę ten człowiek mówił, czy ktoś inny? Raczej ktoś inny... Słuchała więc.

A on mówił, jak mistrz do adeptki. Unosił przed jej duszą rąbek zasłony, zakrywającej oblicze tajemniczej bogini gnozy, otwierał szczelinę za szczeliną w inicyacyach, a z każdej ze szczelin padał na nią snop bladego światła, w każdej zarysował się woddali jakiś punkt

wyjścia, obiecujący odkrycie całych światów poznania, jakiś gościniec, wiodący w cud i w czar...

I on ją zapewniał, że gościńce te wiodą ku prawdzie...

— Miłość, wyzwolona z pętów cielesnych, spaja w jeden akord świat żywych z królestwem tych, którzy odeszli. Ciekawość — to pierwszy krok ku inicyacyi, to niemowlęctwo żądzy poznania. Gdy okres ten wstępny zostanie poza nami, poczynamy rozumieć co stanowi treść wszechbytu i spójnię żyjących z duchami.

Jadwiga słuchała z zapartym oddechem, tracąc coraz bardziej świadomość rzeczywistości.

— Tyś szczęśliwa. Duch potężny wybrał ciebie za towarzyszkę nieśmiertelnego bytu. Dosięgnął on szczytów moc, niepotrzebuje dalszych reinkarnacyi i ciebie z nich potrafi wyzwolić. Promienna nieskończoność niezamąconego szczęścia czeka cię przy jego boku. A przez tę chwilę krótką, jaką jest jedno wcielenie, jedno doczesne życie, daje ci zastępcę w swoim i twoim przyjacielu, wiernym, posłusznym niewolniku. Nie godzien jestem tego zaszczytu, ale będę się starał nań zasłużyć. Wola twoja będzie dla mnie zawsze prawem. Będziemy iść na ziemi górnym szlakiem wtajemniczonych, aż póki nie ujmie cię w swe objęcia nieśmiertelność.

Jadwiga słuchała wciąż, kołysana harmonią słów i świetlanym obrzaskiem fantastycznych obrazów, przesuwających się przez jej wyobraźnię.

— I oto z czem od dwóch miesięcy przychodzę do ciebie. Oto czego żąda przezemnie wspaniały duch, którego jestem pośrednikiem; oto co sama słyszysz z jego

ust, ilekroć się zjawia. Wielki los, świetlana przyszłość, niezachwiana pewność szczęścia, bo kto spełnia wolę duchów, od tego one potrafią wszystko złe odwrócić. I trzeba tylko jednego słowa przyzwolenia, jednego znaku, stwierdzającego twą wolę i pakt między tobą a Mocnym będzie zawarty na wieki.

— Pakt — szepnęła, podnosząc zlekka głowę, jakby szukając myślą znaczenia tego wyrazu. — Pakt, mówisz?...

On nie zwrócił uwagi na przerwę i mówił dalej z rosnącem uniesieniem.

— Mocny o słowo to, o znak ten dopomina się coraz natarczywiej. Cierpliwość duchów ma granicę, a biada temu, przeciw komu zwraca się ich gniew! Bacz, byś nie nadużyła łaski Mocnego, bacz, by z własnej winy perła bezcenna, jaką trzymasz w dłoni, nie roztopiła się w bańkę mydlaną!

Słuchała go coraz bardziej bezwolna i senna. Żarniewicz chwycił obie jej dłonie i pochylił się nad nią, przeszywając ją nakazem stalowych oczów. Był tak blisko od niej, że długie jego rzęsy dotykały niemal jej powiek, a oddech parzył jej usta.

— Poddaj się, — szeptał zduszonym głosem. — Spełnij wolę duchów! Wymów słowo wyroczne! a jeśli nie jesteś w stanie, ściśnij mi dłoń na znak zgody i daj mi jakikolwiek, należący do ciebie, przedmiot, jako dowód i jako rękojmię...

Jadwiga czuła, że teraz stać się musi coś wielkiego, coś, co roztrzygnie o jej losach. Czuła, że nie jest zdolną oprzeć się, że chwyciła ją i trzyma w swoich

kleszczach konieczność. Coś w głębi jej istoty poruszyło się ostrzegając, próbując odporu, ale wnet nadpłynęła nowa fala świetlista i odniosła to wszystko daleko od niej, i młoda kobieta poczuła się samą, oderwaną od całego świata, rzuconą na łaskę i niełaskę zwycięzcy... Gdyby mogła podnieść oczy i ujrzeć stojącego przed nią człowieka, czuła, że człowiek ten straciłby swą nieodparta moc i czar prysnąłby. Ale nie była w stanie otworzyć oczów, przyczem tak było jej słodko... Słuchała więc, a palce jej ściskały się dokoła dłoni Żarniewicza, spełniając mechanicznie, bezwiednie jego rozkaz.

Młody człowiek poczuł uściśnienie i płomień błysnął mu w oczach. Zwyciężał. Jeszcze jeden ostatni wysiłek, a rozkaz zostanie spełniony i wola duchów będzie wykonaną.

— Pochylił się raz jeszcze nad obezwładnioną dziewczyną.

— Daj znak! — rozkazał szeptem.

Pierścień palców, otaczających jego dłoń, rozerwał się. Automatycznym ruchem Jadwiga sięgnęła po medalion, zawieszony na szyi. Żarniewicz poruszył się nerwowo, czyniąc giest przeczenia.

— Nie to! — zawołał prawie głośno.

Medalion wysunął się z rąk młodej kobiety, dłoń opadła bezwładnie.

— Cokolwiek innego, — nalegał hypnotyzer. — Cokolwiekbądz! chustka, szpilka, kluczyk, wszystko jedno.

I naraz wstrząsnął się niecierpliwym i niespokojnym ruchem.

— Prędzej! — zawołał. — Niebezpieczeństwo się

zbliża! za chwilę może być zapóźno. Znak, znak! prędzej!

Dłonie Jadwigi podniosły się leniwie i krążyły czas jakiś w powietrzu, wahając się. Na twarzy malowało się uczucie lęku, przymusu, niepewności. Wreszcie jedna z rąk posunęła się, chwytając chusteczkę. Żarniewicz stał wciąż pochylony, przynaglając młodą kobietę nakazującym wzrokiem.

— Tak, tak, — syczał przez zaciśnięte nerwowo zęby. — Musisz dać! daj!

Usypiająca kobieta zdawała się jeszcze wahać. Piękna jej twarz skrzywiła się skurczem bolesnym, z piersi wydarło się głuche westchnienie. Ręka, trzymająca chusteczkę, podniosła się. Hypnotyzer sięgnął po nią pospiesznie.

Ale w tejże chwili nad pochylonemi ku sobie głowami dwojga młodych ludzi, rozległ się spokojny, poważny głos Szczodrowskiego:

— Dobry wieczór, pani! i pan tu? czy to seans? czy próba hypnozy?

Żarniewicz nie odwracając się, chciał wyrwać chustkę z rąk Jadwigi. Ona jednak w tej chwili otwarła oczy i, zobaczywszy tego człowieka nachylonego nad sobą z rozżarzonym wzrokiem i groźnie ściągniętemi brwiami, krzyknęła głośno i cofnęła się wstecz, wyrywając mu z rąk chustkę tak gwałtownie, że kawałek batystu pozostał w jego ręku. On wyprostował się z wyrazem tryumfu na pobladłej twarzy i wsunął nieznacznie oderwany kawał chustki wzanadrze.

— Niepoprawny hypnotyzer ze mnie — odrzucił

Szczodrowskiemu z niedbałą swobodą. — Panna Małęcka byłaby świetnem medium, gdyby się chciała poddać, ale nie chce. Próbowałem uśpić ją w tej chwili, mimo wiedzy — i znów nie udało mi się.

Szczodrowski popatrzył na niego oko w oko.

— Tem lepiej, — rzekł twardo. — Zabawka ta nie wszystkim może być do gustu.

Żarniewicz ogarnął Szczodrowskiego wyzywającem spojrzeniem.

— Idzie mi jedynie o to, co za przyjemne i właściwe uważa panna Jadwiga i jej ciotka.

— Ja zaś pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę na to, że panie mają przyjaciół, i że jest komu za nie się ująć.

Żarniewicz uśmiechnął się lekceważąco.

— Wiem o tem, sam bowiem mam zaszczyt należeć do grona najbliższych im osób. Kto zaś pana upra-wnił do ingerencyi w sprawie obchodzącej wyłącznie te panie — tego nie wiem. Sądzę jednak, że panna Małęcka wie sama najlepiej co komu wypada lub nie wypada czynić w domu pani marszałkowej.

Mówiąc te słowa powolnym, stanowczym głosem, wpatrywał się uproczywie w młodą kobietę, przymuszając ją całym wysiłkiem woli do posłuszeństwa. Ale zamiast podejść ku niemu i podać mu rękę, jak żądał, ona cofnęła się odeń jeszcze o krok dalej i szybkim ruchem stanęła obok Szczodrowskiego.

Żarniewicz zrozumiał, że niema już nad nią mocy. Wtedy uczynił szybko zwrot, wysuwając naprzód niezawodny atut.

— W każdym zaś razie, — dodał, uchylając szybko drzwi najbliższe, rozstrzyga o tem sama pani Stężyńska.

W sąsiednim pokoju osierocona matka klęczała przy małym stoliczku z ołówkiem w ręku i twarzą ekstatycznie uśmiechniętą. Słowa hypnotyzera obudziły ją. Ołówek wypadł jej z ręki. Leniwym, ociężałym ruchem podniosła się, wyciągając do Żarniewicza obie dłonie.

Tymczasem zaś Szczodrowski pociągnął Jadwigę w kąt salonu.

— Na miłość Boską, — rzekł, ściskając jej rękę w obu dłoniach. — Na wszystko, co pani święte i drogie, co było między panią a tym człowiekiem?

Jadwiga spojrzała na niego, starając się zrozumieć. Była jeszcze ociężała i senna, a myśli plątały się jej, jakby cudze.

— Wszak mówił panu... — szepnęła.

— Chciał panią uśpić?

— Nie wiem czy chciał uśpić, ale domagał się i żądał...

— Żebyś pani za niego wyszła?

— Żebym została oblubienicą Henryka, którego oni nazywają Mocnym, a tymczasowo w jego zastępstwie...

— I to nie pierwszy raz domaga się tego?

— Nie pierwszy. Ostatnimi dniami powtarza się to niemal codzień. A na każdym seansie domaga się tego coraz natarczywiej Henryś.

— A pani?

— Ja — nic... Zgodziłam się na zerwanie z panem Jerzym: więcej — nic!

— A dziś?

Jadwiga ociężałym ruchem potarła czoło.

— Dziś nie wiem... Bardzo nastawał... Żądał przyzwolenia i — znaku...

— Jakiego znaku?

— Rękojmi... zobowiązania... czegokolwiekbądź, coby było świadectwem przyzwolenia.

— I pani dałaś?

— Sama nie wiem, jak się to stało. Byłam w jego mocy... chciałam dać medalion... ten z Matką Boską od pana, w dzień pierwszej Komunii... ale on nie chciał.

Szczodrowski popatrzał na nią przez chwilę, milcząc.

— Nie chciał? hm, rozumiem. A czegóż chciał?

— Jakiegokolwiek drobiazgu, należącego do mnie.

— Aha, i wtedy wyrwał pani chustkę?

Młoda dziewczyna w zakłopotaniu spojrzała na rozdarty batyst.

— Tak, rozdarła mi się przytem... co jemu na tem mogło zależeć?

Popatrzał na nią raz jeszcze.

— Hm! musiało zależeć, skoro tak dobijał się.

Zmilczał przez chwilę, pogrążony w myślach. Potem ujął obie jej dłonie i przycisnął je do swoich piersi.

— Jadziu — rzekł cicho, a głos jego brzmiał tkliwością niemal niewieścią i serdeczną powagą. — Byłem najbliższym przyjacielem twego ojca, potem matki, a gdy oboje opuścili cię przedwcześnie, stałem się przyjacie-

lem, doradcą, domownikiem nieledwie twojej opiekunki, pani Stężyńskiej. Dla ciebie, Jadziu! i dlatego w ważniejszych chwilach życia nazywam cię po staremu, bo mam do tego prawo, jakie daje przywiązanie.

Jadwiga pochyliła głowę ku jego ramieniu.

— Mój drogi, mój najlepszy przyjacielu, — szepnęła.

Jego zaś rozrzewniona myśl uniosła daleko.

— Była chwila, w której to przywiązanie zaczęło stawać się samolubnem... zdawało mi się, że potrafię być ci czemś więcej, niż przyjacielem... Alem opamiętał się prędko i ty Jadziu, nie byłabyś wiedziała o tem nigdy, gdyby nie obecna plątanina... Na twojej drodze stanął człowiek znany mi i drogi jak brat, wart ciebie więcej odemnie, i o kilkanaście lat młodszy. Popiołów nie mieszać z różami... więc podałem mu dłoń pomocną i dziś dość dla mnie szczęścia, gdy wy szczęśliwi będziecie razem.

— Panie Ignacy! — wyjąkała wśród łez Jadwiga.

— Otóż w imieniu rodziców twoich, których starałem się ci zastąpić, w imieniu przywiązania ku tobie, które jest najlepszą cząstką mego życia, w imieniu waszego szczęścia, którego chcę i będę bronić, choćby wbrew tobie samej, zaklinam cię, dziecko moje, nie daj się uwikłać intrydze, ani zwieść miodowym słówkom tego szarlatana; odpędź pokusę, bądź silną! O szczęście twoje idzie, o życie, o duszę, o wszystko!

— Ależ ja nie chciałabym...

— Nie chciałabyś, a przecież poddajesz się!

— Henryś...

— Co za szaleństwo, czy sądzisz, że to Henryk do ciebie przemawia ustami tej zwodniczej zjawy?

— Któż więc, jeśli nie on?

— A właśnie — kto? To pewne, że nie ten czyją postać udaje mu się przybrać. Kłamstwo i złuda — to punkt wyjścia z całej tej piekielnej zabawy, a dalszy jej ciąg dostraja się do początku.

Nastała chwila milczenia. Zrobiło się zupełnie ciemno. Z przyległego pokoju dochodził szmer ożywionej rozmowy między marszałkową a Żarniewiczem.

— Musisz walczyć, — mówił dalej Szczodrowski przyciszonym do szeptu głosem. — A w walce tej nie możesz być osamotnioną. Jurek nie może już tu się dostać, ale ja odstraszyć się nie dam. Będę przychodził, choćby wbrew marszałkowej: prowadzę przecie interesy i jej i twoje. Trzeba tylko, żebyś zdawała mi sprawę ze wszystkiego, co cię spotyka.

— Chciałabym, ale tak trudno znaleźć się sam na sam!

— Prawda. Trzeba, by u kogoś, poza domem, ale gdzie? wszystkie mieszkania przepełnione ludźmi i gwarem...

Ona zamyśliła się chwilę.

— Codzień chodzę na mszę o 9-tej do św. Krzyża.

— Dobrze. O 9 i pół spotkam cię u wyjścia. Może Jurek nawinie się tam kiedy przypadkiem?

Jadwiga potrząsła przecząco głową.

— Nie, — szepnęła. — Nie trzeba... jeśli Bóg da, że to minie...

— Rozumiem. I masz słuszność. Ja mu opowiem wszystko o tobie...

Chciał mówić dalej, ale przerwano mu. Marszałkowa stanęła we drzwiach ze swoim gościem. Żyrandol oświecił salę jaskrawem światłem.

— Skończyli państwo poufną naradę? — ozwał się szyderczo Żarniewicz. — I zapewne uzbroił pan należycie przeciw mnie pannę Jadwigę.

Szczodrowski pochylił zlekka głowę.

— Nie myli się pan, — odrzekł poważnie. — Radziłem istotnie pannie Małęckiej, by nie brała udziału w zebraniach, rozstrajających nerwy i nie poddawała eksperymentom hypnotycznym.

— Jadzia ma we mnie opiekunkę jedyną i moich tylko rad słuchać powinna, — ozwała się z urazą marszałkowa. — Kto ją buntuje przeciw obowiązkowi posłuszeństwa przybranej matce, wyrządza jej najgorszą przysługę i traci prawo do mojej przyjaźni.

— Przyjaźń tę mam nadzieję odzyskać, gdy pani otworzą się oczy, — odparł zimno Szczodrowski, i skłoniwszy się, wyszedł z pokoju.

W sieni doleciał go ironiczny głos hypnotyzera:

— Zobaczymy kto będzie bielmo z oka zdejmował, panie Szczodrowski. Qui vivra, verra.

VI.

— Ale przecież pani obiecywała mi nie chodzić więcej na te nieszczęsne seanse, — mówił z zafrasowaną

miną Szczodrowski, idąc z Jadwigą Nowym Światem o rannej godzinie. — Obiecywałaś oprzeć się naleganiom ciotki i sugestyi Żarniewicza. I nie dotrzymałaś! Jakże można!

Jadwiga tłumaczyła się zmartwiona i trochę zawstydzona. Tak ją obsiedli, tak prosili, tak dokuczali, a ciotka tak była rozdrażnioną i zrozpaczoną, że trzeba było ustąpić. Ten jeden raz tylko!

— Ależ właśnie o ten jeden raz idzie, — przerwał jej porywczo Szczodrowski. — Pani nie rozumiesz, że igrasz z ogniem, który cię spali. A na to nie potrzeba wsuwać się dziesięć razy do płonącego ogniska... Raz wystarczy... Byle się zajęło...

Ale ona zapewniała, że nie było tak źle i że nie należy brać rzeczy tragicznie. Czy Szczodrowski zapomniał o tem co zaszło wczoraj rano między ciotką a nią?

— Przewidywałam, że tak będzie, — mówiła drżącym ze wzruszenia głosem. — Dlatego ociągałam się z dnia na dzień ze spełnieniem pańskiego rozkazu...

— Mego rozkazu? Powiedz pani: mojej rady i prośby.

— Nie, pańskiego rozkazu! — zaprzeczyła w rozdrażnieniu. — Jestem między dwiema nocami, z których każda ciągnie mnie w przeciwną stronę. Ciotka, Henryk, Żarniewicz, sędzia, Izabela chcą jednego, pan — drugiego. A ja nie mogę rozerwać się... musiałabym chyba poświęcić ciotkę, zerwać, uciec...

— W tym jednym będzie może ratunek — szepnął Szczodrowski.

Ale ona nie dosłyszała go i mówiła dalej:

— Tego przecież nie mogę uczynić; pan sam, jako mój przyjaciel nie dopuściłby do tego... a gdybyś pan zobaczył, co się u nas działo, kiedym oświadczyła cioci, po widzeniu się z panem, że nie myślę zrywać z Jerzym, a tem mniej wychodzić za kogokolwiek innego... Istne piekło; ciocia mdlała, przeklinała mnie i wzywała pomsty Bożej, mówiła o samobójstwie, ona, dawniej tak pobożna! a mnie chwytała rozpacz i waryacya. Dopiero wieczorem, po rozmowie z Żarniewiczem przycichło trochę. Ciocia po raz pierwszy przywołała mnie do siebie, mówiąc, że wyrządziwszy jej tak wielką boleść, nie odmówię jej chyba pociechy jedynej, jaką w tem strapieniu przynieść mogę. Henryś żąda rozmowy ze mną: czyż mu jej odmówię. Cóż miałam robić? Musiałam przyrzec, że z nią pójdę dziś wieczorem.

— Nie możesz iść! — zawołał Szczodrowski.

Jadwiga spojrzała na niego ze zdziwieniem i wyrzutem.

— Pan mi to mówi? Pan, w którym przywykłam widzieć wzór cnoty i honoru! Pan mi każesz zdeptać nogami najświętsze uczucia, należne tej nieszczęsnej kobiecie, która mnie jedną ma na świecie. Zdeptać przyrzeczenie, mające wartość przysięgi?!

— Błagam!

— Ależ to nieuczciwe! i tak okrutne!

— Czy okrucieństwem jest odepchnąć rękę, niosącą truciznę? czy nieuczciwem jest zaniechać spełnienia zaprzysiężonej zbrodni?

Jadwiga załamała rozpaczliwie ręce.

— Mój Boże! Kto mi da światło i wskaże drogę

wyjścia z tego labiryntu! To straszne przecie żyć w takiej szarpaninie!

I po chwili dodała, zwracając się z determinacyą do Szczodrowskiego:

— Więc podług pana — cóż mam czynić?

— Przedewszystkiem nie iść na seans i pod żadnym warunkiem nie dopuszczać do sam na sam z Żarniewiczem, ani do nowej próby hypnotyzowania.

— A potem?

Szczodrowski zawahał się.

— Chce pani, żebym był szczerym?

— Proszę o to.

— A więc w jaknajprędszym czasie, raczej dziś niż jutro opuść pani dom ciotki i Warszawę.

Jadwiga zatrzymała się, podnosząc na Szczodrowskiego zdumione oczy.

— Pan sobie chyba żartujesz ze mnie! Nie! Tego przecie nie możesz mi na seryo doradzać!

— Nietylko doradzam to na seryo, ale jestem przekonany, że w razie pozostania w dotychczasowem otoczeniu, zguba twoja jest nieuchronną...

— Moja zguba?

Pochwycił ją za rękę i pociągnął w boczną uliczkę, zasypaną śniegiem i zupełnie pustą.

— To, w co ciebie wciągają, jest rzeczą straszną i bezwzględnie złą, — począł jej mówić przyciszonym głosem, starając się opanować siłą woli wzruszenie. — Zastanów się tylko, czem jest cała ta fantasmagorya spirytystyczna? Wszak można zaprzeczyć zagrobowemu życiu, ale niepodobna życia tego traktować humory-

stycznie. Jeżeli życie takie istnieje, musi ono być oddzielone od nas żywych przepaścią, przez którą bardzo wyjątkowo chyba z powodów wielkiej wagi i na krótką tylko chwilę może być rzucony most. A mostu tego nie zdolną jest chyba rzucić żadna ze sił pośrednich: może to uczynić jedynie siła najwyższa. Jest to tak logiczne, że wali w łeb, jak obuchem. Tymczasem, cóż widzimy na seansach? Kierownikami ich bywają często ludzie niepewni i bodaj czy nie szarlatani, jak Żarniewicz, a pośrednikami zwykle oszuści, w rodzaju Walka. I na ich rozkaz spieszą bez wahania duchy najdroższe uczestnikom, a obok nich duchy największych mężów ludzkości: Sokratesa, Tomasza z Akwinu, Napoleona, Mickiewicza, ba, nawet i Chrystusa Pana! I jako bezpośrednie następstwo transu takiego Walka duchy te, jak aktorowie, wykonywują urozmaicony program: Mickiewicz popełnia liche wierszydła, Sokrates wygłasza najbanalniejszy z komunałów, a Napoleon stawia horoskopy polityczne podług najświeższych telegramów, podczas gdy Doktor Anielski dogmatyzuje w sposób zasługujący nie na stos może, ale z pewnością na zamknięcie w domu waryatów. Nie dość na tem jednak. Równocześnie z tamtymi występują duchy o mniej wspaniałych imionach, ale zato, o żywszych temperamentach. Ten rodzaj duchów nie bawi się w filozofię ani literaturę, ale urządza z uczestnikami seansów zabawy, które trudno nazwać niewinnemi. W tych konceptach i figlach, mimo ich żartobliwy pozór, wyczuwa się nietylko małpią złośliwość, ale i coś gorszego jeszcze: jakąś nienawiść, jakąś chęć dokuczenia i pomsty. A skoro tak jest, jak powiedziałem,

i pani nie możesz mi zaprzeczyć, bo wszystkiego co mówię, samaś była świadkiem, — powiedz mi teraz, czy mam racyę powstrzymywać cię od czegoś, co w najlepszym razie jest głupstwem, ale niestety, jest także czemś od głupstwa groźniejszem i gorszem!...

Jadwiga stała zamyślona z silnie ściągniętemi brwiami.

— To wszystko jest słuszne, — rzekła wreszcie z wahaniem. — Ja sama mówiłam to sobie nieraz... łatwiej jednak nazwać to złem, niż zerwać.

— Zapewniam panią na wszystko co mi drogie, że za kilka miesięcy marszałkowa nietylko ci przebaczy, ale przyzna słuszność, chyba, że w zawierusze tej postrada zmysły doszczętnie.

— Być może. Nieszczęściem jednak nie o samą ciocię tu idzie...

Spojrzał jej bystro w oczy i skinął głową; poważna jego twarz przybrała surowszy wyraz.

— Rozumiem! Pani brak już sił opierać się sugestyi.

Załamała ręce.

— Skąd pan to wiesz? tak jest! Opanowuje mnie to, gdy nadejdzie godzina seansu i ciągnie jak hakiem... i chciałabym się wyrwać, ale nie mogę, nie mogę...

— Musisz! — krzyknął namiętnie Szczodrowski.

I ściskając gwałtownie jej dłoń, mówił dalej nakazującym głosem:

— Powiedziałem ci już, że to twoja zguba i sama to teraz przytwierdzasz. Zadano ci czar gorszy od cielesnej trucizny i czar działa, a tyś stała się niewolnicą!

Ale ja rozerwę tę sieć przeklętą, którą cię spowito, ja cię ocalę, zechcesz, czy nie zechcesz... a na początek musisz mi przyrzec, że dziś wieczór nie pójdziesz na seans.

Jadwiga zdawała się pokonaną. Patrzała w oczy Szczodrowskiemu wzrokiem dziecka, którego oporną wolę przełamała stanowczość. Choć walka ustała, jednak na pobladłej jej twarzy malowała się głęboka troska.

— Dobrze więc... zgadzam się już!... ale jak to zrobić?... jak zrobić?...

— Słuchaj mnie uważnie, Jadziu, — mówił gorączkowo Szczodrowski; — słuchaj i wykonaj, bo od posłuszeństwa zależy ratunek. Przybyła tu przed kilku dniami moja siostra. Nie zna ciebie, ani twojej ciotki, ale wie co się dzieje i gotowa jest uczynić dla ciebie wszystko. Nikt z uchodźczej kolonii nie wie o jej przybyciu, bo znękana miesięczną podróżą i niezdrowa, nie wychodziła dotąd z pokoju. Po obiedzie wymknij się z domu pod bylejakim pretekstem i spiesz. Oto adres. Będę czekał na ciebie u siostry, wraz z Jerzym. Przyjdziesz?

— Przyjdę, — rzekła stanowczo Jadwiga. — Ale co dalej?

— Przenocujesz u siostry, a jutro ja sam pójdę do marszałkowej z ultimatum. Albo zobowiąże się zostawić cię w zupełnym spokoju i uzna twoje zaręczyny i naszą z Jurkiem ingerencyę do spraw ciebie dotyczących, albo trwać będzie przy swojem. W pierwszym razie przyprowadzę cię na Warecką, w drugim...

— W drugim? — powtórzyła Jadwiga, śledząc niespokojnie grę jego twarzy.

— Będziesz musiała zniknąć z Warszawy na jakiś czas. Ukryję ciebie tak, że cię najsprytniejszy szpicel nie znajdzie. Jesteś na szczęście pełnoletnia, a kiedy za kilka miesięcy wrócisz tu jako żona Jurka, zapomną już w Warszawie, mam nadzieję, o Żarniewiczu i całej tej intrydze.

VII.

Pani Monika Wardężyna, starsza siostra Ignacego Szczodrowskiego, miała już blisko pięćdziesiątki, ale wyglądała znacznie młodziej. Mała, pulchna, ruchliwa i wiecznie zaaferowana, stanowiła napozór zupełne przeciwieństwo z wysoką i imponującą postacią brata, miała też zgoła odeń odmienny tok myśli i sposób życia, ale dusze ich były do siebie bardzo podobne. Pan Ignacy był jednym z tych, którzy przez nieśmiałość raczej, niż przez lekceważenie, zamykają w sobie najlepsze porywy i kryją się zazdrośnie z najszlachetniejszymi czynami, obawiając się wpaść w śmieszność lub podejrzenie o pozę; pani Monika przeciwnie całe swe życie wystawiała na widok publiczny, nie przez żądzę rozgłosu lub płytkość duszy, ale dlatego, że żyjąc wyłącznie dla drugich i nie umiejąc przejść koło czyjejś nędzy nie zaradziwszy jej, musiała wciąż obnosić po świecie cudze kłopoty, pukać do wszystkich drzwi, narażać się na drwiny, lekceważenie i paplaninę, byle celu dopiąć. Ale to udawało się jej w zupełności. Znała ją

cała Odesa, gdzie przebywała od zamęścia i pozostała jako bezdzietna wdowa. Polski ksiądz przy kościele na Jekatierińskiej zwał ją słusznie swoją prawą ręką. Nienawidzący się wzajemnie kupcy greccy i żydowscy zawierali chwilowy rozejm na widok jej zrudziałej pelerыny, sięgając pospiesznie do portfelów, a nawet marsowe oblicza rosyjskich oficerów i czynowników rozjaśniały się, gdy ją witali niezawsze wykwintnym konceptem. Zwykle też miała jakąś rodzinę, którą trzeba było ratować od głodowej śmierci, jakiegoś robotnika, któremu ułatwiała powrót do ojczyzny, ucznia, dla którego starała sią o wpis i korepetycye, chorego, któremu należało dostarczyć leków i księdza, nie mówiąc już o dzieciach, które umieszczała w ochronach i o kandydatach na wszystkie możliwe i niemożliwe posady, tych i tamtych bowiem liczba była legion. Taką była ciocia Monisia, o której nazwisku nie wiedziała połowa jej odeskich znajomych; obecnie gwałtem prawie porwana przez przyjaciół uchodzących do Polski. Zacna kobieta przyjęła z serdeczną gotowością wezwanie brata do udziału w ratowaniu Jadwigi. Nie wychodząc z powodu zaziębienia, cały dzień kręciła się niespokojnie z kąta w kąt, nie mogąc doczekać się upragnionych gości. Wreszcie zjawili się pan Ignacy z Oświeyką, pierwszy bledszy i poważniejszy niż zwykle, drugi w najwyższym stopniu rozstrojony i niespokojny.

— Zobaczycie państwo, że ona nie przyjdzie! — wołał, nie zamknąwszy jeszcze drzwi. — Nie puszczą jej. Przemoc! Trzebaby ją siłą wyrwać z tych przeklętych rąk!

Pan Ignacy nie mówił nic, przemierzając wielkimi krokami pokoik.

Pani Wardężyna zato była dobrej myśli.

— Dlaczego niema przyjść? obiecała przecie? a tam koło niej nie bolszewiki żadne i przymuszać tu nie wolno nikogo. Marszałkowa też godna osoba: zawsze jaknajlepiej słyszałam o niej! Nie ją o takie rzeczy godzi się posądzać.

Minęła godzina ciężkiego oczekiwania; pokazało się jednak wkońcu, że ciocia Monisia miała słuszność. Koło piątej rozległ się dzwonek, chwilę później Jadwiga zaróżowiona trochę od chłodu, trochę z zażenowania, zjawiła się we drzwiach.

Ale z ciocią Monisią zażenowanie nie mogło trwać długo. W ciągu paru minut panienka została przez nią kilkakrotnie wyściskaną, posłyszała w kąciku pół tuzina bardzo sekretnych, a niemniej miłych rzeczy, poczuła otaczającą je zewsząd atmosferę serdecznego ciepła. Nie przeszkodziło to wszystko pani Wardężynie zasypywać i rozlewać herbatę, obstawić stolik całym arsenałem wybornych przysmaków, przemyconych cudem z głodnej Odessy, czy też wyszukanych jasnowidzeniem w zbiedniałej Warszawie i zapraszać na nie natarczywie. Wszystkim zrobiło się odrazu dziwnie swojsko i miło. W tym saloniku, który był także zarazem sypialnią, pomiędzy łóżkiem a kuframi na pół okrytymi w mroku, gdyż lampka oświetlała wyłącznie stolik i pochylone nad nim głowy, duszom było jasno i zarówno porucznik, jak Jadwiga odczuwali, że z ciocią Monisią znają się i kochają nie od niewielu chwil dopiero, ale od lat całych.

Nawet Szczodrowski zwykle małomówny lub prowadzący jedynie rozmowy poważne, rozruszał się, żartował, przypominał szkolne czasy i opowiadał zabawne anegdoty myśliwskie. Oboje młodzi śmiali się, dorzucając od czasu do czasu uwagę lub żarcik, potem zaś mieli sobie nawzajem do zakomunikowania wiele rzeczy bardzo poufnych i pilnych, podczas gdy starsza para gawędziła o sprawach rodzinnych i osobistych.

I tak minęło kilka wieczornych godzin...

Naraz jednak rozmowa poczęła rwać się i zamierać. Uczestnicy spostrzegli, że nie wszyscy biorą w niej udział. A wtedy rozpoczęte zdania zastygły im na ustach, a oczy niespokojnie wpatrzyły się w Jadwigę. Trwoga ich wzrosła, gdy spostrzegli zmianę, zaszłą w wyrazie jej twarzy. Ożywiona przed chwilą i zajęta rozmową panienka stała się teraz bladą, jak marmur. Rysy jej znieruchomiały, oczy straciły blask i patrzały przed siebie w przestrzeń nieprzytomnie.

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Pani Wardężyna i Oświeyko utkwili wzrok w Szczodrowskim, czekając odeń rady i rozkazu.

Ale pan Ignacy zaskoczony był niemniej od nich. Widywał ostatnimi czasy niejednokrotnie Jadwigę podrażnioną, takiej nie widział jeszcze nigdy. Ciocia Monisia, nie znajdując u niego pomocy, zwróciła się wprost do panienki

— Co ci jest, rybko? — spytała, obejmując ją pieszczotliwem uściśnieniem. — Czyś nie chora?

Jadwiga nie odpowiedziała i zdawała się nie słyszeć. Pan Ignacy i Oświeyko nie mieli większego powo-

dzenia od pani Wardężyny. Czas jakiś słychać było jedynie tłumione szepty, przerywające milczenie, jak w pokoju chorego, potem nagle młoda dziewczyna podniosła się zwolna i poczęła rozglądać się błędnie wkoło siebie.

— Czegóż chcesz, Jadziu? — zapytał Szczodrowski, przytrzymując ją za obie ręce.

— Muszę iść, — odparła bezdźwięcznym, automatycznym głosem. — Czekają na mnie.

— Kto czeka, na Boga! — zakrzyknął rozpaczliczliwie Oświeyko. — Opamiętaj się pani!

Ciocia Monisia pochwyciła ją w objęcia.

— Nie masz do kogo iść, najdroższa! Tu jesteś między swoimi, tu kochają cię i chcą twego dobra!

Ale Szczodrowski, który zauważył już dawniej, że stanowczość dobrze oddziaływa na chwiejne nastroje Jadwigi, wytężył całą swą wolę i wyszedł zwolna, patrząc jej w oczy.

— Tam nikt ciebie nie potrzebuje. Musisz zostać tutaj.

Jadwiga poruszyła kilkakrotnie powiekami, jak ktoś olśniony jaskrawem światłem.

— Muszę zostać tutaj? — powtórzyła sennie.

— Musisz.

Położyła na stole rękawiczki, które miała już w ręku i poczęła odpinać przywdziany przed chwilą żakiet.

— Usiądź! — rozkazał Szczodrowski.

Usiadła posłusznie. Wejrzenie jej było wciąż mętne, ruchy drewniane, jak u maryonetek, poruszanych sznurkiem. Nie mówiła nic. Jednemu tylko Szczodrow-

skiemu odpowiadała monosylabami lub ruchem głowy. Oni wszyscy patrzyli na nią z przerażeniem. Wardężyna robiła znaki krzyża i szeptała pacierze. Upłynęło w ten sposób pół godziny. Naraz młoda dziewczyna poruszyła się nerwowo i poczęła zapinać żakiet.

— Muszę iść, — powtórzyła tym samym tonem jak przedtem i skierowała się ku drzwiom. Oświeyko uprzedził ją, zasłaniając drzwi sobą. Próbowała go odepchnąć.

— Proszę puścić! muszę iść!

— Musisz zostać! — zawołał gromkim głosem Szczodrowski.

— Tak, tak, zostań z nami, rybko, — zaszlochała ciocia Monisia.

Ale Jadwiga nie zdawała się słów tych słyszeć. Stała przy drzwiach, szamocąc się z Oświeyką, który jej nie puszczał, obojętna na wszystko, co ją otaczało. Wreszcie pan Ignacy wraz z siostrą, odprowadził ją przemocą i posadził na dawnem miejscu.

— Co to będzie, co to będzie? — biadała półgłosem ciocia Monisia. — Czem to się skończy?

Szczodrowski nachylony nad Jadwigą, próbował perswadować i uspakajać. Ona pozostawała obojętną, kończąc zapinanie rękawiczek. Nagle zerwała się i jednym skokiem była przy drzwiach, których już nie bronił Oświeyko. Ale szybki, jak błyskawica, Szczodrowski znalazł się przy niej i odciągnął ją siłą.

— Zamknij drzwi i klucz schowaj, — rzucił porucznikowi.

Do niej zaś zwrócił się łagodnie jak do chorego dziecka:

— Jadziu, zmiłuj się. Obiecałaś przecie! tam zguba twoja, tu ratunek.

Ona jednak wyzwoliła się z apatyi, jaka ją ogarniała dotąd. Na bladą twarz wystąpiły mocne rumieńce, oczy zabłysły gniewem.

— Jakiem prawem więzicie mnie tutaj? — krzyknęła. — Chcę odejść i odejdę.

— Jezus, Marya, któż ciebie więzi, aniołku? — zaprotestowała Wardężyna.

Ona jednak powtarzała wciąż swoje: »jakiem prawem«, nie zważając na perswazye Szczodrowskiego i na błagania Oświeyki, by uspokoiła się, bo przecie nie może w takim stanie wychodzić na ulicę, a potem oni odprowadzą ją sami.

— Ależ mnie tam wzywają! — zawołała wielkim głosem, załamując ręce. — Każą mi pospieszać! On każe, on czeka, on!

— Wściekne się chyba! — krzyknął Jerzy. — Jak ona mówi o tym łotrze, Żarniewiczu?

— Czy tylko o Żarniewiczu? — mruknął Szczodrowski.

I zwracając się do niej, dodał:

— Czy to Żarniewicz woła na ciebie i czeka?

Ona wysunęła naprzód lekceważąco dolną wargę.

— Co mi tam Żarniewicz? on, on!

I jakby odpowiadając na jaki zew, nie słyszany przez nikogo z obecnych, wyciągnęła ręce i z okrzykiem: »idę, idę!«, rzuciła się ku oknu; z niezmierną siłą wy-

rwała je niemal z ram, otwierając i chciała wyskoczyć na ulicę. Obaj mężczyźni wstrzymali ją z największym wysiłkiem. Następnie zamknąwszy okno, porozumieli się oczyma.

— Nieszczęście! zwaryowało biedactwo, — jęknęła pani Monika.

Szczodrowski zaś zwrócił się do młodej dziewczyny, która stała z pałającą twarzą, groźna, podobna do rozgniewanej Junony.

— Czy nie chcesz się zlitować nad nami wszystkimi i nad sobą? — zapytał. — Czy nie dasz się przekonać? Czy nie dotrzymasz obietnicy?

— Obietnica tam mnie wiąże i tam mnie woła, — odrzekła drżącym z oburzenia głosem, — a jeżeli dalej zechcecie znęcać się nademną i wolność krępować, przysięgam, że odbiorę sobie życie.

Szczodrowski rękami rozwiódł, wzdychając.

— Ha, w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak odprowadzić panią do jej mieszkania, — rzekł smutno. — Ubieraj się, Jurku.

Wyszli na ulicę. W tej chwili przed bramą przejeżdżała dorożka. Gwałtownym ruchem młoda dziewczyna wyrwała się prowadzącemu ją Szczodrowskiemu i wskoczyła do pojazdu.

— Jedzie na seans, — westchnął Jerzy. — Chyba i ja za nią pobiegnę, czy co?

— Rób jak chcesz, — odrzucił mu Szczodrowski.

— Bo i jakże zostawiać ją samą z tymi trucicielami duszy? obronić jej, nie obronię, ale będę przynajmniej przy niej.

I pobiegł śladem dorożki, znikającej na zakręcie ulicy.

— Niech cię Bóg prowadzi i wspiera, — rzucił za nim Szczodrowski.

A potem dodał pocichu, patrząc w kierunku, w którym zniknęli oboje:

— Nie wiem kim jesteś ty, z którym zacząłem nierówny bój o to dziecko nieszczęsne, ukochane. Nie wiem, czyś ty jest tylko szarlatanem Żarniewiczem, czy duchem Mocnym, jakim sam zwać się każesz. To wiem, że zwyciężyłeś dzisiaj. Ale i to wiem także, że ostatnie słowo w tym boju nie wypowiedziane jeszcze, i że nie opuszczę rąk w jej obronie, póki mi starczy życia.

Zmilczał przez chwilę, zapatrzony w ciemną noc.

— Tak mi dopomóż Bóg! — dokończył uroczyście.

VIII.

Seans był w pełnym toku, trwał już od półtora godziny, nie był jednak interesujący. Duchy stawiły się wprawdzie na pierwsze wezwanie, ale były szczególnie trapiące swą złośliwością, a przytem nad zwykłą miarę bałamutne. Koncepty ich były dokuczliwe i wprost nieznośne. Prztyczki w nos, wlewanie zimnej wody za kołnierz, targanie za włosy — wszystko to znajdowało się na porządku dziennym. Wzywano Heinego, który okazał zupełną nieznajomość niemieckiego języka i Konopnicką, która odezwała się taką pornografią, że trzeba było co prędzej przerwać rozmowę. Wywołany następnie

duch Mikołaja II zarzucił rzekomej poetce, że wcale nie była tą, za kogo się podała, potem zaś przyznał się sam do tego, że i on nie był zgoła zamordowanym carem, ale rosyjskim bolszewikiem, rozstrzelanym przez jednego z Denikinowskich generałów. Obecni zresztą odnosili wrażenie, że cały wogóle kontakt z duchami był istną grą w chowanego. I nietylko grą w chowanego, prócz niej wyczuwało się pod tymi wybrykami prostactwa czy dobrego humoru, głuchą nienawiść i jakby chęć znęcania się nad znienawidzonymi.

Profesor tłumaczył to, dając liczne przykłady ze swej długoletniej praktyki. Wyjaśniał z pobłażliwym uśmiechem, że w świecie duchów zdarza się nieraz to, co z ulicznikami, towarzyszącymi muzyce wojskowej; muzykę słychać, widzi się wierzch żołnierskich czapek, ale dokoła maszerujących żołnierzy jest taka moc pospólstwa, że dostać się do nich niesposób, póki się chmary żaków nie rozpędzi.

— Ale kto cierpliwy i wytrwały, ten wkońcu postawi na swoim. Żakom z tamtego świata znudzi się wreszcie podszywanie się pod cudze piórka i drażnienie uczestników seansu, wtedy znikną odrazu, jak stado spłoszonych wróbli, a w miejscu ich zjawi się orzeł, duch, którego pożądamy. Zdarza się nawet często, że duch taki najniespodziewaniej sam rozpędza intruzów, dając się poznać właściwym sobie znakiem.

Ledwie skończył te słowa, salę wstrząsnęło potężne uderzenie, jak wówczas, gdy po raz pierwszy objawił się duch Henryka. Wstrząśnienie jednak było jeszcze silniejsze. Szyby w oknach zabrzęczały głośno, ży-

randol nad stołem zakołysał się. Ale zebranych hałas ten nie przerażał, byli przyzwyczajeni do sposobu, w jaki objawiał się Mocny. Uciszyli się wszyscy. Nie było już mowy o Heinem, ani o fałszywym duchu Konopnickiej. Z chwilą, gdy Mocny się zjawiał, rzecz stawała się poważną.

Profesor z twarzą skupioną i pełną namaszczenia zadał duchowi kilka pytań, na które jednak nie otrzymał odpowiedzi. Wreszcie Mocny przemówił przez usta medium.

— Dlaczego nie było Żarniewicza, ani matki, ani Jadwigi? jak śmią? czy Jadwiga nie przyrzekła? czy nie dała znaku? czy Żarniewiczowi zabrakło już woli i wpływu?

Duch był rozjątrzony i gniewny. Znano już dobrze Mocnego, który w przeciwieństwie do łagodnego i cichego Henrysia, nie znosił najlżejszego oporu i pokrzyżowania planów. I teraz gniew jego zaciężył nad zebranem gronem posłusznych adeptów. Przez usta medium sypały się pogróżki i złorzeczenia. Duch urągał nikczemnej słabości obecnych, wreszcie zażądał od nich najwyższego napięcia woli, by sprowadzić co prędzej tych, których brakło przy magicznym stole.

— Nigdy jeszcze nie był takim, — szeptali sobie przerażeni adepci.

Nagle jednak w usposobieniu rozdrażnionego ducha zaszła odmiana. Atak furyi ustał. Miejsce przerażenia zajęło oczekiwanie. Wszyscy milczeli, patrząc naprzemian na kołyszący się stół, na medium i na profesora.

— Co nam ma Mocny do rozkazania? — ośmielił się zapytać po długiej chwili eksksiądz.

— Milczeć i czekać, — brzmiała odpowiedź.

Czekanie jednak tym razem nie trwało długo. Ozwał się dzwonek i do pokoju weszła marszałkowa z Żarniewiczem. Wdowa miała usta zaciśnięte i płomień gniewu w oczach; Żarniewicz był blady i widocznie przygnębiony.

— Niema jej, uciekła! — zawołała drżącym z oburzenia głosem pani Stężyńska. Żarniewicz zaś podszedł szybko do profesora i począł z nim żywo szeptać, gestykulując.

Zebrani poruszyli się, rozpytując się i rozmawiając półgłosem. Ale profesor wnet ich uspokoił.

— Mocny chce przemówić, — oznajmił. — Wszak wiecie, że władnych jego słów oczekiwać należy w skupieniu i ciszy.

Rozmowy ustały. Głos ducha dał się słyszeć spokojny i rozkazujący.

— Dlaczego nie słuchacie mnie? Żądałem i żądam: oczekujcie w milczeniu, ona wnet tu przyjdzie.

Wdowa podniosła ręce do góry, wiążąc je wnet potem z okalającym stół łańcuchem. Wszyscy inni oczekiwali w skupieniu. Oczekiwali niedługo. Drzwi od przedsionka otwarły się. Jadwiga weszła szybko; jakby bezwiednie i automatycznym ruchem przyłączyła się do łańcucha. W tej samej chwili uderzono znów gwałtownie w stół. Duch zaczął mówić:

— Wołałem ciebie przez pośrednika: nie przyszłaś. Nakazywałem ci sam: kazałaś na siebie czekać!

obcy wpływ cię ujarzmił, wróg stanął między mną a tobą, a tyś nie umiała oprzeć się mu. Ona tłumaczyła się.

— Chciałam przyjść, chciałam koniecznie... czułam twą wolę, ale krępowali mnie...

— Dobrze! odtąd nikt prócz mnie nie będzie mógł wpłynąć na ciebie, nie skrępuje woli mojej w tobie. Włożę na ciebie jarzmo moje, słodkie jarzmo... i nie uwolni cię z niego nikt.

— Nie uwolni mnie nikt, — powtórzyła bezdźwięcznym głosem.

— Słabą jesteś, potrzebujesz ochrony i pomocy... będziesz je miała, ale trzeba oddać mi się zupełnie, bez zastrzeżeń i bez powrotu. Ślubować mi musisz... chcesz?

Nie odpowiedziała, bo głos jej nie był w stanie przedrzeć krtani, ale oczy jej patrzyły przed siebie pełne podziwu i poddania. Widziała czego nie widzieli inni, pył świetlny rozproszony w ciemnej przestrzeni poczynał skupiać się i zarysowywać w mgliste kształty Henryka. Wyciągnęła ręce, widmo odsunęło się od niej i zajaśniało wyraźnie, sinym, przeźroczystym odbłyskiem.

— Oddaj mi się... dam ci za to przez wszystkie dni żywota na ziemi całą potęgę moją, by ci się stała puklerzem przeciw wszelkiemu nieszczęściu i smutkowi. Sama, czy z towarzyszem, jakiego ci dam, iść będziesz po kwiatach, wolna od przekleństwa, ciążącego na plemieniu Adama. A gdy przyjdzie kres doczesności, wzniosę cię wysoko ponad tłum duchów, dam ci nieprzemijającą moc i radość, snem szczęścia będzie ci wieczność.

Słuchała bez ruchu, jakby czarem potężnym ujęta; a duch milczał, zdając się oczekiwać odpowiedzi.

— Słyszałaś? więc rozstrzygaj. Chceszli być moją?

Wszyscy obecni wpatrywali się z niespokojnem oczekiwaniem w pobladłą postać kobiety. Ona skłoniła głowę, jakby potakując, ale milczała wciąż.

Duch niecierpliwił się widocznie.

— Strzeż się! bywa czasem w życiu człowieczem chwila wielka, wyroczna, pełnię szczęścia niosąca, ale chwila taka nie wraca po raz drugi... kto jej nie pochwycił w locie, straci ją na wieki!

Wstrzymał się raz jeszcze, potem rzucił twardy rozkaz, jak piorun:

— Mów więc! przysięgnij!

Podniosła rękę, jakby ruchem tym poprzeć chciała przysięgę, ale w tejże chwili schwyciło ją silne ramię i czyjaś dłoń zasłoniła jej usta.

— Nie przysięgaj! — wołał zdyszanym głosem młody Oświeyko. — Nie gub się! bój się Boga!

Jadwiga odwróciła zwolna głowę i ociężałe, znieruchomione dotąd powieki, podniosła na porucznika.

— Nie przysięgać? dlaczego? on przecie żąda...

— Ale wieszże ty kim on jest, ten, który przemawia do ciebie głosem zmarłego Henryka i wkrada się w jego postać? — krzyknął rozpaczliwie Oświeyko.

— Kimże?

— Złym duchem chyba, pożądającym duszy twej, by ją zgubić.

Ostatnie słowa Jerzego pokrył hałas i zamęt. Stało się coś strasznego. Stół, okolony wieńcem adeptów, podniósł się nagle w górę, uderzając w sufit; po drodze rozbił doszczętnie bronzowy żyrandol, zawieszony nad nim

i sam zdruzgotany opadł na ziemię w kilku rozczepionych kawałkach. Równocześnie z niewiadomej przyczyny otwarły się na oścież oba okna i tuman śnieżnej kurzawy pędzonej wichrem, wpadł do pokoju, napełniając go rozszalałym świstem i wyciem piekielnym. Zakotłowało wszystko. Wrzask przerażenia zmieszał się z jękami rannych i deptanych. W ciemnościach adepci obalali jedni drugich, raniąc się o odłamki bronzu i potrzaskanego drzewa, dusili się, czepiając wzajemnie, rwali na sobie odzież i ciało. Blady, rozszalały strach owładnął tak dalece wszystkimi, że długi czas trwali w tem okropnem kotłowaniu, rycząc, piszcząc, jak stado dzikich zwierząt, mieszając przekleństwa z wołaniem o pomoc

Wreszcie ktoś krzyknął o światło. Rzucono się po omacku do elektrycznych guzików, ale zarówno w salonie, jak i w innych pokojach, przewodniki nie działały. Chaos trwał dalej.

Z ludzkiego wężowiska, miotającego się konwulsyjnie po całej sali, wysunął się ktoś do przedsionka. Szedł zwolna, niosąc ostrożnie w obu rękach jakiś ciężar. Zatrzask, pociągnięty silną ręką, odskoczył. Z ulicy padło na schodzącego mężczyznę światło latarni, stojącej naprzeciw okna.

Jurek Oświeyko unosił w swych ramionach zemdloną Jadwigę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Od Bałtyku po Tatry nie widział nikt większych oryginałów, jak doktor Ksawery Sójko i jego brat. Obaj mieszkali razem w zapadłym kącie nad Bugiem, zamknięci w swych książkach, jak dwa ślimaki w jednej skorupie. Doktorem zamłodu szczyciła się Jagiellońska Almae Mater. Przepowiadano, że stanie się gwiazdą wiedzy. Operacye, których dokonywał w zastępstwie ordynaryusza, zyskały mu szeroki rozgłos; parę broszur i szereg fachowych artykułów dały go poznać w świecie naukowym, zarówno w kraju, jak i zagranicą, a jeden z najznakomitszych profesorów, nietylko wybrał go za asystenta, ale gotował się odstąpić mu katedrę, po wysłużeniu lat. Nieszczęściem z katedrą związana była nierozerwalnie zbyt pulchna rączka profesorskiej jedynaczki, być może jednak, że i bez tego dodatku młody uczony zyskałby niedługo wydatne stanowisko, gdyby o nie zabiegał. Ale on nie zabiegał. Nie tyle może przez zbyt wygórowane poczucie godności, ile przez wstręt do wszelkiego jarzma. Powiedział sobie pewnego

dnia: »chcę być sam sobie panem! co mi po zewnętrznym świecie?« — i powiedziawszy to, ukrył się raz na zawsze w żydowskiej mieścinie nad Bugiem, gdzie mu po ojcu lekarzu pozostało obszerne domostwo z ogrodem i praktyką. Była przytem i sukcesyjka, — druga spadła jakoś niedługo po dalekich krewnych i dzięki temu młody lekarz, opukawszy licznych pacyentów w przedobiednich godzinach, mógł zamykać się na resztę dnia ze swymi książkami i przyrządami, zapełniającymi mu jeden pokój za drugim, a z czasem oficyny i strychy. Bo doktór Ksawery Sójko był niezmordowanym pożeraczem książek, a nikt pilniej odeń nie trzymał ręki na pulsie naukowego życia i postępu wiedzy. Nie mając zdolności do języków, wyuczył się ich kilku poza szkolnym programem, byle nie uronić żadnego ze spostrzeżeń i zjawisk, notowanych przez prasy drukarskie na obu półkulach. Ale wiedza jego była zazdrosną. Nie zdawał sobie z niej sprawy nikt, bo doktór nie otwierał skarbów swej mądrości nikomu. Wiedziano tylko, że odbierał bezustannie transporty książek i wielkie paki z napisem »szkło«; wiedziano też, że od czasu do czasu smażył coś podejrzanego w retortach, rozpuszczając dokoła kłęby wstrętnie woniejącego dymu. Za dawnych czasów oskarżonoby go zapewne o czarnoksięstwo, obecnie ruszano ramionami i uśmiechano się litościwie. Co poradzić z cudakiem?

Jeden człowiek przecie brał ścisły udział w tem dziwacznem życiu, a był to ksiądz Marceli. I on także był przodownikiem umysłowym współczesnego pokolenia kapłanów i z jego przyszłością także łączono daleko idące

nadzieje. Młodzieńcem niemal otrzymał katedrę Akademii, a choć nie wymowny, jędrną swą wiedzą i wysokim polotem myśli, pociągał za sobą w górne szlaki młodzież, jak żaden inny. Jak Ksawery, był on zbieraczem i pochłaniaczem ksiąg, ale podczas gdy jego brat ograniczał egoistycznie wiedzę do własnego użytku, ksiądz starał się promieniować nią jaknajszerzej i nie stałby się zapewne nigdy towarzyszem ślimaczego życia lekarza, gdyby nie straszna nerwowa choroba, która złamała mu życie w pełni sił i pracy. Obezwładniony w swym fotelu, niezdolny wytężyć umysłu do twórczego czynu, chory kapłan stał się ruiną. Jedynym interesem życiowym, jaki mu pozostał, było czytanie, które mu dawało złudzenie dawnego życia. Materyalnie niezależny, jak brat, przeniósł się z nad Newy do nadbużańskiego domostwa, zapełniając kilka izb nieustannie powiększaną biblioteką.

W ten sposób od lat kilkunastu żyli obok siebie ci dwaj ludzie, różnemi drogami doprowadzeni do tej samej bierności. Jeden uprawiał nauki przyrodnicze i psychofizyczne, drugi snuł dalej wątek studyów teologicznych. Obu ogarniała tak samo nieprzeparta żądza wiedzy, tylko że jednemu wiązała skrzydła nieuleczalna i trawiąca choroba, drugiemu, przyobleczone w pozór nieokiełznanego indywidualizmu, lenistwo. We dwóch stanowili dla siebie świat cały, broniąc do niego zazdrośnie wstępu intruzom. A w tym wiecznym sam na sam ochroną przed nudami była nieustająca nigdy naukowa kłótnia. Doktór był skończonym niedowiarkiem, w księdzu siedział apostoł. W apostole choroba wyrobiła spory

zasób żółci, a profesura — apodyktyczność; doktór natomiast był fanatykiem w swych pojęciach, a studya, uprawiane przez brata, uważał za rupiecie niegodne nawet przedsionka świątyni wiedzy. W tych warunkach współżycie ich było jedną burzą, ale burza ta dawała interes życiu i wiązała jeszcze ściślej te dwie tak do siebie podobne natury.

Owych dwóch oryginałów poznał Szczodrowski dzięki przygodzie, jaka go spotkała wpobliżu ich siedziby. Czas jakiś przed wojną, wypadło mu dla interesów bawić w tych stronach. Grasowała tam wtedy banda opryszków, ścisłymi stosunkami związana z miejscową policyą. Część tej bandy napadła na Szczodrowskiego prawie u wjazdu do miasteczka i odbyła z nim formalną bitwę, po której zostało na placu czterech ludzi mniej lub więcej ciężko rannych. Jednym z nich był Szczodrowski. Opryszków pospieszyli usunąć z gościńca ich sprzymierzeńcy, zaszczepiający tak starannie ziarna przyszłego bolszewizmu, w »Zabużyju i Priwiślinniju«; panu Ignacemu zmarłoby się zapewne z utraty krwi, gdyby nim nie zaopiekowały się jakieś poczciwe baby, zdążające na targ wczesnym rankiem. One to zawiozły rannego do mieszkania doktora, który nietylko udzielił mu pomocy, ale umieścił go we własnem mieszkaniu i wraz z księdzem Marcelim otoczył najtroskliwszą opieką. Szczodrowski przepędził w niedostępnem dla nikogo innego sacrosanctum obu dziwaków kilka tygodni, które później zaliczał do najmilszych w życiu. Przekonania jego stawiały go na punkcie pośrednim między obu wojującymi przeciwnikami, a wyższy poziom umy-

słowy pozwalał ocenić urok obcowania z nimi. Wprawdzie studya przyrodnicze i teologiczne ucierpiały na tem mocno i trzej rozprawiający spostrzegali się nieraz po północy, że nie doprowadzili do końca dyskusyi, zaczętej z początkiem obiadu. Odludkowie jednak nie gniewali się na to; owszem, zżyli się tak mocno ze swym wspólnym pacyentem, że odjazd jego stał się dla obu prawdziwą katastrofą i zostawił lukę, niczem nie zapełnioną. W rozgwarze światowym, do którego zmuszony był wrócić, brakło i Szczodrowskiemu przez dłuższy czas jego nadbużańskich gospodarzy. Zachował o nich pamięć serdeczną i utrzymywał listowne stosunki, raz nawet jadąc do Warszawy, zajechał do nich na dzień, z którego zrobił się tydzień.

Obszerny dom w Jastrzębowie z cienistym ogrodem, schodzącym ku rzece, i całym szeregiem oficyn i przybudówek, stanął w oczach Szczodrowskiemu od pierwszej chwili, w której uznał konieczność usunięcia Jadwigi z Warszawy. Trudno było istotnie o lepsze warunki. Mieścina leżała zdala od kolei i nie łatwo było odkryć w niej ukrywającą się panienkę. Gospodarzy znał Szczodrowski dostatecznie, by wiedzieć, że przyjmą i jego i obie kobiety z otwartemi rękoma. Stan nerwów Jadwigi wymagał niewątpliwie czujnej opieki lekarza, a doktór Ksawery był przecie nietylko lekarzem, ale i specyalnym znawcą zagadnień psychicznych, z któremi wiązał się nastrój i los młodej dziewczyny. Co do ks. Marcelego, Szczodrowski liczył na jego wpływ kojący, ale liczył i na coś więcej. O dziwnych zjawiskach, których ofiarą stała się Jadwiga, wierny jej przyjaciel

i opiekun wyrobił sobie pojęcie jasno określone, a z tak urobionym w jego mózgu obrazem, wiązała się interwencya kapłana. I z tych wszystkich powodów postanowił wywieść Jadwigę do Jastrzębina jeszcze przed owym wieczorem, w którym zemdloną narzeczoną uniósł na rękach Jurek Oświeyko z tak strasznie zakończonego seansu. Odwieziona do pani Moniki młoda dziewczyna przez dni kilka przychodziła powoli do siebie pod jej prawdziwie macierzyńską opieką po doznanych wstrząśnieniach, potem Szczodrowski zabrał obie panie do Jastrzebina.

Wojujący między sobą odludkowie oczekiwali na gości swych cierpliwie, a przyjęli ich z otwartemi rękami. Obaj przez dni kilka znosili z całego wcale zasobnego domostwa to wszystko, co posiadali najcenniejszego w takiej ilości, że w kilku dość obszernych pokojach nie sposób było obrócić się. Cieplarnia, którą lubili obaj, została wypróżnioną doszczętnie, w oficynie zato niepodobna było oddychać od zbyt silnej woni egzotycznych kwiatów, ani zrobić kroku, nie zaczepiwszy o liść palmowy. Ksiądz, któremu choroba nie pozwalała wychodzić do kościoła, odprawił nazajutrz nabożeństwo w domowej kapliczce na intencyę spadłych im z nieba gości, podczas gdy doktór pospieszył wprawić w ruch na ich cześć wszystkie maszyny, znajdujące się w jego laboratoryum i spowodował tak niesłychane wonie, że od nich krztusili się i kaszlali nietylko domownicy, ale i przechodnie na ulicy. Nie potrzeba dodawać, że przyjazd warszawiaków dał gospodarzom sygnał do rozpoczęcia wzajemnej ofenzywy na większą, niż kiedykol-

wiek indziej, skalę. Szło tym razem o zjednanie sobie już nie pojedynczego adepta, jak podczas rekonwalescencyi pana Ignacego, ale o trzy dusze, które obaj współzawodnicy ocenili odrazu, jako nader niepospolite, dwie umysłem, trzecia sercem.

Zaczęły się więc szturmy wrogich potencyi do fortec, które nie miały wcale ochoty się bronić. Zapatrywania Szczodrowskiego przedstawiały średnio proporcyonalną poglądów gospodarzy; ciocia Monisia od pierwszych słów przerywała zatarg upewnieniem, że przeciwnicy chcą absolutnie tego samego; pozostawała Jadwiga, którą doktór starał się wyleczyć z naleciałości spirytyzmu, dowodząc, że duchów wogóle niema, a widziane przez nią zjawy są wytworem sugestyonowanej wyobraźni, podczas gdy ksiądz dowodził przeciwnie, że świat nadprzyrodzony otacza nas zewsząd i wplątuje się w nasze życie, a najbardziej przez robotę mediumistyczną. Szczodrowski z początku obawiał się poruszania tego rodzaju tematów, przekonał się jednak rychło, że nie wywierają one oczekiwanego wpływu. Od przybycia do Jastrzębina Jadwiga wracała szybko do normalnego stanu: z dawnych nastrojów i podrażnień nie pozostało ani śladu. Z natury zrównoważona i czynna, raz otrząsnąwszy się z przygniatającego ją w ostatnich miesiącach marazmu, wzięła się do pracy, znajdując w niej skuteczne lekarstwo przeciw rozstrojowi duszy. Po kilku dniach okazała się niezrównaną asystentką w laboratoryum pana Ksawerego i wprost idealną bibliotekarką jego brata.

Znalazło się też wnet grono dziatwy, potrzebu-

jące gwałtownie nauki abecadła i katechizmu i już odtąd nie widywano warszawskiej panienki bez wydłużonego ogona, czepiających się jej spódnicy dzieciaków.

W pustelni zazwyczaj tak cichej i niedostępnej nikomu zaroiło się od nowych twarzy, a zwłaszcza twarzyczek; trawą zarosłe aleje starego ogrodu napełniły się głośniejszym od ptaszęcego szczebiotem. A tymczasem wiosna szła, niosąc ze sobą snopy świateł i wczesnego kwiecia, woń pączków i zieleń traw i szeroki oddech ziemi, budzącej się do życia. I życie to nabierało z każdą chwilą potęgi, wyrastało zewsząd zwycięskie, głośno zaprzeczając śmierci.

Jadwiga czuła, jak pierś jej znękaną tak długo napełniać poczyna jasność i radość. Jakże dalekiemi były od niej dziwaczne fantasmagorye minionej jesieni i zimy. Przez cały ten czas istnienie jej stało się jedną potworną halucynacyą; straszne wizye seansów odnawiały się nocami, odpędzając sen ze znużonych powiek, ściskając mózg płomienistą obręczą, plącząc myśli w rozszalałym korowodzie mar piekielnych. Przeciwne moce szarpały ją, wydzierając sobie bezlitośnie, wola jej stała się jakby czółnem pozbawionem steru i wichrami miotanem wśród wzburzonej fali. To wszystko, co wiośnie życia nadaje nieprzeparty, promienisty urok, odepchnięto od niej, zasłaniając wyobraźnię cmentarnymi kirami, by ani promyk światła nie dostał się do znużonego serca. I teraz to wszystko rozwiało się, zapadło w otchłań, noc straszna skończyła się, słońce stanęło w pełni swego królewskiego majestatu, miejsce ponurego tańca śmierci, zajęło nieśmiertelne prawo życia, miłości, szczęścia...

Jakże dalekim jest ten ciasny światek od wrzaskliwego zgiełku warszawskich ulic, od grozy i rozpaczliwego smutku mediumistycznych seansów. W powietrzu czuć miodną słodycz rozkwitających lip, zmieszaną z mocniejszym zapachem irysów. W gęsto zarosłym klombie słowik zalewa się srebrnym świergotem, witając dłużące się cienie bliskiego wieczora. Przez otwarte okno słychać ożywioną kłótnię walczących braci; wśród gamy rozdrażnionych głosów przedziera się od czasu do czasu metaliczny baryton Szczodrowskiego i uspakajający falsecik cioci Monisi. Na stopniach werandy rozsiadły się dzieci, znużone długą bieganiną, śmielsze upominają się o chleb z masłem i powidłami, należny im o tej porze. Najmniejsze wdrapują się na kolana panienki, zasypując ją deszczem pytań. A ponad rozgwarem i hałasem unosi się złocista cisza wieczoru.

I nagle rozlega się dzwonek. — »Pewnie do chorego«, myśli Jadwiga. Od czasu przybycia gości doktór był dostępniejszy, dawał się nawet na wyjazd wyciągać. Ale nie, to chłopiec z telegrafu. — »Telegram do tego pana z Warszawy«. Młoda dziewczyna podnosi z roztargnieniem głowę. Szczodrowski ma tylu znajomych, tyle interesów!... Ale w tejże chwili ciocia Monisia wypada, jak bomba, powiewając rozerwaną kartę telegraficzną, jak sztandarem.

Jurek przyjeżdża! jutro tu będzie! prosi o wysłanie koni na całą noc. Robi się zamęt, bracia przestają się kłócić o metafizykę, natomiast rozżarza się między nimi energiczna walka o wybór woźnicy i o umieszczenie nowego gościa. Doktór jest zażartym wrogiem ży-

dów i wali w księdza zarzutem filosemityzmu, jak maczugą. »Ładny chrześcijanin, ładny sługa Boży, kumający się z temi pijawkami, protegujący wyzyskiwaczy ludu! to jest po prostu bolszewizm! gdyby rząd nie był tak niedołężny, gdyby on, doktór Ksawery Sójko, był ministrem spraw wewnętrznych, kochany ksiądz brat wisiałby już dawno na jedynej latarni, jaką w środku swego rynku posiada Jastrzębin«.

Ale ksiądz nie dawał się zjeść w kaszy. Jeżeli być bolszewikiem znaczy to mieć ludzkie instynkty i zasady etyczne, to on zgadza się chętnie na nazwę bolszewika. Żydzi są ludźmi: wielu jest złych, ale są i dobrzy, a tych czyż godzi się potępiać za winy nie popełnione przez nich. Są ciemni: trzeba ich oświecać, a nie mścić się za ich ślepotę. Wyzyskują? Dobrze, ale czy wśród chrześcijan niema paskarzy? a przytem, czy wyzysk i chciwość nie są koniecznem następstwem ich nędzy, tak samo jak ich nienawiść ku nam — następstwem wiekowych krzywd?!

Kłótnia zajątrzała się coraz mocniej, skomplikowana jeszcze tem, że doktór chciał umieścić porucznika w skrzydle zajmowanem przez siebie, podczas gdy ksiądz przeznaczał mu jeden z własnych pokoi.

— To szczyt egoizmu i niegrzeczności umieszczać kogoś wśród najohydniejszych wyziewów twojej dyabelskiej apteki, — krzyczał zaperzony ksiądz. — Chcesz go chyba przyprawić już nie o ból głowy, ale o śmiertelne zatrucie, żebyś potem chlubić się mógł uzdrowieniem.

Doktór wyrażał w odpowiedzi księdzu-bratu głęboką pogardę dla jego argumentów i osoby, zaznacza-

jąc przytem, że słoje kurzu na półkach i stosy zjedzonych przez mole szpargałów przyprawią prędzej o chorobę Oświeykę, od zdrowotnych i pokrzepiających woni jego retort. Słuchając tych rozpraw Jadwiga poczęła niepokoić się o Jurka, gdyż wobec zacietrzewienia przeciwników trudno było przypuszczać, że dojdą do porozumienia i wyślą na stacyę furmankę. Ale ciocia Monisia poczęła jej robić ze swego kąta uspokajające znaki. Idąc za jej radą pan Ignacy wymknął się niepostrzeżenie do miasteczka, gdzie w tej chwili musiał już dobijać targu, czy to z Janklem Cwajnosem, czy z Szyją Pudermantlem, czy wreszcie ze sławetnym Jacentym Biedrzakiem; ci trzej mężowie bowiem dzierżyli w swych rękach monopol zewnętrznej komunikacyi Jastrzębina ze światem.

Istotnie nazajutrz przy rannej kawie grono domowników powiększył nowy gość z Warszawy. Spodziewano go się później: on ozłocił swego Automedona i zastał doktora w szlafroku, a ciocię Monisię w porannym negliżu. Było z tego powodu w pierwszej chwili trochę pisku i zamieszania, wnet jednak uspokoili się wszyscy, gdy Jurek począł streszczać ostatnie telegramy agencyi i zdawać sprawę z najnowszych plotek na warszawskim bruku. Prowincya przepada za nowinami, a warszawscy goście doktora mieli już czas stać się prowincyą. Oświeyko sypał nowinami, jak z rękawa, pełen coraz większej werwy i humoru. Atmosfera, w której się znalazł, tak była odmienną od wszystkiego, co zostawił poza sobą! Przez tych kilka miesięcy żył wyłącznie śmiercią; przed oczyma jego znękanej wyobraźni przesuwały się wciąż

jedne za drugimi krwawe obrazy zezwierzęcenia, męki i pogromów. Każda nowa twarz, którą spotykał, każda rozmowa obijająca się o jego uszy, dorzucała jeden ponury błysk do tego piekielnego ognia, wpijała się w serce jednym więcej cierniem. A po tych okropnościach, o których opowiadali żywi, przychodziły pełne grozy zwierzenia umarłych, plącząc senną zmorę z zaświatową zjawą, nadając rzeczywistości pozór złudy, czy też kłamiąc, że złuda jest rzeczywistością. I w tej zawrotnej kąpieli wrażeń potwornych i niesłychanych fantasmagoryi żyło całe otaczające go środowisko, zwiększając dobrowolnie straszliwą swą nędzę i niedolę zdzieraniem zasłony z posągu Izydy, kontaktem z tajemniczymi światami, do których życie dotychczas nie miało dostępu.

— I oto zamiast bydlęcego ryku i gwizdu ohydnych samochodów; zamiast kurzawy i zaduchu nieskrapianych ulic, zamiast krzykliwych ogonów i rozpraw nad ceną chleba i kartofli — zielenieją przed nim, posiane kwiatami, trawniki, szeleszczą z cicha klony i lipy, podnoszą w górę białe swe kadzielnice jaśminy. Tam w głębi, ponad gęstwą splecionych krzewów, stoi poważnie klekocąc bocian. Pomiędzy gałęziami prześwieca złocisto zielonawym przebłyskiem rzeka, ku której zstępuje terasami ogród. Dokoła stołu na werandzie pochyla się ku Jurkowi kilka poczciwych, przyjaznych twarzy, a między niemi jedna uśmiecha się ku niemu siostrzanym i więcej niż siostrzanym uśmiechem, wpijając się weń fiołkowemi oczyma tak mocno, jak gdyby od tych dwojgą oczu, nicby już nie było w stanie go oderwać. Jurek Oświeyko czuje się nad miarę szczęśliwym. Już

niema nic z tego co było, już się skończyły bole, strachy i widma, już chwycił krzepką dłonią przeznaczenie i sterować będzie niezachwianie losem własnym i stokroć droższej dla siebie istoty ku niedalekiej przystani, pełnej blásku i radości...

I w tej pełni szczęścia przyciska rękę Jadwigi do ramienia i schodzą zwolna oboje w dół ogrodu, zostawiając poza sobą i tę odrobinę gwaru i życia, jaką rozbrzmiewa stare domostwo. Ogarnia ich cisza i świeżość. Stare, rozrosłe drzewa nakrywają ich swemi gałęziami, szepcząc z cicha, że nikt im tu nie stanie na zawadzie i że oto są tutaj sami jedni i nic niema poza nimi, jeno patrzący na nich z nieba Bóg i miłowanie gorejące w ich duszach. On dłoń jej do ust podniósł, a potem do rozpalonego czoła ją przycisnął, ona przysunęła lekko głowę do jego ramienia i stoją tak przy sobie długo, patrząc w srebrzystą dal Bugu.

I oto on poczyna pierwszy snuć przed nią wątek wspomnień. Ten bal w Kijowie, gdy ją ujrzał po raz pierwszy... od tej chwili przylgnęła do niej na zawsze jego dusza. A ona? czy także wtedy? tak, wtedy! zaczarowali się wzajem... dla niego lubystkiem były jej oczy, a dla niej...

On chciałby dowiedzieć się, co ją mogło pociągnąć do takiego poleskiego niedźwiedzia... musiało coś pociągnąć, skoro... Poczynają się przekomarzać, z ust wyrywają im się wybuchy zdrowego, młodzieńczego śmiechu. Coraz żywiej biegnie im rozmowa, coraz bliżsi czują się sobie wzajem. Jak we śnie opuszczają zielone swe schronisko, posłuszni dyszkantowi cioci Monisi nawołującej

ich z werandy na obiad. Jak we śnie siadają do stołu, opowiadając, śmiejąc się, żartując, wszystko to jednak czynią, jakby nie na ziemi, jakby unosiły ich w powietrzu niewidzialne skrzydła. I tak trwa dzień cały, dzień drugi i trzeci.

II.

Podczas jednak, gdy dwoje młodych unosiło się w chmury, starsi nie próżnowali. Przed obu gospodarzami Szczodrowski nie zataił nic z historyi Jadwigi, ani z zamiarów, co do jej przyszłości. Zgadzali się wszyscy na to, że jedynem wyjściem z trudnego położenia było jaknajprędsze małżeństwo z Jurkiem. Jurek modlił się o to, a pani Monika, po pewnej tajemniczej konferencyi w sypialnym pokoju, oświadczyła z miną tryumfującą, że Jadzia nic niema przeciw temu. Szczodrowski jednak, nie zadawalniając się upewnieniem siostry, zapytał młodą dziewczynę trochę przytłumionym głosem, czy taka jest istotnie jej wola. Zarumieniła się i spuściła głowę przez chwilę, potem jednak podniosła na opiekuna świetliste swe oczy i odrzekła spokojnie i bez wahania:

— Tak jest! to jest moja wola.

— Kochasz go? — szepnął głucho.

— Z całego serca, — odparła, pochylając czoło do jego ramienia. On rękę położył jej na głowie.

— Niechże cię Bóg błogosławi i ochrania, — rzekł poważnie. I wyszedł szybko z pokoju, bo czuł, że opuszcza go zwykły hart i że gotów się zdradzić. Ale wnet ujrzał przez otwarte okno Oświeykę, przechadzającego

się gorączkowo po trawniku i zrozumiał, że chłopak domyślać się musi czegoś i cierpi mękę. Przywołał go więc do okna i przechylając się, objął go i przycisnął do serca.

— Idź do niej, — szepnął mu. — Podziękuj jej... i niech będzie szczęśliwą!

Tego samego dnia ułożono, że ślub odbędzie się za trzy tygodnie w Jastrzębinie, w gościnnym domu zacnych dziwaków, którzy ani słyszeć chcieli o jakiej innej kombinacyi. Eksprofesor wziął na siebie załatwienie formalności kościelnych, Oświeyko wracał dla interesów do Warszawy, potem miał jechać do Krakowa dla urządzenia tam gniazdka, zapadła bowiem jednomyślna uchwała, że państwo młodzi osiedlą się w Krakowie, dla tem lepszego zerwania wszystkich nici, jakie wiązały Jadwigę ze spirytystami. Ze względu na warunki, w jakich znajdowali się oboje młodzi, małżeństwo miało być utrzymywane w najściślejszej tajemnicy i na ślub nie proszono nikogo.

Jadwiga brała udział w naradach. Spokojna, uśmiechnięta, z błyskiem pogodnej radości w oczach, przysłuchiwała się zatroskanym o jej szczęście przyjaciołom, wywdzięczając się im ciepłem spojrzeniem i serdecznym uściskiem dłoni. Odzywała się mało, ale ze słów jej tchnęła ufność i pogoda. Zostawiali też często wraz z Jurkiem starszych, radzących nad ich losami, biegnąc sami ku rzece, cichemu świadkowi ich nieskończonych, zawsze równie interesujących zwierzeń.

Oświeyce trudno było wyrwać się z tego otoczenia, odpowiadającego tak dobrze wiośnianemu nastrojowi

jego własnej duszy. Ale kiedy tydzień pobytu jego w Jatrzębinie minął i zaczął się drugi, a trzy tygodnie, oddalające termin ślubu, stopniały do dwóch, Jadwiga wystąpiła jak *deus ex machina*, oznajmiając, że na dalszą zwłokę nie zgadza się, i że narzeczony musi jutro jechać wieczornym pociągiem.

Energiczna inicyatywa panienki wywołała powódź żartów i dokuczań, w których wzięła udział nawet ciocia Monisia, obiecując wyhaftować jako podarek ślubny dla panny młodej pantofelek. Ale panienka oświadczyła z uśmiechem, że skoro ma mieć Jurka nieodłącznym towarzyszem życia, może przecie znieść rozstanie się z nim na parę tygodni. Wszyscy potwierdzili z zapałem, lubiąc ją bowiem nad miarę, ulegali jej przeważnemu wpływowi. Jeden Jurek był w głębi serca nieco odmiennego zdania, bo mu okrutnie nie chciało się odjeżdżać. Ale wziął to za słabość i słabości tej nie dał poznać po sobie.

Wieczór zapowiadał się smutnie. Zbierała się burza. Powietrze ciążyło ołowiem. Zdaleka odzywało się złowrogie warczenie gromu. Czarne chmury zasłaniały widnokrąg, przedzierane co chwila złotymi zygzakami błyskawic. Okna pozamykano, chroniąc je przed nadchodzącą burzą i prawie niepodobna było oddychać. Wszyscy siedzieli dokoła okrągłego stołu znużeni i senni.

Pochylona z Oświeyką nad jakąś starą książką, pełną ciekawych drzeworytów, Jadwiga była bardzo blada i usta zaciskały się jej nerwowo. Od czasu do czasu podnosiła rękę do piersi, jakby dla zaczerpnięcia

oddechu. Pani Monika rzucała na nią raz po raz wzrokiem pełnym troski.

— Zmęczona jesteś, rybko, — mówiła, głaszcząc ją pieszczotliwie po włosach. — Cóż dziwnego! Taka parnota.

— Ma się wrażenie, jakby zamiast powietrza żar płynął do płuc! — zauważył doktór.

— Od przybycia naszego tutaj pogoda była stała, — rzekł pan Ignacy. — Żadnych wichrów i śnieżyc z początku, potem ani jednego grzmotu, ni większego wiatru. Parę przemijających deszczów i koniec.

— I tak nam tu było słodko i miło w tej ciągłej kąpieli słonecznej, — dodała pani Monika. — A teraz...

— Cóż teraz? — podchwycił doktór, który lubił z nią przekomarzać się. — Cioteczka boi się? Co, boi się?

Wardężyna podniosła na niego okrągłą swą twarz, pozbawioną tym razem nie schodzącego z niej zazwyczaj uśmiechu.

— A tak, boję się, — przyznała po chwili milczenia. — Nie mogę znieść grzmotu i błyskawic.

— A taka energiczna i zaradna, kiedy słońce świeci, — zaśmiał się doktór. — Oj te nerwy kobiece.

— U ciebie zaraz nerwy, — ofuknął ksiądz. — A może wcale nie nerwy.

— I ja myślę, że nie, — przytwierdzała pani Monika. — Byłam przecie świadkiem, jak bandy skazańców bolszewicy prowadzili na ten statek w porcie, na którym ich topiono — i wcale nerwy we mnie nie grały. A potem kiedy u mnie robiono rewizye i kiedy wpakowano do więzienia i kiedy przez kilka dni byłam pewna

rozstrzelania — ani mi się śniło obawiać! Ot czasem zrobiło się nieprzyjemnie, myśląc, że przed śmiercią będą może katować, ale przypominałam sobie wnet, że w tem wszystkiem — wola Boża, i wszelki strach, jak ręką odjął! a teraz — ot głupstwo, niema naprawdę czego, a ja jednak boję się...

— Może nie takie głupstwo, jak pani sądzisz, — zauważył ksiądz. — I racya może jest, choć jej nie widzisz.

— Ten znów zaczyna ze swoim mistycyzmem, — mruknął gniewnie doktór.

— My wszyscy popełniamy ten błąd, że zjawiska codzienne bierzemy za powszednie i rozumiejące się same przez się, — mówił dalej ksiądz. — Nie sięgamy w głąb rzeczy, nie zwracamy się z zapytaniem do instynktów własnej duszy, które ostrzegają nas trafniej od zmiennych formułek wiedzy; nie pytamy zwłaszcza ludu, przechowującego w tajnikach natury pierwotnej wytłumaczenie niejednego z zagadnień bytu.

— Zwracam twą uwagę, że za chwilę wpadniesz w zwalczany przez ciebie gnostycyzm, — wtrącił ironicznie pan Ksawery, a Szczodrowski przypomniał sobie, że istotnie słyszał Żarniewicza przemawiającego w nieco podobny sposób. Ale dawny profesor nie dał zbić się z tropu.

— Co innego zupełnie tajna wiedza gnostyków i ich przyjaciół manichejczyków, a co innego świadomość tajników przyrody. Świadomość tę posiada gmin w wyższym stopniu od intelektualnych, a niektórzy wśród gminu posiadają jej więcej od innych. Niektórzy wie-

dzy tej nadużywają i w tem źródło guseł, ale gdzie niema nadużycia, tam korzystać z wiedzy się godzi.

— Pojechał już na swym koniku, — syknął złośliwie doktór.

— Owoż lud wiąże gwałtowne wstrząśnienia przyrody, gromy, wichry i burze z wpływem złych sił. Gdy grzesznik niepoprawny ma wyzionąć ducha powstaje straszna nawałnica. Gdy wicher szaleje, łamiąc wierzchołki drzew, lud to zwie dyabelskiem weselem. Ilekroć przejawia się potęga ciemności, próbując skruszyć wiążące ją pęta, towarzyszy temu rozigranie się żywiołów. Tak wierzy lud, a ja, przyznam się państwu, nie widzę racyi, dlaczegobym miał wierzyć inaczej.

— Ładnych uczonych wybierają biskupi na akademickie katedry! — zaśmiał się pan Ksawery. — Równie dobrze możnaby w togę i biret ubrać pierwszą lepszą babę, opowiadającą historyę o wiedźmach i upiorach.

— Widocznie więc starą babą, opowiadającą brednie, był jeden z najgłębszych myślicieli zeszłego wieku, którego i sam znasz i cenisz, mimo twego zacietrzewienia w przeciwnym kierunku, — odciął się ksiądz Marceli. — Józef de Maistre bowiem utrzymuje bez ogródek, że burze są objawem buntu sił piekielnych i żądzy zniszczenia przeciw Boskiemu ładowi świata. W nocy i w burzy zwiększa się moc przeklętego nad światem. Dlatego to gusła wszelakie potrzebują osłony ciemności, a modlitwy kościelne i zażegnywania burzy nie samą tylko ochronę od szkód materyalnych mają na celu.

— Masz tobie, zamiast elektryczności, piorun jest

u ciebie bijącym w bęben dyabłem, — huknął rozłoszczony już na seryo doktór, podnosząc się hałaśliwie z fotelu. Ale ksiądz nie miał czasu odpowiedzieć, w tej chwili bowiem oślepiająca białość zalała izbę i wnet potem rozległo się w pobliżu straszliwe uderzenie gromu, po którym raz po raz, jak szereg salw działowych, nastąpiły uderzenia inne, prawie równie donośne.

— Jezus, Marya, — zapiszczała, żegnając się, ciocia Monisia, — ratujcie nas święci Pańscy.

— Amen, — dokończył poważnie ksiądz.

— Droga, co tobie? — rozległ się wśród hałasu nabrzmiały trwogą głos Jurka.

Jadwiga siedziała bez ruchu, zesztywniała, z oczyma rozwartemi szeroko i wpatrzonemi w okno. Złote odbłyski niebieskiego ognia ślizgały się po jej włosach, otaczając je jakby dziwnym jakimś nimbem. Twarz skurczyła się boleśnie, zęby szczękały, jakby w okropnem przerażeniu.

Zerwali się wszyscy. Grad przerażonych pytań i wykrzykników zmieszał się z hukiem grzmotów i z potępieńczym wyciem wichru. Pani Wardężyna pochwyciła młodą dziewczynę i przytuliła do siebie, doktór ujął ją za rękę.

— Co ci jest? Co się stało? — pytano ze wszystkich stron.

A ona stała, szczękając zębami i drżąc całem ciałem, jak w febrze.

— Nic, nic! — odpowiadała urywanym głosem.— To przejdzie!

— Ale dlaczego drżysz? — dopytywała się ciocia Monisia. — Czy boisz się czego?

Skinęła głową, a potem twarz ruchem przestraszonego dziecka ukryła w fałdach sukni przyjaciółki.

— Boję się! — szepnęła.

— Ale czegóż? Przestraszyło cię coś?

Poruszyła przecząco głową.

— Więc cóż?

— Nic... Ale boję się, boję...

— Rzecz dziwna! — zaopiniował doktór, odejmując rękę od pulsu. — Puls całkiem normalny, spokojny i nieprzyspieszony.

Ale ksiądz położył jej rękę na głowie.

— Z ciałem wszystko może i normalne, ale z duszą źle się dzieje, — rzekł półgłosem. — Niedarmo rozszalała się tak piekielnie burza.

— Trzeba pannę Jadwigę położyć zaraz do łóżka, zasłonić szczelnie okna i dać kompres na głowę, — ordynował pan Ksawery. — Spokój zupełny i lekka dyeta. Pojutrze nie zostanie śladu z tego ataku.

— A ja myślę, że spokój zewnętrzny nie pomoże tam, gdzie brak spokoju w duszy, — mruknął pod nosem ksiądz. — Kompresy kompresami, ale nie zawadziłaby i modlitwa. Możnaby i razem, ale cóż, kiedy z pana brata farmazon! Są jednak rzeczy, które i farmazonom powinnyby otworzyć oczy...

Mówiąc to ksiądz wpatrywał się uważnie w zmienioną twarz młodej dziewczyny, a potem pochylił się ku Szczodrowskiemu, stojącemu obok.

— Słyszałem już o tem wszystkiem od pana, ale

teraz dopiero widzę dokładnie, co się święci, — szepnął. — Nie dobra sprawa, bardzo niedobra!

Jadwiga tymczasem wysunęła się z objęć cioci Monisi. Ręka jej szukała dłoni Jurka i ścisnęła ją konwulsyjnie.

— Czego chcesz, droga? — spytał chłopak, któremu serce krwawiło się z żalu i trwogi.

— Ratuj mnie, Jurku mój! — szepnęła, załamującym się głosem. — Nie opuszczaj mnie! nie odchodź! nie daj!

— Komu nie dać, skarbie mój? — westchnął rozpaczliwie, pochylając się nad nią. — Przed kim cię bronić?!

Ona zrazu nie odpowiedziała na jego pytanie, tylko drżąc cała przyciskała się do niego, jak żywy obraz przerażenia.

— Ja się tak boję, — szeptała. — Ja jestem taka słaba, taka biedna... ty silny, ty mężczyzna, więc ratuj!

— Przed czem ciebie mam ratować? — powtórzył, przeczuwając niestety aż nadto odpowiedź.

Ona zatrzęsła się gwałtownie, jakby miotana konwulsyą.

— Przed nim, — załkała. — Przed nim, Mocnym! on tu jest, jest gdzieś blisko... Krąży koło mnie... Czuję go, ach, czuję... Broń mnie, nie daj!

Oświeyko poczuł, że jakieś niewidzialne kleszcze chwytają mu serce, targając bezlitośnie. Tak! to był on, przeklęty, powracający po swoją ofiarę! Ale Jurek jej nie wyda na pastwę tych posępnych mocy, którym ją

raz już wydarł. Trzeba będzie zginąć, to zginie, ale jej nie opuści!

Fala gorącego przywiązania i współczucia nadpłynęła mu do serca. Dotknął zlekka ustami jej włosów, pochylając się nad nią i rzekł powoli, a dobitnie, jak człowiek czyniący ślubowanie.

— Nie dam cię i nie opuszczę aż do śmierci.

Ona jednak w tej chwili zerwała się nagle i skoczyła wstecz, wyciągając przed siebie obie dłonie. Twarz jej wybladła stała się zielonkawą, oczy pogłębiły się, tonąc w wielkich, czarnych plamach; światło błyskawic otaczało jej włosy wężowiskiem kredowych i sinych ogników, zęby szczękały głośno.

— Patrzcie! — krzyknęła. — Nie widzicie go? to on! Mocny, straszny, mściwy! Przyszedł po mnie, po niewolnicę swoją, on władny, on pan!

I zasłaniając sobie oczy, kurczowo zaciśniętemi pięściami, zajęczała w strasznej rozpaczy:

— O, ja nieszczęśliwa! biada mi, biada!

Przez chwilę stali wszyscy zmartwiali przerażeniem, z oczyma zwracającemi się od nieszczęśliwej dziewczyny ku oknu, które zdawało się w niej budzić tak niesłychany lęk. I zaraz rozległy się zewsząd zdumione i trwożne okrzyki.

— Tam jest ktoś!

— Ktoś stoi w oknie!

— Co to jest! Kto to?

— O Jezu! — piszczał dyszkant cioci Monisi. — Tam coś strasznego! ratujcie nas moce niebieskie!

Błyskawice zapalały się jedne od drugich, rozświe-

tlając kredowym swym blaskiem najciemniejsze kąty pokoju. Pioruny biły jedne po drugich, ujmując przerażone grono widzów spiżową obręczą potwornego huku. Rozszalałe ryki wichrów zdawały się urągać niebu i wyzywać je do walki. Na środku pokoju stała dziewczyna bardziej podobna do widma, niż do żywej istoty, szamocząc się w przerażeniu i nadludzkiej męce, a z poza okna patrzało we wnętrze niby coś strasznego, coś nie mającego formy, ni ciała, niewidzialne oku, a odczuwane z nadmierną potęgą przez wszystkie zmysły naraz; coś, co przeszywało duszę nawskróś i niosło spojrzeniem swem śmierć, samo gorejące potwornem, przeciwludzkiem w bezecności swej nieśmiertelnem życiem.

A wtedy ksiądz Marceli podszedł do okna, kreśląc nad niem wielki znak krzyża.

Silniejsza od poprzednich błyskawica zalała wszystko strumieniami trupiego światła. Z niesłychaną mocą, tuż za oknem, uderzył jeden jeszcze piorun, potem zagasło wszystko i tylko ulewny deszcz pluskał w okna i potokami zlatywał z dachówek.

Wszystkie oczy utkwione były w oknie, ale za niem czerniła się tylko czarna noc i chlupotała ulewa. Gdzie się podziało to, co przed chwilą widzieli wszyscy? i co to było? człowiek? Niektórzy zaprzeczali, inni upewniali, że tak. Z zamienionych naprędce słów okazało się, że każdy widział coś innego i każdy mógłby przysiądz, że on jeden widział dobrze. W tej dyskusyi wszyscy, prócz Oświeyki, zapomnieli na chwilę o Jadwidze. Kiedy przypomnieli sobie o niej, spotkała ich nowa niespodzianka. Młoda kobieta stała na dawnem miejscu,

podtrzymywana zlekka przez Oświeykę, prawie całkiem jednak uspokojona. Twarz jej przybrała znów zwykłą barwę, oczy tylko patrzyły przed siebie z wyrazem zdumienia.

— Co to właściwie było, — szeptała leniwym głosem kogoś budzącego się ze snu. — Co ja widziałam? czy to zmora jakaś była? mam wrażenie, że widziałam, czy przeszłam coś strasznego, ale nie wiem co... nie pamiętam nic, nic...

— Bo i nie było nic, robaczku najdroższy, — upewniała z zapałem ciocia Monisia, ujmując ją znów w swe pulchne ramiona. — Burza cię zmogła, zasnęłaś sama, nie wiedząc o tem.

— Tak, tak, przyśniło się, — potwierdził doktór.— A wszystko dlatego, że pani na nogach! spać, spać, i kompresy na głowę, a i synapizm nie zaszkodzi.

Ale ksiądz Marceli stanął przy Jadwidze, odsuwając brata energicznym gestem.

— Nie ukrywajcie przed nią prawdy, — rzekł stanowczo. — To, co widziała dziś, nie było senną marą, wiemy o tem wszyscy. Niedarmo napatrzyła się temu w Warszawie. Moce tajemne, z któremi poczynamy igrać niebacznie, przychodzą potem do nas same. Nie łatwo je odeprzeć, a bronić się trzeba. Niech więc to biedne dziecko wie i gotuje się, a my wszyscy wspierajmy je modlitwą.

Doktór miewał zawsze wzanadrzu kolący pocisk na tego rodzaju zwrot w rozmowie brata, tym razem jednak zmilczał Inni zdawali się raczej przechylać do zdania księdza Marcelego. Wśród ogólnej rozmowy Ja-

dwiga pozostała obojętną. Zdawała się znużona i senna. Od czasu do czasu wstrząsał nią lekki dreszcz nerwowy. Wówczas przyciskała obu rękami dłoń narzeczonego, szepcąc mu:

— Ty mnie nie opuścisz? nie odjedziesz? prawda?

On ją uspokajał, jak przestraszone dziecię, próbując wlać w nią otuchę, której brakowało jemu samemu.

— Nie myśl o tem wszystkiem! to nerwy! przypomnienia tych okropności, przez które przeszłaś, ostatnie przebłyski świateł, gasnących na zawsze, Teraz już żyć oboje będziemy w słońcu, spokoju, radości, której nic nie zmąci.

Ale głos księdza podniósł się surowy i karcący:

— Kto śmie mówić o niezmąconej radości na tej dolinie łez? Kto śmie zamykać oczy na ostrzeżenie Boże, na groźby i postrachy piekieł?! Lew z pokolenia Judy mocny jest i upada przed nim wszelkie kolano, ale lekceważyć nie godzi się tego drugiego lwa, który krąży w ciemnościach, szukając kogoby pożarł. Czuwajcie więc i módlcie się, iżbyście nie weszli w pokuszenie i moc złego.

Nikt mu nie odpowiedział. W pokoju zrobiło się prawie całkiem ciemno. Lampa na stole dogasała, sycząc żałobnie, jak prosząca o Zdrowaśkę czyścowa dusza. Przez okno, na rozjaśniającem się niebie poczynały migotać gwiazdy. Zdaleka przelatywały w powietrzu ostatnie cichnące pomruki burzy.

Z bladych ust dziewczyny, zwisającej w ramionach Jurka Oświeyki, wydzierała się bolesna skarga:

— Boję się... boję się... boję...

III.

Nazajutrz słońce zeszło w promiennej wspaniałości królewskiego majestatu. Odświeżona deszczem ziemia zwracała się ku niemu szeroko rozwartymi kielichami kwiatów i ostrą wonią przemokłych traw lśniło się i pachło wszystko. W gałęziach świergotało radośnie ptactwo, a niezaschłe krople deszczu powiew wiatru trącał na ziemię.

Na werandzie zgromadziło się całe grono mieszkańców starego domostwa. Ksiądz, któremu wczorajsze wstrząśnienia skrępowały swobodę ruchów, siedział bezwładnie w swym fotelu na kółkach, śledząc zatroskanym wzrokiem młodą parę w głębi tarasu. W tym samym kierunku szły spojrzenia cioci Monisi i Szczodrowskiego, a odkąd doktór przysiadł się do nich, załatwiwszy ostatnią konsultacyę, i on także nie odwracał oczu od Jadwigi.

Ona zaś tymczasem rozmawiała o obojętnych rzeczach z narzeczonym. Trzeba było przecie przygotować mieszkanie i urządzić wszystkie drobiazgi życia. Prawda, że dla niej wszędzie będzie dobrze z nim, ale przecież trzeba wszystko omówić... Mężczyźni są tak niepraktyczni, a ona zdaleka nie jest w stanie pokierować, listownie zaś załatwiać rzeczy takich nie sposób... Najlepiej jeszcze będzie kupić narazie tylko kilka najniezbędniejszych sprzętów, resztę będą nabywać razem, po trosze, przy okazyi, byle nie drogo, bo im obojgu nie przelewa się...

Jurek potakiwał, a w sercu czuł dotkliwy ból i smu-

tek. Ona mówiła o tem wszystkiem tak spokojnie, jakby przed owym jasnem jutrem a nią, nie stał ów groźny cień, którego posępne skrzydła po przerwie znów pochyliły się nad nimi wczoraj, tak złowrogo. A ona mówiła o jego odjeździe, jakby nie zaszło nic, podczas gdy wczorajszego wieczora błagała go tak gorąco by został, podczas gdy sam on czuł tak dobrze, że odejść od niej nie może. Ale ona zdawała się zapominać o tem, czego pełne były serca wszystkich. Z uśmiechem na ustach, z ręką w dłoni kochanego człowieka, budowała w wyobraźni swej gmach przyszłego szczęścia, nie pytając, czy nie buduje na piasku i na lodzie, i czy ma prawo przyszłością swą rozrządzać...

Jej przyjaciele nie mieli takiej otuchy. Jutro rysowało się przed nimi, jak widmo złowieszcze i groźne. Wczorajszy wieczór był ostrzeżeniem, które rozbijało doszczętnie dotychczasowe nadzieje i doświadczenia ostatnich kilku tygodni.

— Ta dziewczyna jest chorą, — mówił półgłosem doktór. — Pierwszego dnia gdy przybyła postawiłem dyagnozę choroby podług relacyi pana Ignacego. Pomyślny stan, w jakim chora znajdowała się tutaj bez przerwy, mógł na chwilę przekonanie moje zachwiać, nie obalił go jednak, a wczorajszy atak utwierdził je w całej pełni. Nie igra się bezkarnie przez kilka miesięcy z ogniem, nie napręża się do szaleństwa nerwów eksperymentami, które mogą zawrócić głowę i zrujnować zdrowie nawet mniej wytrawnemu lekarzowi, cóż dopiero dwudziestoletniej dziewczynie! I dlatego ta nieszczęśliwa jest, jak zatruty kwiat. Napozór zdaje się

zdrową, śmieje się do życia, ale wewnętrznie włókna jej delikatnego organizmu zżarł jad i brak jej sił do normalnego rozwoju, brak sił do życia.

— Jezu drogi! — chlipnęła rozpaczliwie ciocia Monisia, a Szczodrowski ukrył twarz w dłoniach.

— To, czego dopuszczono się na tej nieszczęśliwej, — ciągnął dalej doktór, zapalając się coraz bardziej własnemi słowami, — to jest poprostu zbrodnia gorsza stokroć od zwykłego morderstwa. Bo morderca, o ile nie jest bolszewikiem lub hajdamaką, zabija odrazu i zabija tylko ciało. Zabity cierpi krótką chwilę, a potem koniec; zraniony cierpi dłużej, ale środki ratunkowe lekarskiej wiedzy stoją dla niego otworem. A tutaj cóż widzimy? Oto zbiera się grono, mniejsza już szarlatanów czy histeryków; szanowni aranżerowie wciągają za sobą szereg osób normalnych, które pociąga ciekawość lub wywołany okropnościami tych czasów rozstrój. I zaczyna się podniecanie wyobraźni, cała orgia sugestyi i transów. Jest od czego zwaryować zdrowemu i zrównoważonemu mężczyźnie, cóż dopiero młodej kobiecie! I oto następstwa: przywozicie do mnie takie biedactwo siłą wyrwane z tego domu waryatów. Młode to, aż rwie się do życia... tam, między tymi zatraceńcami, zmarniałoby już do tego czasu, tutaj zdawało się, odżyło. Ale cóż — tamte wrażenia były zbyt silne, wracają... i oto teraz nieszczęśliwe dziecko skazane jest na mękę zamiast szczęścia. Na mękę świadomą, straszniejszą nieskończenie od każdego cielesnego cierpienia. Zamiast związku z ukochanym, czeka je cela szpitalna, halucy-

nacye, rozpacz, furya, może jako ostatnie wyzwolenie — śmierć.

— Śmierć, — załkała pani Monika. — Śmierć! i żadnego ratunku?

Doktór rękami rozwiódł i westchnął smutno.

— Zrobi się, co będzie można... Ale zamiast do poślubnego gniazdka, trzeba ją wieść do domu zdrowia.

— A potem? — szepnął Szczodrowski, nie odejmując rąk od twarzy.

— Potem będzie co Bóg da, — odrzekł pan Ksawery, który w chwilach wzruszenia zapominał o swem poróżnieniu ze Stwórcą. Jego brat skinął głową, potakując.

— Toś dobrze powiedział! — zauważył. — We wszystkiem jest moc Boża!

— W najlepszym razie czekają pannę Jadzię lata całe, które później będzie musiała wykreślić ze swego życia, jeśli nawet uda się ją wyrwać tej strasznej chorobie. I pomyśleć, że to się stało nie przypadkiem, nie z zarodka, tkwiącego w organizmie lub w warunkach życia, ale z łotrostwa i szaleństwa specyalistów od tego przeklętego rzemiosła! pomyśleć, że arszeniku i strychniny nie wolno dawać bez recepty pod ciężką karą, że policya ściga używanie opium czy kokainy, a spirytystyczne seanse odbywają się bezkarnie i publicznie. Zaszczepianie kołowacizny umysłowej i etycznej, rozstrajanie nerwów, rzucanie ziarn szaleństwa i pielęgnowanie ich rozwoju nie napotyka na żadne przeszkody... to przecie wprost potworne.

— Więcej potworne, niż sądzisz, — dorzucił ksiądz. — Poza tym całym trucicielskim procesem, który tak słusznie potępiasz, kryje się coś gorszego stokroć. Ale o tem lepiej nie wspomnę, bobyś wziął to znów za zabobon...

Szczodrowski odjął dłonie od twarzy i wpatrzył się w żółtą twarz eks-profesora.

— Jestem tego samego zdania, co ksiądz, — rzekł poważnie.

Doktór popatrzał na nich długą chwilę w milczeniu.

— Czasem i mnie przychodzą dziwne myśli, — przyznał wkońcu otwarcie. — I mam wtedy ochotę sekundować Marcelemu... nie żebym wierzył w metafizykę, ale poprostu dlatego że... ot, bo w życiu wypada tak czasem, że dwa razy dwa jest pięć. I dlatego nie mam nic przeciw temu, by obok mojej kuracyi on próbował swojej. Materyalistą dawno przestałem być, choć zjawisk ducha nie wiążę w dogmat... a jeśli kiedy spotkałem się z faktem, stojącym poza wszystkiemi formułkami i doświadczeniami ludzkiej wiedzy, to teraz...

— Dla mnie sprawa jest zupełnie jasną, — twierdził ksiądz. — I dlatego ty czyń wszystko, co możesz jako lekarz, ja z mojej strony spełnię, co do mnie należy.

— Ciociu Monisiu, — ozwał się, przerywając rozmowę, głos Jadwigi. — Czy nie pora już dla Jurka wybierać się?

— Wybierać się? dokądże?

— No do Warszawy i Krakowa, przecie! Inaczej gotów spóźnić się na pociąg.

— Chcesz, żeby jechał? — zagadnął ze zdumieniem Szczodrowski.

— Oczywiście. Inaczej przecie nie wydąży na czas... tyle jest do zrobienia.

— Tak zapewne, — potakiwał Szczodrowski. — Ale czy nie sądzisz, moje dziecko, że w twoim stanie zdrowia...

Urwał, dostrzegając znaki, jakie mu czynił doktór.

Ale Jadwigę nie zmieszała wcale aluzya do tego, co stało się wczoraj.

— Zdrowie moje doskonałe, — zaśmiała się. — Temu panu zdaje się wprawdzie, — dodała wskazując na Jurka, — że muszę uschnąć z tęsknoty za nim przez te parę tygodni. Ale ja nie myślę wcale usychać, zastanie mnie, jaką odjechał. Chybaby się spóźnił...

Nie było w niej śladu rozdrażnienia, ani podniety nerwów. Szczodrowski rzucił na doktora pytające spojrzenie. Pan Ksawery odpowiedział mu ruszeniem ramionami, mającem oznaczać, że to zwykły symptom podobnej choroby.

Oświeyko jednak podszedł do obu panów i począł im coś tłumaczyć, gestykulując żywo i zniżywszy głos. Nie chciał i nie mógł jechać, chyba że go pan Ksawery upewni... ale pan Ksawery nie myślał upewniać o niczem, owszem zapowiadał, że atak powtórzy się niedługo, może przy pierwszej burzy. A właśnie barometr spadał gwałtownie na dół, mimo pogody...

Zaczęto więc snuć ową sieć wykrętów i kłamstw, którą zazwyczaj bałamuci się chorych. Jadwiga słuchała tych wszystkich argumentów przeciw odjazdowi Jurka

z szeroko rozwartemi źrenicami. Nie rozumiała poprostu, co mogą mieć jej przyjaciele w tak nierozsądnem krzyżowaniu wspólnie ułożonych planów. Że zaś była praktyczna i roztropna, udawało jej się bez trudu znaleźć na każdą racyę odpowiedź. A ponieważ racye bywały niestety niezgrabne i słabe, odpowiedź druzgotała je zazwyczaj do szczętu. Zmilkli wreszcie wszyscy, zbici całkiem z tropu i stali zakłopotani, unikając jej wzroku; ona zaś, coraz bardziej zdziwiona, wpatrywała się w nich jasnemi oczyma i czekała na prawdę, którą, czuła to dobrze, zatajano przed nią dotychczas.

A wtedy doktór zakłopotany i zniecierpliwiony pochylił się ku fotelowi brata.

— Powiedz, że chcesz im wyprawić jakieś konferencye, rekolekcye czy penitencye, czy jakto tam u was się nazywa, a ja szepnę Oświeyce, żeby cię poparł.

— Dobrze! — zawołał żywo ksiądz. — Właśnie o czemś takiem myślałem, ale nie dla zamydlenia oczu tej biedaczce, jeno dla znalezienia środka zaradczego jej niedoli. A ciebie sam Bóg natchnął.

Doktór rękami zamachał, bełkocąc niewyraźnie, co mu się zdarzało w chwilach największej irytacyi.

— Zrobisz ze mnie jeszcze przewodniczącego Bractwa Różańcowego! Rób swoje, nie bronię, ale nie mieszaj tego z zabiegami wiedzy.

Ksiądz jednak nie słyszał już tego protestu, ujmując w formę konkretnej propozycyi myśl rzuconą przez brata.

— W mieście wir życia nie pozwala na takie skupienie, ale w tej ustroni... Ano prawda, że Oświeyko

musi jechać, ale cóż znowu nagli? Ślub odbędzie się, kiedy im będzie dogodnie, a chwile narzeczeństwa uchodzą za najpiękniejsze w życiu — dlaczego ich nie przedłużyć?

Jadwiga patrzała na księdza z widocznem zdziwieniem. O rekolekcyach wiedziała, ale rekolekcye odbywały się w poście lub adwencie, nie słyszała nigdy, by je kto odbywał przed ślubem. Przyszło jej też na myśl, że dla młodego oficera było może za dużo dewocyi w projekcie księdza Marcelego. Ponieważ jednak nabrała do tego ostatniego bardzo wiele zaufania i szacunku, zdało się jej naturalnem, że pójdzie za jego zdaniem, choć racye księdza nie zupełnie trafiały do jej przekonania.

Stanęło więc na tem, że wyjazd Jurka odwlecze się na dni kilka, tymczasem zaś ksiądz Marceli wziął się do zapowiedzianych konferencyi na seryo. Miał naturę ekspanzywną, jakby stworzoną dla propagandy. Nieuleczalna choroba przerwała mu ulubioną pracę nauczycielską; zamknięty w czterech ścianach gabinetu odczuwał boleśnie brak oddziaływania żywem słowem na otoczenie. Zaproponowane przez brata pogadanki duchowne nastręczały mu do tego pożądaną sposobność.

Ale w tem nie tkwił dla księdza Marcelego główny impuls sprawy.

To, co słyszał od Oświeyki i Szczodrowskiego o spirytystycznej intrydze osnutej dokoła Jadwigi, było połowiczne. Znajdowały się w opowiadaniu luki, całość tworzyła raczej ramy obrazu, niż sam obraz. Jadwiga wybadana dyskretnie odpowiadała ogólnikami, niejasno i niedostatecznie. Nie lubiła i nie umiała mówić o tych

przejściach, słuchając ją miało się wrażenie, że istotnie nie pamięta wielkiej części tego, co przeżyła. Najwięcej jeszcze umiał z niej wydobyć Szczodrowski, ale sam on czuł dobrze, że była to cząstka tylko tego, co zaszło. Ksiądz zaś był przekonany, że bez uświadomienia sobie wszystkiego, nie jest w stanie złemu zaradzić.

Zaczął tedy tego dnia jeszcze wykład swój, przeplatany rozmową; a że umysł jego nie był dotąd znużony chorobą, Jadwiga poczęła przysłuchiwać mu się z rosnącem zaciekawieniem. Nieznacznie z prawd wiary i obowiązku chrześcijańskiego życia przechodził mówca do stosunków osobistych obojga narzeczonych, a wtedy kołując ostrożnie nietrudno mu już było zaczepić o przejścia, w których oboje z Jurkiem brali udział. Sama nie wiedząc jak, Jadwiga poczęła pozbywać się rezerwy, jaką okazywała dotąd, i pogłębiać pamięcią zapominane dotychczas zdarzenia. Z ust jej padały raz po raz urywki wspomnień z seansów, rozmów z duchami, wrażeń i postrachów tych dni pełnych grozy i zaciekawienia. Całe sceny, pełne dziwu i lęku, stawały przed nią i narzucały się wnet ustom. Ksiądz podsycał opowiadanie rzucanemi zręcznie pytaniami i uwagami. Oświeyko i Szczodrowski, który przybliżył się pocichu i oparł na jego krześle, słuchali z zapartym oddechem. Nawet doktór stał w otwartych drzwiach, od godziny nie dając znaku zniecierpliwienia lub protestu. A młoda dziewczyna opowiadała coraz swobodniej i żywiej. Doszła wreszcie do epizodu z Żarniewiczem na Wareckiej.

Ksiądz, którego twarz od dłuższego czasu stawała się coraz poważniejsza, poruszył się teraz niespokojnie

na swym fotelu, jakby wstrząśnięty nagłem wzruszeniem.

— Jakto? — przerwał. — On żądał... on śmiał żądać znaku... Czyż to być mogło? czy się nie mylisz?

Młoda dziewczyna spojrzała nań szeroko rozwartemi oczyma.

— Czy to być mogło, — powtórzyła głosem, który stracił nagle dźwięk i barwę. — Czy to było?

— Tak, czy to było istotnie? i ty, co mu na to odrzekłaś?

— Co ja mu odrzekłam, — powtórzyła znów tym samym drewnianym tonem, i ręka jej przesunęła się po schmurzonem naraz czole. — Czy ja mam odpowiadać? i co mam odpowiedzieć?

— Odpowiedz prawdę, zaklinam cię na Boga! dałaś mu ten znak?

Jadwiga patrzyła na księdza na pół przytomnemi oczyma, w których malowały się niepewność, strach i rozpaczliwa walka wewnętrzna. Muskuły twarzy kurczyły się jej nerwowo, brwi, zmarszczone wewnętrznym wysiłkiem, stykały się z sobą, przez pół otwarte usta widać było białe, zaciskające się zęby.

A ksiądz nastawał.

— Mów, na Boga, mów.

Ale ona nagle poczęła obracać głową, oglądając się na wszystkie strony, jakby pod wpływem nagłego przerażenia. Chwyciła Jurka za rękę i cofnęła się z krzesłem od fotelu, w którym siedział chory.

— Nie, nie, nie mogę! nie wolno! — poczęła ję-

czeć łkającym głosem. — Proszę nie zbliżać się do mnie, nie męczyć.

Ksiądz pochylił się ku niej, podsuwając ruchomy swój fotel.

— Czy do mnie to mówisz? — zapytał z naciskiem.

— Tak, nie chcę, nie męczyć.

I zwracając znów głowę naokoło, jakby szukała czegoś strasznego blisko siebie, poczęła drżeć całem ciałem.

— On znów się zbliża... on tu gdzieś jest... ratujcie! ratujcie! ja się boję!

Doktór Ksawery podszedł ku niej, odgradzając ją sobą od fotelu brata.

— Lekarstwo gorsze od choroby, — mruknął zgryźliwie, — jak zwykle pan brat w gorliwości swej przesolił i drugi atak gotów. Ot, co to znaczy mieć z fanatykami do czynienia.

— Więc co ty myślisz o tem wszystkiem, — zagadnął ksiądz, chwytając go za rękaw surduta, bez zwykłej dyskusyi i obrazy.

— To, co musi myśleć każdy rozsądny człowiek. Histerya.

— A ja myślę, że opętanie, — mruknął ksiądz Marceli.

IV.

Przeszło dni kilka. Jadwiga wróciła do względnego spokoju. Zdawało się, że nie pamięta chwilowych

swych postrachów, i że poddaje się wpływom otoczenia. Na ustach miała uśmiech, spełniała codzienne swe zajęcia, ale mówiła mniej, bywała często roztargnioną, a czasem jakby senną. Niepodobna też było nie odczuć odmiany w jej stosunku do księdza Marcelego. Będąc religijną i interesując się zagadnieniami, związanemi z wiarą, szukała dotychczas chętnie towarzystwa mądrego i wymownego księdza, prowadziła z nim długie rozmowy, a konferencye, jakie rozpoczął, zdawały się w niej budzić żywy interes.

Obecnie, pozostając niezmiennie uprzejmą, unikała widocznie obcowania z księdzem Marcelim, na pytania jego odpowiadała zawsze ogólnikami, a ilekroć próbował zawiązać dłuższą rozmowę, przerywała ją pod pierwszym lepszym pretekstem. Zaczynał swe konferencye raz po raz, wnet jednak spostrzegł się, że słucha go sam Oświeyko, a Jadwiga znikła bez śladu. Zauważyli też wszyscy nieobecność młodej dziewczyny w oratoryum domowem podczas Mszy, której dotąd nie opuszczała nigdy. Pani Monika zagadnęła ją o to, pomiędzy dwoma tuzinami pocałunków, ale Jadwiga dała odpowiedź tak racyonalną i uzasadnioną, że nie sposób było wypytywć się dalej. Bądź co bądź jednak pozostało faktem, że panienka usunęła się najzupełniej z pod wpływu księdza i pozostała z nim jedynie w biernym towarzyskim kontakcie. Było to tak dziwne, że doktór nie zdobył się z tego powodu na żaden ironiczny dowcip, a natomiast zagadnął brata z miną dość niewyraźną i nieco zafrasowaną, czemu przypisuje ten najnowszy zwrot w jej zachowaniu się.

— Bo prawdę mówiąc, choć ci tam w pierwszej chwili i zarzucałem, żeś spudłował, przesadzając dawkę, słuszność nie była po mojej stronie, boś nie spudłował i nie przesadził. Owszem, mówiłeś wbrew zwyczajowi, do rzeczy. A ona, co to dotąd zawsze była gotowa szturchnąć nosem o rękaw twojej sutanny, patrzy teraz na ciebie, jak na świeże powietrze. Co to być może, u licha ciężkiego? rozumiesz ty to?

Ksiądz westchnął głęboko.

— Może i rozumiem, — mruknął.

— To gadajże prędzej. Tylko bądź łaskaw nie wysuwaj mi żadnego z twoich dyabłów, bo wiesz, że na to mnie nie wziąść.

Ksiądz ramionami ruszył.

— Nie mam żadnego dyabła na własność, Bogu dzięki, a że dopatruję nieraz wpływu nieczystego ducha na świat i życie, to wynika poprostu z wiary w istnienie pierwiastka złego. Ty wiarę tę uważasz za zabobon i nie pozwalasz czynnika tego wprowadzać do dyskusyi. Jakżeż chcesz, żebyśmy się porozumieli?

— Wiesz dobrze, że w Boga wierzę. Dość tego dla mnie. Uczyniłbym ujmę wszechmocy i dobroci Bóstwa, gdybym mu przeciwstawiał dyabła, jako współzawodnika.

— A jednak współzawodnik ten istnieje, choć granice walki i pokusy zakreśla mu wszechmoc Boża.

— Bajki.

— Nie bajki: sam to czujesz. To, na co patrzysz, jest dowodem. I dowód ten narzuca się tobie i dlatego mnie pytasz, bo nie jesteś w stanie sam sobie dać radę.

Doktór wpadł teraz w taką pasyę, w jakiej nie widziano go oddawna; rzucał się, pienił, klął, bełkotał, pięścią w stół walił, krzycząc, że porzuci dom i wyniesie się w komorne do żydów, byle uniknąć widoku takiego zabobonnika, któregoby należało zamknąć w klatce żelaznej i obwozić po świecie, jako curiosum w naszej oświeconej epoce. Ksiądz nie replikował i nie unosił się, jak to miał zwyczaj czynić w sprawach mniejszej wagi. Podniósł tylko okulary na czoło i przypatrywał się bratu ze złośliwym uśmiechem.

— Niechże mnie już obwożą, choćby i po jarmarkach, ale ja przynajmniej patrzę teraz własnemi oczyma na to, o czem zawsze byłem przekonany. Co powiedzieć jednak o filozofie, który Boga od pewnego czasu zaczyna tolerować z wielkiej swojej łaski, a dyabła uważa za przeżytek mitologii, aż oto naraz zamiast fauna, okrytego pleśnią, wysuwa mu się i do oczu rzuca siła złowroga, żywa, działająca potężnie, przekreślająca swem istnieniem wszystkie formułki i dogmaty jego wiedzy... Coś, co się czai, niewidzialne a straszliwe, jak w Boeklinowskich krajobrazach... a potem naraz staje się widzialnem, jak błyskawica i wali w łeb, jak gromowa maczuga, a ty mędrcze, choć od maczugi tej masz guz na czole, musisz dla konsekwencyi i autorytetu utrzymywać, że jako żywo niema guza, ani maczugi, i że to wszystko — babski zabobon!... ot, co?!

— Wypraszam sobie takie narzucanie mi własnych waryackich wycbrażeń! — wrzasnął doktór, zatrzymując się we wściekłym biegu dookoła stołu. — Nie

tobie porywać się na tłumaczenie tego, co się dzieje w moim mózgu.

— Oczu mi nie zawiążesz: widzą. A zły jesteś dlatego właśnie, że widzą dobrze. Gniewajże się sobie i fukaj wiele zechcesz. Prędzej, czy później i tak przyjdziesz do mnie, żebym ci dał odpowiedź, na którą cię nie stać.

— Winszuję dobrego mniemania o sobie.

— Powinszujesz lepiej, kiedy przejrzysz, a to niedługo nastąpi.

Pan Ksawery znów począł miotać się i kląć siarczyście, biegając po pokoju i uderzając od czasu do czasu głową o uszaki drzwi i okien. Wreszcie po długiej chwili zatrzymał się przed fotelem brata i spojrzał mu w twarz wyzywająco.

— Więc chcesz, żebym w tego twego dyabła uwierzył.

— Już w niego wierzysz, choć bluźnisz. I musisz wierzyć, skoroś uwierzył w Boga, bo masz umysł logiczny. Istotnie, skoro raz przyjąłeś zasadę, że Bóg jest, musisz z tego wysnuć wniosek, że rządzi światem...

— Wysnuwam, wysnuwam! Lejesz wodę na mój młyn! Właśnie twierdzę, że światem rządzi Bóg, nie dyabeł.

— Dyabeł nie rządzi światem, ale krzyżuje drogi Boże. On tłumaczy istnienie w świecie zła. On wciela w sobie pojęcie sprawiedliwości Bożej i zadośćuczynienia za zło. Usuń go, a świat przestanie być logicznym. Skoro zaś duch zła jest, musi działać i działanie to musi objawiać się w życiu nietylko pośrednio, ale i wprost.

A formą współczesną, w jakiej się objawia najwydatniej jest spirytyzm.

— Rezonowanie słuszne, szkoda tylko, że wychodzi z fałszywego założenia... — ofuknął doktór i wyszedł, trzaskając drzwiami, by nazajutrz znów o to samo brata zaczepić.

Tymczasem jednak dnie upalne wlokły się ciężko. W trybie życia małego gronka nie zmieniało się nic. O wyjeździe Oświeyki przestano wspominać i sama Jadwiga nie wracała już do tego przedmiotu. Młody człowiek nie odstępował jej wcale. Towarzyszył w spacerach, pomagał porządkować bibliotekę i aparaty doktora, brał udział w lekcyach i zabawach dziatwy, której wrzask dzięki temu udziałowi przekraczał zwykłe rozmiary i groził poważnie spokojowi mieszkańców domostwa nad rzeką.

Jadwiga patrzała na to wszystko z uśmiechem jakimś bladym i smutnym. Ożywiała się czasem na mgnienie oka, wnet jednak twarz jej zastygała, zdając się mówić: »Poco to wszystko?« Od czasu do czasu powracały paroksyzmy przestrachu, przyprawiając ją niemal o utratę przytomności, mijały jednak szybko. Otaczający mieli wrażenie, że po każdym z nich panienka zdawała się słabszą i bardziej obojętną.

Tymczasem upały wzmagały się, nie wywołując jednak deszczu. W powietrzu robiło się coraz parniej. Przesycały je elektryczne prądy. Co noc powstawały krótkie wichury i warczał grom. Trzeba było zamykać starannie okiennice, chroniąc się przed przeraźliwem migotaniem błyskawic.

Wreszcie, zapowiadająca się od dni kilku nawałnica, wybuchnęła jednego wieczora z niesłychaną gwałtownością. Zrobiło się naraz zupełnie ciemno. Wicher począł rwać i kręcić w szalonym wirze piasek, liście z drzew i oderwane gałęzie, hucząc i jęcząc straszliwie. Rozległ się głuchy łoskot piorunu. Powietrze zaciężyło ołowiem.

Poczęto co prędzej zamykać okna i zapalono światło. Ciocia Monisia nawoływała do wspólnej modlitwy o odwrócenie burzy. Ksiądz Marceli całkiem dziś bezwładny, kazał się już dawniej zawieść do oratoryum w swym mechanicznym fotelu. Szczodrowski z Oświeyką pospieszył za siostrą. Tylko doktór pozostał w bibliotece i nie było widać Jadwigi.

— Poszukam jej, — rzekła pani Wardężyna i przenikliwy jej głos począł przebijać swym falsetem, łoskot burzy we wszystkich pokojach i zakamarkach domostwa.

Ale długi czas nawoływała daremno. Jadwigi nie było w domu, ani w oficynach. Zaniepokojna jej nieobecnością, przelękniona rosnącą zaciekłością burzy, poczciwa staruszka poczynała już myśleć, że biedną dziewczynę porwał wicher i kręci nią w powietrzu, kiedy naraz obił się jej o uszy jakiś szelest za drzwiami komórki, zapełnicnej staremi gratami i zazwyczaj zamkniętej na kłódkę. Kłódki we drzwiach nie było, leżała otwarta na ziemi. Pani Monika pchnęła drzwi i zobaczyła Jadwigę, leżącą na starej sofie ze zdartem obiciem i wyłażącemi w górę sprężynami. Dziewczyna miała twarz ukrytą w kłakach poręczy. Wejście pani Moniki nie poruszyło jej.

Staruszka pochyliła się nad nią, obejmując ją macierzyńskim uściskiem.

— Wszyscy są w kapliczce, — rzekła, — będziemy się modlili o odwrócenie tego huraganu, który zapowiada się tak strasznie, przyszłam po ciebie.

Dziewczyna pozostała bez ruchu, jak przedtem.

— Chodź, dziecinko, — nastawała słodko ciocia Monisia. — Chodź, to ci dobrze zrobi.

— A ja nie chcę, — odpowiedziała młoda dziewczyna, nie odwracając głowy.

— Nie chcesz, dlaczego? Ciebie przecie burza tak rozdrażnia! Będziemy wszyscy modlili się za ciebie.

— A ja nie chcę!

W głosie jej brzmiał twardy upór. Ale ciocia Monisia perswadowała. — W kapliczce tak ślicznie! Matka Boska cała w świeżych różach i wszystkie świece zapalone. Ksiądz Marceli w komży i stule. Całkiem, jak w kościele! Pomodlimy się, zaśpiewamy hymn... zobaczysz, jak ci ulży.

Ale Jadwiga potrząsła gwałtownie głową. Niech jej dadzą pokój! Kto chce niech idzie do kaplicy, jej tu dobrze! Co jej po modlitwach i po hymnach?

Ciocia Monisia przeraziła się nie na żarty, czegoś podobnego nie słyszały dotychczas uszy tej, którą polski kaznodzieja zwykł był mianować filarem kościoła przy Jekatieryńskiej ulicy.

— Bój się Boga, aniołku, jakże można! Toż rozmowa z Bogiem.

Młoda dziewczyna podniosła teraz głowę. Ostry

jej wzrok uderzył starą kobietę w twarz, przeszywając ją niby sztyletem.

— A ja krzyżyk, który miała od matki i medalik od pana Ignacego rzuciłam w klomb za kuchnią, — ozwała się wyzywająco.

Wardężyna uderzyła w dłonie.

— Jezus, Marya, — jęknęła, — bój się Boga.

— Bo mi nic z waszych modlitw! nic mi nie pomoże.

Pani Monika wyprostowała się. Okrągła jej osóbka przybrała wyraz niezwykłej powagi, połączonej z odcieniem surowości.

— Jeśli to prawda, dziecko moje, uczyniłaś rzecz bardzo urągającą Bogu. Ale, że nie z siebie to zrobiłaś, przebaczy ci Pan i otworzy oczy.

— A ja nie chcę. Na moich oczach niemasz żadnej zasłony i ja nie mam innego pana, oprócz...

Wardężyna dłońmi zasłoniła jej usta.

— Nie kończ, nieszczęśliwa! nie bluźnij! obłęd cię chwycił i zaślepia! chodź co prędzej do kaplicy!

Chciała ją pochwycić i uprowadzić, ale panienka wyśliznęła się jej i jednym skokiem znalazła się za progiem. Ciemny korytarz rozbrzmiał donośnym jej śmiechem, ale śmiech ten miał dziwne brzmienie, pozbawione wesołości i od jej zwykłego śmiechu zgoła odmienne.

Pani Monika stała z rękami podniesionemi do góry i z otwartemi ze zdziwienia ustami. Jadwiga klasnęła w dłonie i zalała się nowym wybuchem śmiechu.

— Jakaś ty śmieszna, ciociu Monisiu! Całkiem jakbyś z księżyca spadła.

I klasnąwszy w dłonie, znikła w głębi korytarza, skąd przez chwilę dochodził jeszcze śmiech jej ostry i dziwny.

Wardężyna pozostała jakby zmartwiała. Przetarła oczy i oglądnęła się wokoło, pytając wzrokiem sofy bez obicia z wystającemi sprężynami, odrapanych szaf i ram ze startą pozłotą, czy ją nie zawiodły zmysły. Ale ni sofa, ani ramy, ani żadna z szaf nie dały odpowiedzi i ciocia Monisia zmuszoną była kierować pytanie wyłącznie do siebie samej.

— Czy to ona, czy nie ona? — szeptała, stukając palcem w czoło. Twarz niby jej, głos podobny, ale oczy, te straszne oczy... i ten piekielny śmiech... nie, nie, to chyba nie ona.

V.

Ksiądz Marceli czekał z modlitwami na obie panie i czekał długo. Wreszcie pojawiła się pani Wardężyna, ale miała twarz tak zmienioną, że zwróciła nawet jego uwagę, choć wogóle nie zwykł był nic dostrzegać wkoło siebie. Zapytał ją też co się stało, ale ona dała mu ręką znak, że może zaczynać, a sama upadła w kącie na kolana, i twarz zasłoniwszy rękami, pochyliła ją nisko ku ziemi. Odmówiono modlitwy, którym towarzyszyły wprost szalone ryki rozigranego orkanu. Ale ksiądz, nie widząc Jadwigi, nie zdecydował się zaintonować pobożnej pieśni, obawiając się zbytniej kakofonii ze strony

pani Moniki i fałszującej z nią w zawody klucznicy. Nabożeństwo więc skończyło się wcześniej, niż zwykle, a Szczodrowski z Oświeyką podeszli z pośpiechem do staruszki z niespokojnemi twarzami.

— Jadzia? — zagadnął pan Ignacy.

Pani Monika skinęła głową. — Oczywiście Jadzia. Coś niesłychanego... ale nie czas jeszcze o tem mówić. Tymczasem jest przy niej pan Ksawery i najlepiej będzie zostawić ją w spokoju.

— Ale na Boga, cóż to było? — dopytywał się Szczodrowski.

Wardężyna pokazywała mu oczyma na porucznika. Nie uważała za właściwe wtajemniczać go w rzeczy tak drażliwe, a mające zapewne tylko przemijający charakter. Przytem rozumiała to dobrze, że sprawozdanie należało się przedewszystkiem księdzu. Chwilę później znaleźli się we troje, bo Oświeyko pospieszył do narzeczonej i ciocia Monisia opowiedziała dokładnie całą rozmowę z Jadwigą.

Ksiądz Marceli i Szczodrowski wysłuchali ją uważnie, a potem spojrzeli na siebie, kiwając smutno głowami.

— Wszystko wiąże się logicznie i dopełnia, potwierdzając nasze przewidywania, — zauważył ksiądz.

— Ale coś przecie trzeba robić dla ratowania tego nieszczęśliwego dziecka, — piszczała rozpaczliwie ciocia Monisia, podczas gdy łzy sypały się jej jak grad z małych oczek na zaróżowione policzki. — Wy mądrzy, więc radźcie! Ja biedna, głupia kobiecina modlić się tylko potrafię i płakać!

— Płacz zbędny, ale modlitwa może w tym wypadku przynieść więcej korzyści, niż co innego, — zauważył Szczodrowski.

— No, tak, — przytakiwała Wardężyna. — Rozumie się. Ale modlitwa modlitwą, a chorobę przecie trzeba leczyć.

— Na taką chorobę żadna z mikstur pana Ksawerego nie poradzi, — rzekł ksiądz. — Niech próbuje zresztą, owszem. Ale jeśli jemu nie powiedzie się, wtedy na mnie kolej.

Mówiąc to, skinął na Szczodrowskiego, by wózek jego skierował ku bawialni, skąd dochodziły głosy rozmawiających.

Huragan uspokoił się na krótką chwilę, z poza drzwi dochodziły urywki spokojnej, a nawet żartobliwej rozmowy, jaką doktór i porucznik prowadzili z Jadwigą. Ale w chwili, gdy Wardężyna otwarła drzwi przed wózkiem, kierowanym przez jej brata, wicher zawył z całej mocy, a równocześnie rozległ się przenikliwy krzyk Jadwigi.

— Nie chcę! Niech nie przychodzą! Niech nie męczą! Zostawcie! zostawcie!

— Kto ma ciebie zostawiać, aniołku? — zapytała pani Monika, gładząc pieszczotliwie jej włosy. — Kto cię rozstraja i męczy?

— Nie ciocia! I nie doktór...

— Czy może ja? — zaśmiał się Jurek.

— Nie, ale...

Wzrok jej zwrócił się w stronę księdza, który ski-

nął głową na znak, że rozumie i uśmiechnął się, jak człowiek, chcący rzec:

— Wiedziałem, że tak będzie!

Ale nie czas było na wyjaśnienia i dyskusye. Po chwili uspokojenia huragan wybuchł z tak niesłychanym impetem, że stare domostwo zatrzęsło się w swych podstawach. Rozwarły się opusty niebios, istny potop zalewał ziemię, zasłaniając okna istnemi ścianami spływającej wody. Pioruny biły z nadzwyczajną mocą raz po raz, jakby wojsko tytanów przypuszczało szturm dla zdobycia ziemi. Pokój cały stał w ogniu od nadmiaru błyskawic. Mimowolny lęk zdjął wszystkich. Skupili się instynktowo jedni przy drugich, a oczy ich biegły niespokojnie ku tym oślepiającym blaskom, pytając, czy za chwilę siła burzy nie rozerwie wątłych ścian i nie unie-sie w powietrze, chroniącego ich głowy, dachu.

A wtedy, ponad straszliwy ryk gromów i ponad ogłuszające wycie wichrów, podniósł się głos kobiecy, nabrzmiały strachem, ale zarazem dziką jakąś radością i pożądaniem.

— On! on!

Jak przed kilku dniami Jadwiga stała znów pośrodku bawialni, wyciągając ręce w tym samym, jak wówczas, kierunku.

Ale już lęk od niej odleciał, zostawiając na swem miejscu samo tylko roznamiętnione oczekiwanie.

Wszystkie oczy pobiegły za jej wzrokiem i ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

Tam poza oknem stała postać nie mglista już i niewyraźna, jak przed tygodniem, nie przedstawiająca się,

jak wówczas każdemu z patrzących inaczej, ale jasna, określona, odcinająca się jaskrawo sinym płomieniem fosforycznych linii na tle strumieniami płynących wód. Była to postać młodzieńca w wojskowym ubiorze, taka, jaką widziały oczy uczestników pamiętnych seansów.

— Henryk! — wołała Jadwiga. — Mocny, przybywaj!

Ksiądz Marceli chciał się podnieść z fotelu, ale sił mu zabrakło. Chciał wyciągnąć rękę, ale ręka mu opadła. I w tejże chwili okno, wstrząśnięte huraganem, rozwarło się z łoskotem, roztrzaskane szyby padły brzęcząc na posadzkę, na którą lać się poczęły deszczowe strugi, a pokój cały napełnił się sinymi błyskami, wściekłym rykiem i przerażeniem. Aż po długiej chwili zamięszania ta orgia blasków i hałasów ustała nagle. Na dworze padał kroplisty deszcz, ostatnie błyskawice bladły na krańcach rozjaśniającego się nieba, głuche ryki gromów przechodziły w cichnący pomruk. Znużona tytanicznym swym wysiłkiem burza, dogasała. Przez rozbite okno wpływała woń wilgotnych oparów i kwiecia z ogrodu.

Szczodrowski pierwszy przyszedł do siebie i rozglądnął się dokoła niespokojnie. Z ust jego wydarł się okrzyk, któremu przywtórzyła jego siostra.

Jurek Oświeyko trzymał na ręku Jadwigę nieprzytomną, zesztywniałą, jak w katalepsyi. Na fotelu spoczywało bezwładnie ciało księdza, nie dającego znaku życia.

Porucznik przerażonym okiem wpatrywał się w ukochaną dziewczynę, śledząc z rozpaczą, czy pozostała w niej iskra życia i przywołując doktóra. Ale do-

któr nie słyszał. Przechylony nad obwisłą postacią brata, objął go ramionami, gładził po zżółkłej twarzy i wołał nań słowami pełnemi macierzyńskiego wprost przywiązania. Ale ksiądz Marceli nie odpowiadał mu, nieruchomy i sztywny, z napół otwartemi ustami i wpatrzonemi w dal oczyma.

A młoda dziewczyna pozostawała, jak on, bezwładna i cicha.

VI.

Po kilku godzinach bezwładu Jadwiga przyszła do siebie, a wraz z odzyskaniem przytomności, zdawała się jej wracać równowaga. Ksiądz Marceli zato nie dźwignął się z odrętwienia, w jakie wpadł równocześnie z młodą dziewczyną. Wzrok jego zachował swój wyraz i dawał znać o życiu duszy, ale usta bełkotały tylko, niezdolne dać poznać, czego chory żądał i co chciał wyrazić. Była to prawdziwa ruina, na której widok ścisnąć się musiało najbardziej obojętne serce.

Doktór Ksawery był w rozpaczy. Cios ten zdruzgotał go doszczętnie. Zobojętniał na wszystko, konsultacye dawał mechanicznie, zbywając byle czem chorych, do pracowni nie zaglądał, zapomniał też o bibliotece i studyach i od czasu do czasu tylko rył się w książkach, szukając ustępów, traktujących o paraliżu i o środkach zaradczych przeciw tej strasznej niemocy. Wszystek czas zresztą przepędzał przy chorym, patrząc mu w oczy i starając się odgadnąć, co mówiło mu to tragicznie nieruchome spojrzenie.

Troskliwość jego o Jadwigę ustała. Czynił dla niej jedynie to, czego wymagała konieczność. Czy powodem tej zmiany było zobojętnienie ogólne, czy może źródło tkwiło także i w postępowaniu młodej dziewczyny? trudno było rozstrzygnąć. To pewno, że zachowanie się panienki było dziwne i mogło od niej odstręczyć najbardziej oddanych. Charakter jej odmienił się do niepoznania. Wprawdzie pozory pozostały niezmienione: ten sam uśmiech pełen wdzięku, ten sam układ łagodny i spokojny, dopóki nie ukłuł ukrytem żądłem. Ale pod tymi pozorami kryło się coś, co napełniało wszystkich przerażeniem i troską. Było to tak, jak gdyby ktoś jej odmienił duszę. Ze słów jej, zamiast cechującej je zazwyczaj wyrozumiałości i dobroci, przezierało żądło nienawistnej złośliwości, jakaś nieokiełznana żądza ukłucia, sponiewierania, dokuczenia. Dość było dać poznać dla czegokolwiek szacunek i życzliwość, by roznerwowane dziewczę pospieszyło rzucić na to garść błota. Tłumaczyli to sobie wszyscy rozstrojem duszy, ale, choć zrozumiałe, nie przestawało to być bolesnem.

Co było szczególnie przykre, to stosunek jej do nieszczęśliwego paralityka. W tem gronku, tak ze sobą zespolonem, wszyscy odczuli głęboko straszny cios, jaki dotknął obu gospodarzy; każdy też starał się okazać im, podług sił, współczucie i współdziałanie. Jadwiga stanowiła wyjątek. Już w ostatnich kilku dniach przed katastrofą zobojętniała całkiem dla księdza Marcelego, teraz nie kryła się z odrazą ku niemu. Przechodząc koło jego fotelu, odwracała oczy, by go nie widzieć, unosiła suknię, by z nim przypadkiem nie zetknąć się.

— Gdybym jej nie znał, jak znam, — mówił porucznik z żalem do Szczodrowskiego, — byłbym przeświadczony, że w tej dziewczynie niema ani krzty serca... a jednak wiem, że jest, tylko coś je przykryło i oderwało.

— Tak! — potwierdził Szczodrowski. — To wygląda, jakby ktoś inny w niej działał, nie ona.

Przyjaciele wmawiali w siebie wprawdzie, że to nie ona działa, ale nurtująca w niej choroba; mimo ich woli jednak powstał między nimi a Jadwigą rozdźwięk coraz silniejszy i trwalszy. Dawniej oddzielały ich od siebie, wprawdzie od czasu do czasu, reminiscencye wrażeń seansów, ale wrażenia te zacierało rychło obcowanie. Teraz oddalali się od siebie z każdą chwilą, a dzieląca ich szczelina rosła wciąż, zmieniając się w przepaść. Pani Monika zmuszała się do dalszego okazywania afektu dla sieroty i do otaczania jej swoją pieczołowitością, ale w gruncie czuła wobec niej silny lęk i niemal wstręt, tak zachowanie się młodej dziewczyny drażniło ją, obrażało jej godność, jej najdroższe uczucia i najświętsze wierzenia. Co prawda, Jadwiga brała ją za cel nieustannych kpin i docinków i znęcała się nad nią bezlitośnie. Gołębia słodycz Wardężyny, zamiast opamiętać, pobudzała panienkę do coraz bardziej wyrafinowanego okrucieństwa. Staruszka znosiła długo milcząc i, jako jedyny znak protestu, wybuchała czasem łzami, co jednak nie doprowadzało do opamiętania. Wreszcie ujął się za siostrą Szczodrowski. Spokojnie i łagodnie, ale z właściwą sobie stanowczością, przedstawił Jadwidze niewłaściwość i okrucieństwo jej postępowania i sądził przez chwilę, że wystąpienie jego osiągnie oczekiwany skutek.

Ale omylił się. Jadwiga słuchała go z początku, wprawdzie w milczeniu, z oczyma spuszczonemi i miną pensyonarki moralizowanej przez księdza prefekta. Dała mu nawet wziąć w obie dłonie swą rękę, jako oznakę żalu i postanowienia poprawy, w chwili jednak, gdy Szczodrowski, wyczerpawszy długą seryę argumentów, uderzył w struny uczucia i drżącym od wzruszenia głosem odwołał się do jej serca i zaufania ku sobie, panienka podniosła ku niemu fiołkowe oczka, pokazała mu w uśmiechu ząbki, podobne do pereł i rozpoczęła z nim scenę kokieteryi tak śmiałą, tak namiętną i subtelną zarazem, że gry podobnej nie powstydziłaby się najświetniejsza z artystek. Ta dziewczyna, wychowana w wiejskim zakątku w tradycyach dawnego autoramentu i nieświadomości obyczajów i flirtów eleganckiego świata, patrzała nań teraz i uśmiechała się, jak bachantka; miała ruchy zapożyczone z kulis, a na ustach światowo-erotyczny żargon, podsłuchany niewiadomo gdzie i kiedy, ale podsłuchany przedziwnie.

Szczodrowski z początku był wprost odurzony tą, tak niespodziewaną ofensywą. Nie dowierzał oczom, chwytał się za głowę, chcąc odpędzić tę zmorę i obudzić się. Ale czarowny obraz kusicielki nie rozwiał się, wabiła go całą potęgą zmysłów, piękniejsza stokroć, niż ją kiedykolwiek znał, nęcąca, urocza, straszna. I trzeba było niezwykłej mocy ducha, jaką pan Ignacy posiadał i całego zaparcia się, z jakiem umiał swego czasu stłumić przywiązanie do ukochanej kobiety, by oprzeć się i zwyciężyć w pojedynku, w którym uległby zapewne inny.

Szczodrowski wyszedł z tego przejścia z rozdartem sercem. Rozwiał mu się w oczach promienny sen, którego odbłysk ozłacał samotne jego życie. Cudnego kwiatu, który mu wyrósł w sercu, wyrzekł się wprawdzie na zawsze dla siebie, ale cieszył się nim, jak cieszy się oko wszystkiem, co piękne, a dusza wszystkiem, co dobre. Jadwiga była dlań, jak słońce. Nie sięgając do niej, żył światłem, idącem od niej. A teraz światło zgasło, czarodziejski kwiat zwiądł i rozpadł się, zostawiając mu w dłoni samą tylko łodygę nagą i brzydką. I Szczodrowski poczuł nagle, że życie jest beznadziejnie szare i puste.

Cokolwiek jednak Szczodrowski czuł, pozostało to wiadomem jemu jednemu. Na zewnątrz uzbroił się w stalowy pancerz obojętności i chłodu i o pancerz ten obijały się wszystkie zabiegi młodej kobiety.

Zabiegi trwały długo. Jadwiga nie zrażała się niczem, z wyrafinowaniem wytrawnej kokietki wynajdywała okazye spotykania się sam na sam, a gdy wszystkie jej usiłowania pozostawały daremne wobec jego niezachwianej równowagi zmieniła nagle taktykę. Próbowała dotychczas opiekuna swojego usidlić, teraz poczęła go kompromitować. Wybierała chwile, gdy narzeczony nadchodził lub znajdował się wpobliżu, by zwracać ku Szczodrowskiemu frazesy, wykrojone z romansu, wymowne spojrzenia i poufałe gesty, których znaczenie musiało rzucać się w oczy. Były tam i przyciszone nakazy milczenia i odpowiedzi na pytania, których Szczodrowski nie myślał zadawać i cała powszednia gra zakochanych, ukrywających się przed natrętnym świadkiem. Szczodrowski dotknął parękroć przelotnie sprawy tej

z Oświeyką i chciał z nim rozmówić się otwarcie, ale na rozmowę tę nie mógł się zdobyć. Wstrzymywał go wstyd i żal. Jakże on mógł bezcześcić wobec trzeciego tę kobietę, którą kochał od lat tylu! nie! ani jedno słowo oskarżenia nie mogło przedrzeć się przez jego usta! Jurek powinien był sam zrozumieć... gdyby zaczął.. gdyby zapytał... a wtedy...

Ale Jurek nie zaczynał. Słuchał posępnie aluzyi Szczodrowskiego do histerycznych nastrojów u kobiet, dał się posłusznie wciągnąć na konferencyę popularno-medyczną, której im obu, dość niechętnie zresztą i z widocznem roztargnieniem, udzielił pan Ksawery. Sam przytem milczał, zaciskając nieznacznie usta. Szczodrowski, patrząc na niego, robił się coraz smutniejszy. Raz nawet zaniepokoił się.

Zeszła im rozmowa na przyjaźń i wtedy Oświeyko ozwał się naraz, patrząc w ziemię.

— Ja tam w żadną przyjaźń nie wierzę. *Homo homini lupus.*

Szczodrowski popatrzył na niego.

— Każdy? — spytał.

Jurek przytwierdził, nie podnosząc oczu. Wtedy Szczodrowski objął go ramieniem, szukając wzrokiem jego oczu.

— Więc i my? — szepnął.

Młody człowiek ścisnął go z gwałtownym wybuchem.

— Ach, nie, nie! — jęknął. — Nie ty; ale nie wiń mnie! tak jestem nieszczęśliwy! — zawołał gwałtownie.

I wyrywając się z rąk przyjaciela wybiegł z pokoju.

Kilka dni zeszło we względnym spokoju. Szczodrowski usuwał się od towarzyszy, ograniczając się do zebrań przy jadalnym stole. Resztę czasu przepędzał na długich, samotnych spacerach, albo na rozmowie z siostrą i głośnem czytaniem przy księdzu. Mówił też o potrzebie wyjazdu, o tym jednak doktór nie chciał słyszeć.

— Nie opuścisz nas przecie w takiem nieszczęściu, — mówił z wyrzutem. — I tak nie siedziałbyś w mieście podczas upałów, a tutaj pobyt twój tyle nam robi dobrego.

Szczodrowski pomyślał, że pobyt jego tutaj może zrobić niemniej złego, niż dobrego, ale nie miał istotnie dość mocy nad sobą, by odjechać. Zresztą niepodobna było zostawiać Jadwigi z panią Moniką, tracącą całkiem głowę wobec niesfornej pupilki; tem mniej można ją było odwozić do Warszawy.

Natomiast postanowił odjechać Oświeyko. Nie mówił on już nic o ślubie, ani o krakowskiem gniazdku. Wszyscy czuli dobrze, że jakaś nić pękła i już się nie da nawiązać. Za przykładem przyjaciela Jurek odosabniał się od reszty towarzystwa, luzując się jedynie z nim i z Wardężyną przy fotelu paralityka. Oprócz chęci oddania przysługi choremu, ciągnęła go do tego fotelu być może także i pewność, że nie spotka się tam z narzeczoną.

Unikał jej istotnie, jak mógł, ona zaś zdawała się nie dostrzegać tego, tak samo, jak dniami całymi nie zwracała uwagi na jego obecność, ani słowem nie odzywając się do niego, zapominając nawet podać mu dłoń

na dobry dzień i dobra noc. Ale nie było tak ciągle. Nagle, ni stąd ni zowąd bryła lodu zamieniała się w wulkan. Młoda dziewczyna wybuchała istną lawą wyrzutów i narzekań, oskarżała w płomiennych słowach narzeczonego, że ją przestał kochać, groziła, że życie sobie odbierze, jeśli on na jej miłość nie odpowie równą miłością, a wkońcu rzucała mu się w objęcia, rozszalała, wołając, że jest jego, że może brać ją, jak niewolnicę, jak rzecz i ustami szukała jego ust...

Jurek był uczciwym chłopakiem, a miłość jego dla Jadwigi była czystą. Ale był młody i krew grała mu w żyłach, więc z największym wysiłkiem wyrywał się z objęć szalejącej dziewczyny i uciekał od niej, a gdy spotykali się parę godzin później, ona znów patrzała na niego, nie widząc, jak wykuta z marmuru bogini, a on czuł, że między nim a tą nową, nieznaną dotąd istotą, jest otchłań, że przez tę otchłań rzucić może most na chwilę nie miłość, ale sama tylko zmysłowa namiętność. A że namiętności uledz nie chciał, a gasnąca miłość przestawała być przeciw niej puklerzem, postanowił odjechać i nie wrócić.

Tymczasem jednak zaszedł wypadek, który miał wnieść nowe zamieszanie w życiu mieszkańców starego domu nad rzeką.

VII.

Od owego fatalnego wieczoru, który przyprawił księdza Marcelego o tak straszliwą niemoc, stosunki wzajemne pomiędzy gospodarzem i gośćmi starego domu

zmieniły się zupełnie. Było to tak, jakby na wszystkich wionęło tchnienie zatrutego powietrza. Ci ludzie, rozumiejący się dotychczas tak dobrze, tak bliscy sercem i tak sobie oddani, poczęli stawać się jedni dla drugich obcymi. W ich duszach zrodziła się podejrzliwość, niechęć i mało już brakowało, by dawna przyjaźń ustąpiła miejsca nienawiści.

Jak do tego przyszło? Nikt nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Od czasu do czasu jednak przelatywało wszystkim przez myśl jedno imię. I powracało...

Istotnie źródło nieporozumień i niesnasek było zawsze jedno. Kto podszepnął cioci Monisi, że doktór Ksawery posądza ją o malowanie się, ją, największą abnegatkę w sprawach tualetowych? Kto doktorowi zdradził, że Szczodrowski nazywa go maniakiem? Czy nie z tej samej strony przychodziły owe rewelacye, jak i te, które kropla za kroplą wlewały jad w dawną przyjaźń Szczodrowskiego z Oświeyką?

Dawni przyjaciele unikali siebie teraz nawzajem, a rozmowy ich ograniczały się do paru frazesów dziennie. Obiady i wieczerze schodziły w posępnem milczeniu i wszyscy zapewne uciekliby już z tak gościnnego dawniej domu, gdyby ich nie wstrzymywały niepokoje i przeszkody komunikacyjne, wojna bowiem rozlewała się coraz szerzej, dobiegając do cichego Jastrzębińskiego zakątka.

Zmuszeni jednak pozostać, goście doktora Ksawerego i on sam z nimi, stawali się coraz bardziej podejrzliwi i rozdrażnieni. Atmosfera robiła się coraz cięż-

szą. Milczenie przerywały coraz częściej ironiczne docinki i wyrzuty osobiste. Aż wreszcie bomba pękła.

Jednego wieczora Jadwiga spokojniejszą była, niż zwykle i wbrew zwyczajowi uprzejmą w równej mierze z narzeczonym i ze Szczodrowskim. Z tym ostatnim rozmawiała czas jakiś na tarasie przed udaniem się na spoczynek. W godzinę potem porucznik, który kładł się późno, posłyszał skrzyp otwierających się drzwi i z największem zdumieniem ujrzał stojącą w progu panienkę. Miała włosy rozpuszczone i ubiór w nieładzie, a cała jej postać nosiła ślady silnego wzruszenia.

Jurek przypadł jednym skokiem do niej.

— Na Boga! co się stało?

— Stało się to, — odrzekła Jadwiga łamiącym się głosem, — że pan Szczodrowski wkradł się przed chwilą do mego pokoju, i że wyrwałam mu się z największym wysiłkiem, zamykając go na klucz. Ty bądź mi obroną i mścicielem.

— Szczodrowski? niepodobna! — krzyknął Jurek.

— Idź i przekonaj się!

Ogień objął mózg Oświeyki, w oczach mu zrobiło się czerwono. Przebiegł kilkanaście kroków, dzielących dwór od oficyny, odkręcił klucz i znalazł się pokoiku Jadwigi. Naprzeciw drzwi przy otwartem oknie stał Szczodrowski.

Na jego widok młodemu chłopakowi na mgnienie oka ugięły się kolana i zmuszony był oprzeć się plecyma o drzwi.

— Ty! tutaj? — wyjąkał.

Szczodrowski podszedł ku niemu.

— Tutaj, tak, choć przez to niskie okno mógłbym być w jednej chwili w ogrodzie i u siebie. Ale wiedziałem, co się stanie, i że ona naprowadzi cię na mnie. Uspokój się, wytłumaczę ci.

Ale Oświeyko wybuchnął.

— Jakie tu tłumaczenie! o północy w panieńskim pokoju... ha, łotrze!

Szczodrowski pochwycił go za obie rękę, przytrzymując je mocą.

— Zaklinam cię na wszystko, powstrzymaj się od tego, czegobyś potem nie był w stanie cofnąć! Ochłoń i wysłuchaj mnie, a potem sądź!

Młodzieniec tak przywykł uważać Szczodrowskiego jako starszego brata, że mimo ogarniającej go wściekłości, opanował się istotnie i zmilkł, zaciskając zęby. Ale w tejże chwili z poza drzwi rozległ się przenikliwy głos Jadwigi.

— Wdarł się do mnie przez otwarte okno... zmówili się z siostrą... przeniosła się wczoraj na tamtą stronę oficyny, że to niby po ostatnich deszczach sufit przecieka, a mnie zostawiła na pastwę! I on rzucił się na mnie, jak dziki zwierz! Cud, żem się wyrwała, a on złapał się w pułapkę.

— Nikczemniku! — ryknął porucznik, którym znów owładnęła furya. — Ja cię nauczę uwodzić dziewczęta, których to niby jesteś opiekunem!

I wyrwawszy rękę Szczodrowskiemu, uderzył go w policzek.

Szczodrowski nie bronił się i nie oddał ciosu. Stał skamieniały, patrząc na szalejącego młodzieńca szeroko

rozwartemi oczyma, w których było i zdumienie i wielki smutek.

— Nieszczęsny, — szepnął, — nieszczęsny! coś uczynił? jak będziesz żałował.

Tymczasem jednak Oświeyko otworzył drzwi na oścież za nimi, zasłaniając sobą Jadwigę.

— Precz stąd, — rozkazał stłumionym głosem. — Bym nie zapomniał czem nam byłeś dawniej mnie i jej i nie ściągnął na twoją głowę ludzkiego wstydu.

Szczodrowski chciał coś odrzec, potem jednak opuścił głowę i odszedł w milczeniu.

A z otwartych drzwi za odchodzącym, rozbrzmiał w ciszy nocnej syczący, złowrogi śmiech kobiecy.

VIII.

Szczodrowski siedział w swoim pokoju z czołem nisko pochylonem na skrzyżowanych dłoniach. Gorące południe zalewało świat promienistą pozłotą, nad kępami traw unosiły się brzęcząc roje owadów, motyle o jasnych skrzydłach przelatywały z kwiatu na kwiat, jak rozsypane w powietrzu listki białej róży. Wszystko zieleniało, pachło, jaśniało, radując się życiem. Z pomiędzy rozłożystych lip nadbrzeżnych przeświecała lśniąca wstęga Bugu.

Ale w duszy Szczodrowskiego był smutek. Opuściło go wszystko, wszystko zawiodło. Umiłowana kobieta zdradziła go haniebnie, z piekielną przebiegłością wciągając w zgubne sidła. Wiedział już, że w ostatnich

czasach stała się złą i przewrotną, przekonywał się teraz jednak, że nie znał jej wcale dotąd.

Oto bowiem tego samego wieczora, na godzinę przed zjawieniem się u Oświeyki, przyszła do niego taka całkiem jak dawniej dobra, słodka i cicha i poczęła z nim mówić, jak zwykła przez lat tyle ze starym swym przyjacielem i zaufanym opiekunem. Chodzili długo po ogrodzie. Ona mu się zwierzała z tego wszystkiego, co z nią się działo w tym czasie trosk i rozdźwięku. Słuchał jej z początku z rezerwą, nie dowierzając, aż zwolna poczęła go przenikać i unosić ciepła fala przywiązania, ufności, wiary. Nie! to nie był podstęp i ułuda! ona mówiła szczerze. Może skłamałyby usta, nie mogły kłamać oczy. Nie kłamały łzy, wielkimi kroplami spływające jej po twarzy.

Mówiła mu więc, że czuje w sobie jakby jaką siłę obcą, która ją ogarnia i zniewala i odmienia w niej duszę. I wtedy ona już nie jest sobą. Inna jakaś istota zastępuje jej miejsce, nie daje ujawnić się, przemawia i działa za nią. Ta istota jest pełna jadu i nienawiści i ona istotą tą się brzydzi, ale nie jest w stanie wyzwolić się od niej. Czasem tylko przyjdzie taka chwila, gdy spadnie zawiązka z jej myśli i ust i wtedy chciałaby wszystko, co działo się mimo niej, odrobić i naprawić, chciałaby odegnać od siebie moc złowrogą i oprzeć się na przyjaznem ramieniu... I teraz właśnie strach ją przejmuje, czuje bowiem złą moc wpobliżu siebie, ale czuje to także, że dopóki on, Szczodrowksi, przy niej, moc owa niema do niej przystępu... I prosiła go, by został z nią i bronił jej. Jemu dusza rozpływała się w nieznanej da-

wino słodyczy. Odnajdywał dziecko, tulące się przed laty u jego piersi i młodą kobietę, której dusza nie miała dlań tajemnicy. Szli tak obok siebie długo, wreszcie Jadwiga skręciła z ogrodu do oficyn. We drzwiach Szczodrowski począł ją żegnać, ona jednak przytrzymała mu rękę w obu dłoniach.

— Zostań pan jeszcze chwilę, — prosiła, topiąc w nim głębokie swe smutne oczy. — Boję się zostać sama... Póki pan jesteś ze mną, jestem bezpieczną, zostań!

I wciągnęła go do swojej sypialni, przysuwając krzesło. Szczodrowski nie opierał się. Usiadł, ona stała wciąż przy drzwiach, mówiła mu dalej dobre, słodkie słowa. Nagle krzyknęła i kocim ruchem znalazła się za progiem, zatrzaskując drzwi za sobą i zakręcając klucz. Stało się to tak nagle, że przez chwilę Szczodrowski nie był w stanie zrozumieć. Wreszcie jednak zrozumiał, że padł ofiarą piekielnej gry Jadwigi i że wygrana była po jej stronie. Wiedział też, co teraz nastąpi. Przez mgnienie oka spojrzał w otwarte okno — ale nie, o tem nie mogło być mowy! musiał zostać i patrzeć oko w oko czekającemu go niebezpieczeństwu...

I został.

A teraz czekał, co przyniesie najbliższa godzina. Musiała przynieść rozstrzygnięcie. Oświeyko zniknął od wczesnego rana. Pan Ignacy domyślał się. Porucznik miał kolegę, Dowborczyka, jak on, bawiącego w sąsiedztwie. Niewątpliwie udał się do niego z prośbą o sekundowanie w pojedynku. Lada chwila przybędą tu obaj z zapytaniem, kto jest sekundantem Szczodrowskiego. A wtedy...

Wtedy trzeba im będzie odpowiedzieć... ale co? Szczodrowskiemu szumiało w głowie. Czuł, że jakiś krąg żelazny otacza mu skronie i ściska je coraz silniej. Młoty ciężkie uderzały go po czaszce, ostre igły przebijały kości i wkręcały się w mózg. Miałże się mścić doznanej zniewagi, myjąc ją we krwi? był zawsze przeciwnikiem pojedynków, uważając je za zabobon i przeżytek feudalizmu, ale w pewnych razach stanowiły one przynajmniej rozwiązanie jakiegoś gordyjskiego węzła. W danym wypadku jednak rozwiązanie to nie rozwiązywało nic zgoła, bo przecie w tragedyi tej wszystko było pomyłką, nic nie działo się z wolnej i świadomej woli. Jadwiga działała w obłędzie, działała z nadzwyczajną perfidyą i zręcznością, ale istotnie tak, jak działa narzędzie w woli cudzej. Kto wie nawet, czy to, co mówiła w ogrodzie nie było zupełnie szczere i nie stanowiło istotniejszego wyrazu jej woli, niż ta ohyda, która nastąpiła zaraz potem. W każdym razie brutalny odruch Oświeyki wywołany był pozorami, jakie postępowanie Jadwigi wytworzyło. Wystarczyło sprawę wyjaśnić, a wówczas konflikt orężny stanie się potworną niemożliwością...

Tak, ale Oświeyko był oficerem i jako oficer niewolnikiem tego dziwnego kodeksu honoru, który w pewnych razach nakazuje mord. A gdyby nawet wzgląd ten nie istniał, czy Szczodrowski miałby pozostać przez życie całe ze śladem ręki Oświeyki na twarzy? czy mógłby spojrzeć mu w oczy, gdyby jedynie jego dyskrecya chroniła go od pogardy, jaka spotyka spoliczkowanego?

Szczodrowski czuł, że jest na dnie studni, i że czar-

na chmura spowija go, jak kir całunu. Nie widział dla siebie znikąd wyjścia, ale już mniejsza o niego, gorzej było, że nie widział wyjścia ani dla Jurka, ani dla nieszczęsnej Jadwigi. Jurka mógł jeszcze ocalić własnym kosztem, poświęcając cześć sumienia, ale Jadwiga? bo to rozumiał dobrze, że musi zejść z drogi jej życia. Nie wyciągnie już w jej obronie męskiego ramienia, nie zastawi jej piersią własną, przeciw tajemniczym mocom, którym próbował ją wydrzeć... Odejdzie samotny z sercem pełnem przerażenia i bolu, a Oświeyko wiedział to dobrze, odejdzie także, bo młoda jego dusza nie będzie miała dość hartu, by oprzeć się takim próbom. A wtedy co stanie się z Jadwigą?

Zastukano. Szczodrowski doznał uczucia ogromnej ulgi. To, co przychodziło do niego w tej chwili, to była może śmierć, może hańba, ale w każdym razie to było coś, co dotykało jego samego, nie — Jadwigi.

Ale omylił się. Nie Oświeyko przychodził do niego, lecz doktór. Był mocno podniecony zmianą zaszłą od rana w stanie brata. Poruszał się, bełkotał, był rozdrażniony. Pan Ksawery zrozumiał, że chce widzieć Szczodrowskiego.

Szczodrowski tak przywiązał się do chorego księdza i tak gorąco współczuł jego niedoli, że na chwilę zapomniał o własnej trosce.

— Czy można to uważać za zwrot choroby i mieć nadzieję wyzdrowienia? — spytał, idąc do pokoju paralityka.

Doktór ruszył ramionami.

— Kto zgadnie? takie cierpienia przychodzą czę-

sto bez przyczyny widocznej i ustają podobnie. Czy jednak ta odrobina polepszenia będzie początkiem reakcyi, czy też po niem znów nastąpi dotychczasowa martwota — o tem wiedzieć może jeden Bóg!

Ksiądz istotnie odmienił się. Siadywał dotąd na swym fotelu nieruchomy, jak posąg. Życie skupiało się u niego jedynie w oczach, a gardlane dźwięki, jakie od czasu do czasu wydawał, nie miały nic wspólnego z ludzką mową. Obecnie poruszał się połową ciała, a bełkotanie, wychodzące mu z ust, nie było wprawdzie zrozumiałe dla nikogo oprócz brata, nosiło jednak wyraźnie na sobie cechę usiłowań porozumienia się z otoczeniem. Na widok Szczodrowskiego chory począł poruszać się żywiej, bełkotał głośniej i z takiem natężeniem, że na woskową jego twarz wystąpiły rumieńce. Szczodrowski usiadł przy nim i, objąwszy drżące jego ręce własnemi, przypatrywał się z bolesnem uczuciem udręczonej męką twarzy, chwytał z ust rzucane dźwięki, nie będąc jednak w stanie domyśleć się ani jednego wyrazu. Pochylony nad nim doktór wpatrywał się równie uważnie, ale z lepszym skutkiem w oczy i usta brata.

— Czy rozumiesz pan, czego on żąda? — szepnął mu Szczodrowski.

— Sądzę, że tak. Idzie mu o pannę Jadzię, prawda?

Oblicze paralityka wyraziło tym razem niedwuznacznie radosne potwierdzenie.

— I co więcej, idzie mu o to, by ją chronić przed niebezpieczeństwem, czy tak? przed wielkiem niebezpieczeństwem, prawda?

— Będziemy czuwali, — upewnił Szczodrowski.— Otoczymy opieką ciało i duszę. Wszak tego żądasz, ojcze?

Rysy księdza zdradzały niepokój, który przeszedł w zniecierpliwienie. Widocznie szło mu o coś takiego, czego nie zawierały uspokajające słowa pana Ignacego. Nietylko on jednak, ale i doktór patrzył bezradnie na wysiłki chorego, niezdolnego dać się zrozumieć. Chory zaś męczył się, krztusił, pienił i prawie że wpadał w konwulsye. Doktór zrozumiał, że chce by mu coś podać, ale co? nie był w stanie odgadnąć. Zrozumiał wreszcie, że idzie o jakąś książkę, ale jaką? Szczodrowski, który miał co do stanu Jadwigi zapatrywanie niezbyt daleko odbiegające od wyobrażeń księdza, trafił tym razem lepiej od doktora w jego myśl. Na stole, przy którym siedzieli, leżało kilka książek. Pan Ksawery przysuwał je pokolei, wywołując tylko najwidoczniej silniejsze zniecierpliwienie. Pozostało z boku parę ksiąg liturgicznych: mszał, brewiarz i rytuał, Szczodrowski przysunął je do chorego, któremu twarz pojaśniała, wnet jednak nakazujący bełkot zażądał dalszego odgadywania jego życzeń.

Doktór przypuszczał, że chory chce, by mu przeczytać przypadające na ten dzień modlitwy z brewiarza lub mszału. Ale Szczodrowski pogrążył się w rytuale. Po dość długiem szukaniu podniósł otwartą książkę do oczu księdza.

— Czy to? — zapytał. Nie podobna było wątpić, że utrafił w myśl chorego.

Oczy mu pojaśniały, potem zwróciły się na karty

księgi, z których Szczodrowski jął czytać przyciszonym głosem przepisane rytuałem modlitwy.

— Co to jest? — pytał doktór, przechylając mu się przez ramię.

— Nic nadzwyczajnego: modlitwy nad chorymi, którym lekarze nie potrafią pomódz.

— Mniejsza o modlitwy, ale skąd pan przychodzisz do tego, żeby tak odgadywać myśli brata?

— Bom zawsze był bardziej klerykalny od pana, a w ostatnich czasach doszedłem do przekonania, że księża mają może racyę w tych rzeczach, z których zwykli śmiać się ludzie wykształceni i z których sam się śmiałem niedawno jeszcze.

— Dziwne, — mruknął doktór. — Bardzo dziwne. Widzę już, że brat zyskał w panu adepta. Tem gorzej dla ludzkości i dla cywilizacyi, ale tem lepiej dla niego. Widzę jednak, że znów zaczyna się poruszać. Czego chcesz, najdroższy?

— Zdaje mi się, że ksiądz chce pozostać ze mną,— zauważył Szczodrowski.

— Odgadujesz pan myśli jego tak dokładnie, że nie mam potrzeby narzucać się wam za pośrednika, — rzekł doktór, i odszedł zadowolony z chwilowego uspokojenia brata.

Po jego odejściu Szczodrowski nachylił się nad fotelem.

— Ksiądz chce, żeby tu sprowadzić Jadwigę? — zapytał.

— Tak, tak! — odpowiedziało spojrzenie paralityka.

— I chciałby ją egzorcyzmować?

— Tak, tak.

— A ponieważ nie możesz ksiądz czytać, chcesz więc, żebym ja czytał, a ksiądz będziesz powtarzać wyrazy modlitwy myślą, czy tak?

— Tak, o tak, — powtarzał w entuzyastycznem uniesieniu wzrok paralityka.

— Ale ona tu przyjść nie zechce...

Wzrok księdza zachmurzył się, ale widocznie przytwierdzał.

— Dlatego wytoczę fotel do bawialni, do której ona musi nadejść. I wtajemniczę siostrę, żeby ją tam przytrzymała, podczas gdy ksiądz będziesz się modlić.

— Dobrze, och, dobrze! — mówiły oczy.

— A gdyby to się nie udało dziś, — mówił dalej Szczodrowski, myśląc o tem co z nim stać się mogło w dniu dzisiejszym, — można będzie to zrobić jutro. I gdyby mnie nie było...

W oczach księdza błysnął niepokój.

— ...Zastąpi mnie Monika, której wszystko wytłumaczę. Dobrze?

Ale wzrok księdza wpatrywał się wciąż przenikliwiej i niespokojniej w jego pobladłą twarz, wyrażając coraz natarczywiej pytanie, którego nie były w stanie wymówić usta. Szczodrowski zrozumiał. Wiedział, że z Jadwigi, myśl i troska księdza przeszły na niego. I troska ta rosła w oczach, ogarniając całą istotę paralityka. Z ust dobywały się mu bolesne jęki, jakby prośby, czy zaklęcia.

— Czyżby domyślał się czego o mnie? — prze-

mknęło Szczodrowskiemu przez mózg. — Ale nie, przed chwilą myślał jedynie o Jadwidze!

Naraz jednak błysnęło mu w myśli.

— A może to jedno słowo »gdyby mnie nie było?«

I zrozumiał, że istotnie było to owe słowo, które w przeczulonym mózgu chorego musiało wywołać coś w rodzaju jasnowidzenia. Przekonał się o tem zresztą zaraz, zmuszony rozdrażnieniem chorego do wydobywania zeń jego myśli. Tak! Ksiądz Marceli niespokojny był o niego. Domyślił się naraz, że grozi mu niebezpieczeństwo, i że źródłem niebezpieczeństwa tego jest Jadwiga. I jak przedtem w trosce o nieszczęśliwą dziewczynę starał się wynaleźć to, co podług niego, mogło jej przynieść ratunek, tak teraz gorączkowo dopytywał się o rodzaj i rozmiar niebezpieczeństwa, grożącego przyjacielowi, by je zażegnać. Przejęty pragnieniem ulżenia choremu przez odgadnięcie jego myśli, Szczodrowski sam mimowoli wprowadzał go na trop prawdy, którą pragnął przecie tak gorąco ukryć. Wreszcie ksiądz Marceli znalazł się w posiadaniu samego przynajmniej jądra tajemnicy, a wówczas w oczach jego odmalował się wyraz boleści, jakiego od chwili sparaliżowania Szczodrowski nie dostrzegł w nich ani razu. Była w spojrzeniu tem taka litość i takie współczucie, a zarazem tak wyraźne żądanie przyciągnięcia go ku sobie, że Szczodrowski rzucił się w jego objęcia, przyciskając usta naprzemian do drgających rąk i do znieruchomiałej twarzy. I zapłakał. A na pochyloną jego głowę spadać poczęły ze zmartwiałych oczu paralityka duże, ciężkie łzy.

Trwali tak złączeni wspólną boleścią. Wreszcie

Szczodrowski podniósł się, trzymając rękę księdza w obu dłoniach. Chory patrzał nań mokremi oczyma, jakby chciał przesłać mu jakieś żądanie, potem zaś wzrok utkwił w krucyfiksie, stojącym na środku stołu.

Szczodrowski zbliżył mu Ukrzyżowanego do ust. Ale wzrok paralityka przenosił się dalej z krzyża na Jego twarz.

— Chcesz ojcze, bym Chrystusowi polecił moją boleść i los Jadwigi?

— Tak, tak, — mówiły oczy, — ale to nie wszystko.

Szczodrowski podsunął choremu kilka jeszcze pytań, ale oczy paralityka odpowiadały na wszystkie: tak, tak, ale nietylko to.

Wtedy przeleciało mu przez głowę, że ksiądz Marceli przeczuwa to, co z nim się stać miało. I sam prawie nie wiedząc o tem, wyjąkał pytanie, odnoszące się do konfliktu z Oświeyką.

Oczy księdza w odpowiedzi wpatrzyły się w krucyfiks. I spojrzenie to Szczodrowski zrozumiał. Znaczyło ono:

— Przebacz, przełam się, poświęć siebie!

— Ale to hańba! — próbował bronić się, — to przekreślenie całego życia, czci i honoru!

Ale oczy księdza utkwione były niezachwianie w postaci Ukrzyżowanego. Nieruchoma jego twarz stała się twardą i niezłomną, jak profil wykuty w marmurze.

— Rozumiem, chcesz powiedzieć, że wszystko to niczem wobec Chrystusa i Jego prawa!

— Tak! niczem!

— Mam więc wyrzec się swego ja, dać zdeptać

i zdeptać samemu to wszystko, co było dotąd celem i chwałą mego życia?

— Tak, tak! — nakazywały oczy.

— A z Jadwigą, co ma być z Jadwigą? czy mam ją odstąpić, jak chciałem?

— Nie, nie! nigdy! — mówiły oczy.

— Więc mam trwać przy niej, ratując ją wbrew jej woli, wbrew wszystkiemu?

— Wbrew jej woli i wbrew wszystkiemu, — potwierdzały oczy księdza, które z twarzy Szczodrowskiego przeniosły się na krzyż i trwały przy nim uparcie.

Szczodrowski stał przez chwilę nieruchomy, patrząc w ziemię. Wreszcie podniósł czoło i potarł je dłonią.

I wziąwszy krucyfiks, przycisnął do niego usta.

— Tak się stanie, — szepnął.

W tej chwili rozległ się dzwonek w sieni.

— To do mnie, — rzucił księdzu Szczodrowski. — Oświeyko z sekundantem. Idę rozmówić się z nimi, a ty, ojcze, módl się za mną.

IX.

Chwilę później stanął przed Szczodrowskim kolega Oświeyki, chorąży Gierski, zawiadamiając go w tonie urzędowym, że gotów jest porozumieć się ze wskazaną przez Szczodrowskiego osobą w sprawie wczorajszego zajścia między nim a Oświeyką. Chorąży był jeszcze bardzo młody i prawdopodobnie po raz pierwszy miał sposobność figurować w sprawie honorowej. Przybrał też minę sztywnie surową, miarkując powagę szczyptą grze-

cznego lekceważenia, równocześnie umierał z ochoty spojrzenia w wiszące na ścianie zwierciadło dla przekonania się, jaki efekt wywiera jego mina. Ale potrafił utrzymać się na wysokości piastowanego posłannictwa i nie uległ pokusie. Tylko okrągłe policzki, pokryte puszkiem dojrzewającej brzoskwini, zaczerwieniły się mocniej niż zwykle, brwi ściągnęły się groźnie, a usta gotowe do uśmiechu, skrzywiły się zuchowato, z wyrazem: »znaj naszych!«. I w jednych tylko oczach błyskała nie dająca się ukryć radość z powodu zapowiadającej się przygody.

Wyrecytowawszy, jak raport przed frontem, oficyalny frazes, uwierzytelniający jego misyę, Gierski zamilkł, oczekując odpowiedzi z oczyma utkwionemi w Szczodrowskiego. On zaś nie odpowiadał przez chwilę, aż wreszcie sekundant powtórzył pytanie. Wtedy Szczodrowski założył ręce na piersiach i odrzekł mu spokojnie:

— Nie mogę panu wskazać mego sekundanta w sprawie zajścia z Oświeyką. Pojedynkom jestem zasadniczo przeciwny, a gdybym je uznawał, nie widziałbym i tak w danym razie powodu do załatwienia sprawy orężem. Bić się nie będę!

Młodzieńczyk nie był zgoła przygotowany na taki obrót sprawy. Słyszał o Szczodrowskim, jako o człowieku ogólnie szanowanym i nie dającym sobie napluć w kaszę. Tem mocniej go cieszyło, że przeciw takiemu miał sekundować. Spotykał go zawód osobisty, przykry bardzo, bo jakiż byłby to świetny epizod do opowiadania przy czarnej kawie i cygarze! Z drugiej strony zdjęło go przerażenie. A nuż pokpi sprawę, popełni jakiś błąd

w nowej sytuacyi, — co wtedy? Zamiast niepospolitego, towarzyskiego atutu — kompromitacya... gotowi go nazwać dzieciakiem!

I nagle chorąży Gierski poczuł, że ogarnia go wściekłość. Ten Szczodrowski, jak on śmie?

— Kolega Oświeyko oświadczył mi, że pan jesteś obrażony i polecił odstąpić panu wszystkie przywileje przy spotkaniu. A pan satysfakcyi zrzekasz się?

— Zrzekam się.

Chorąży obrzucił Szczodrowskiego spojrzeniem, od którego powinno było zapalić się nad nim sto gromów, a potem uśmiechnął się jadowicie.

— A skoro tak... — mruknął, przybierając postawę w najwyższym stopniu pogardliwą i nie będąc w stanie tym razem oprzeć się pokusie zobaczenia w zwierciadle, czy mu z tą postawą do twarzy.

I odwracając się bez ukłonu, syknął przez zaciśnięte zęby:

— Winszuję, ale nie zazdroszczę.

— Panie Gierski! — rozległ się za nim głos Szczodrowskiego tak stanowczy i nakazujący, że młodzieniec mimowoli zatrzymał się i obrócił ku niemu głowę.

— Cóż tam jeszcze? — rzucił gburowato.

— Oto co: Jestem dwa razy starszy od pana, na kodeksie honorowym znam się lepiej, jako filister Arkonii, i dlatego mam prawo i obowiązek zwrócić panu uwagę, że zarówno sekundanci, jak i klient, obowiązani są zachować wobec przeciwnika i jego świadków aż do podpisania protokołu najściślej przepisy grzeczności, a kto przeciw temu wykracza, daje dowód, że albo przepisów

honoru nie zna, albo je lekceważy. Mam zaszczyt pana pożegnać.

Chorąży stał przez chwilę czerwony, nie już jak jabłko, ale jak dojrzała wiśnia, położył rękę na szabli i otworzył usta, chcąc coś odpowiedzieć; wnet jednak ręka mu opadła, głowa pochyliła się i wyszedł cicho z pokoju.

A Szczodrowski zakrył twarz rękami i stał tak, pogrążony w myślach długo.

Z ciężkiego zapamiętania się wyrwało go wejście siostry.

— Cóż tam znowu? — zagadnął z lekką niecierpliwością; będąc bowiem najpoczciwszą i najpożyteczniejszą z kobiet, Wardężyna nie zupełnie nadawała się na powierniczkę w kolizyach duchowych tego rodzaju, jakie przebywał w tej chwili; zauważył jednak wnet, że musiało zajść coś ważnego, twarz bowiem cioci Monisi była mocno zaniepokojoną.

— Coś dziwnego dzieje się z księdzem, — mówiła. — Rzuca się wciąż, bełkoce i krzyczy, boję się, żeby nie wpadł w konwulsye. A tu jakby umyślnie niema w domu ani Jurka, ani co ważniejsza, pana Ksawerego. A w dodatku Jadzia ani słyszeć chce o pomożeniu mi przy chorym. Wiesz, że to u niej zakrawa wprost na niepoczciwość ta jej niechęć do człowieka, od którego nie doznała nic, prócz dobra i oto od pół godziny kręcę się koło chorego, starając się wyrozumieć czego mu potrzeba i Walentowa mi w tem pomaga, jak umie, ale ani z niej, ani ze mnie niema pożytku. Więc myślę sobie, niech Ignaś ratuje. Przyjdziesz?

Szczodrowski, nie odpowiadając, pospieszył do chorego, który zobaczywszy go, uspokoił się zaraz. Po porozumieniu się, jakie z nim miał przed godziną, nie trudno było Szczodrowskiemu domyśleć się, czego żądał paralityk. Trudniej było wolę jego wykonać. Pan Ignacy powiedział siostrze o co idzie, ona jednak odpowiedziała mu jedynie westchnieniem i podnoszeniem rąk do góry.

— Chyba parobkom każesz ją trzymać, albo sam z Jurkiem to uczynisz, bo inaczej nie wysiedzi ani ćwierć minuty przy księdzu.

— Jemu idzie właśnie o to, by mieć ją przy sobie choćby parę minut.

— Niepodobna. Nie zostanie ani chwili, gdy spostrzeże, że on czy ktokolwiek ma jakieś zamysły co do niej. Chyba, że...

— Chyba co?

— Chyba, że uda się zasadzić ją do fortepianu. Wiesz, jak ją pochłania muzyka. Gdy raz się zapamięta, można do niej strzelać, nietylko pacierze mówić.

— Czy tylko zechce? Biednemu księdzu tak o tę modlitwę przy niej idzie!

— Trzeba próbować. Dotychczas jedyną przysługą, którą czyniła czasem ks. Marcelemu, było grywanie w jego obecności. Postaram się ją namówić, choć prawdę mówiąc, nie mam dziś na nią żadnego wpływu.

— Zrób, co możesz. Kto wie, czy to jej nie uspokoi, nie ocali nawet!

Szczodrowski opowiedział w kilku słowach księdzu o tem, co uradzili z siostrą, wywołując na obliczu paralityka widoczną radość. Położył przy nim modlitewnik

i sam usiadł obok, rozpoczynając z siostrą obojętną rozmowę. W tej chwili weszła Jadwiga.

— Czy nie zagrasz czego, moja Jadziu? — ozwała się nieco niepewnym głosem Wardężyna. — Tak dawno nie słyszeliśmy ciebie.

Młoda kobieta obrzuciła wszystkich badawczem spojrzeniem. Oczy jej zatrzymały się podejrzliwie na Szczodrowskim, potem zmylone wyrazem obojętności, jaki umiał nadać twarzy, prześliznęły się po nieruchomej postaci księdza i wróciły do cioci Monisi uspokojone i złośliwie ironiczne.

— Cóż cioteczka każe? Coś słodkiego, jak karmelek na sacharynie, a pobożnego, jak Ostrobramska litania? Prawda?

I uderzyła w klawisze z niezmierną siłą, miażdżąc je, niby żelaznymi obcęgami. Posypały się dźwięki, podobne do wyrzucanych z moździerza kamieni i do tłuczenia szyb przez rozwścieklony tłum pijaków. Z tego szczęku, hałasu i wrzasku poczęła wreszcie wyłaniać się z całą właściwą sobie furyą Strausowska Salome.

Ciocia Monisia zatkała sobie uszy z przerażeniem.

— Jezus, Marya, — jęknęła po cichu, — a toż to tak właśnie wygląda, jakby dyabli wyprawiali koncert.

Szczodrowski spojrzał na siostrę, przyznając jej w duszy mimowoli racyę. Tak, niewątpliwie, w muzyce tej było coś szatańskiego. Czy w Strausie? chyba nie, ta powódź rozdźwięków może szarpać nerwy, męczyć i nudzić jednych, innym przypadać do smaku: podkładu psychologicznego w niej niema i sama przez się oddziaływać potrafi jedynie na chwilową wrażliwość, nie na

trwały nastrój duszy. Ale w grze Jadwigi było coś, czego nie wzięła z muzycznego dramatu niemieckiego kompozytora, była jakaś potęga, jakaś ogromna boleść i złość, i strach przenikający do głębi, zdolność wydobywania z twardych, bezdźwięcznych tonów uczucia i wrażenia, jakiego nie potrafił w nie zakląć artysta. Coś nie z tego świata szło z tej muzyki. I Szczodrowskiemu zdało się, że to nie Jadwiga gra, ale ktoś inny, i że ten inny w muzyce jej znajduje ujście dla odwiecznej skargi i pogróżki spętanego tytana. I oto tragiczna waśń z przedpoczątka wieków roztacza się znów, jak już tylekroć bywało, przed ludzkimi słuchaczami, łącząc ich tajemniczym kontaktem z tem, co cierpią i o co walczą ze światem...

Szczodrowski wzdrygnął się. Trwoga nagła objęła mu duszę. Poczuł wyraźnie obecność czegoś, co nie miało doczesnego kształtu, ale gdyby miało, widoku tego nie byłoby w stanie znieść ludzkie oko i ludzkie serce. Jakby gnały go furye, zerwał się, chcąc wybiedz. W tej chwili jednak uczuł na sobie przenikliwe, nakazujące spojrzenie. Ksiądz błagał go, ostrzegał, groził. Szczodrowski poddał się. Usiadł na dawnem miejscu i podsunął otwartą książkę pod oczy księdza.

Oczy wpiły się chciwie w pożółkłe od czasu kartki, śladem ich szedł wzrok Szczodrowskiego, który niedostrzegalnym ruchem ust towarzyszył modlitwie paralityka, powtarzając wyraz za wyrazem. Ale w tejże chwili muzyka urwała się w dzikim, rozszalałym akordzie, struny brzękły przeraźliwie i zmilkły zerwane, a parapetowe drzwi, prowadzące do ogrodu i rzeki, rozwarły się nagle, jakby niewidzialną dłonią pchnięte.

Jadwiga zerwała się od fortepianu, odrzucając taburet, który potoczył się w przeciwną stronę pokoju, przewracając po drodze krzesła i rozbijając wazony. Twarz jej blada zazwyczaj, nabiegła krwią; włosy od nagłego ruchu rozwiązały się i opadły w długich, ciemnych pasmach, nadając słodkiej zwykle i łagodnej twarzy podobieństwo do głowy Gorgony. Oczy zczerniały całkiem i zapaliły się w nich pochodnie, a blask świateł tych był tak straszny, że niepodobna było ani przez mgnienie oka wytrzymać ich spojrzenia.

— Ratujcie nas święci pańscy! — krzyknęła z przerażeniem pani Monika. — Dziecko moje, co z tobą?

Ale brat nakazał jej niecierpliwym ruchem milczenie i szepnął, pochylając się do ucha:

— Idź prędko, zawołaj tu kogo z ludzi, o ile niema jeszcze doktora, ani Oświeyki.

I zwrócił znów wzrok na dziewczynę, która stała w środku pokoju wyzywająca, groźna, straszna. Złowrogie jej oczy utkwione były w księdza, który ze swej strony zebrał w spojrzeniu to wszystko, co w nim zostało życia i spojrzeniem tem ciskał w nią, jak żelaznym grotem. Ona zaś przechylała się ku niemu i wyciągała przed siebie dłonie zaokrąglone, jak szpony. Zdawało się, że się rzuci i bezbronnemu wpije paznogcie w gardło, ale za każdym ruchem naprzód cofała się wstecz, jakby ją ktoś odpychał.

I z ust poczynały jej wydzierać się dźwięki chrapliwe, do własnego jej głosu nie podobne wcale.

— Nie mogę! — syczała. — Nie dają! ach, gdy-

bym mogła... Popie przeklęty! te oto ręce zdusiłyby ostatni dech starej piersi!

— Na Boga! co ona? — zatrząsł się dyszkant cioci Monisi, przyklejonej do progu, z którego nie była w stanie się ruszyć.

— Prędzejże! — huknął na nią brat. — Nie marudź! tu może być nieszczęście!

Słowa Szczodrowskiego przeniosły uwagę Jadwigi z księdza na niego.

— Aha, wiem już! Zrobiliście spisek na mnie! razem z tym niedołęgą klechą. Próbujecie ujarzmić mnie klepaniem pacierzy! Ale niedoczekanie wasze!

I szybkim ruchem sięgnęła po rytuał. Szczodrowski trzymał książkę silnie, jakby przewidując, że rozszalała dziewczyna spróbuje mu ją wydrzeć. Szamotali się przez chwilę. Szczodrowski był kilkakroć silniejszy, poczuł jednak wnet, że jej nie dotrzyma. Była w niej moc, przerastająca kilku rosłych mężczyzn. Wreszcie wyrwała książkę i zrobiła ruch, jakby ją chciała rozerwać, wnet jednak podniosła gwałtownie ręce do góry, puszczając rytuał, który spadł na ziemię.

— Parzy! — krzyknęła. — Hu! jak parzy!

I zaciskając dłonie, poczęła niemi wygrażać obu mężczyznom. Z ust jej polał się potok wyzwisk i przekleństw, z których żadne dotąd nie postało jej na ustach.

— Niegodziwi świętoszkowie! myśleliście już zapanować nade mną? nic z tego! mam przeciw wam sposób pewny, jedyny! nie potrafię wam ukręcić karku, bo jest taka siła, która was broni, ale i wy nie potraficie nic przeciw mnie. Umknę wam, umknę!

Wybuchła śmiechem. Śmiech ten iście piekielnem rechotaniem napełnił dom i obejście, rozlał się po ogrodzie, dosięgnął ulicy. Białe zęby szczerzyły się, jak u wilka, włosy skręcały się w wężowe sploty, oczy ciskały błyskawice, a różane usta śmiały się, śmiały...

Szczodrowski stał skamieniały. Miał przed sobą już nie kobietę, którą kochał, piękną, słodką i zasługującą na miłość i nie tą już nawet nową, przewrotną i złą, która objawiła mu się tutaj w dniach ostatnich... Nie, to już nie była ludzka istota: to była larwa piekielna w ciało ludzkie zaklęta na chwilę i ciało to napełniająca okropnością otchłani.

Ksiądz musiał myśleć to samo. W oczach jego był wstręt i gniew i żal i rozkaz. Szarpał się i jęczał. Od wysiłku żyły wystąpiły mu na skroniach, oczy nabrały dziwnego blasku, a bezwładne dotąd ręce poruszały się obecnie, naciskając poręcze fotelu. Próbował się podnieść i na mgnienie oka prawie się to mu udawało, wnet jednak opadał na poduszki bezsilny.

Ale Szczodrowski nie uważał na niego. Uwagę jego pochłaniała Jadwiga, z którą zaszła nowa odmiana. Z twarzy jej ustąpił wyraz gniewu i nienawiści. Oczy podniosły się w górę z wyrazem zachwytu. Promieniała w ekstazie.

— Na wieki z tobą, władco mój, — szeptały usta na pół rozwarte, jak kielich kwiatu. — Przyszła godzina... wołasz mnie... jestem!

I podnosząc obie ręce wysoko ponad głowę, nagłym ruchem zwróciła się ku otwartym drzwiom werandy.

— Idę! — krzyknęła. — Idę! do ciebie, panie mój!

Szczodrowski poskoczył ku niej, próbując ją powstrzymać. Wydarła mu się i w dwóch skokach była w ogrodzie.

— Pomocy! — krzyczał wielkim głosem Szczodrowski, pędząc za nią.

Zza węgła domu nadbiegł stróż i służący, a tuż za nimi zjawili się, lecąc bez tchu, pan Ksawery i Oświeyko. Wszystkich jednak wyprzedzał Szczodrowski, który pędził tuż za uciekającą dziewczyną i zdawało się, że lada chwila ją pochwyci. Ale ona wywijała mu się za każdym krokiem i leciała dalej w swej białej sukni i rozpuszczonych włosach, jak gołąb o ciemnej główce i śnieżnem pierzu. Szczodrowski próbował zabiedz jej drogę, którą biegła wzdłuż lipowej alei ku rzece, ale ona frunęła w bok, szybka, jak myśl i pobiegła gazonem w stronę sadu. Zbliżała się w ten sposób do służby, biegnącej z tamtej strony, która zrozumiała znak dany przez Szczodrowskiego i zastawiła sobą przejście. Zamiast się zmieszać, panienka wybuchła znów śmiechem i pierzchła w przeciwną stronę, prawie w same ręce Oświeyki. Szczodrowski krzyknął radośnie, pewny, że młodzieniec ją pochwycił, tak jednak nie stało się. Dziewczyna wyśliznęła mu się z rąk, jak węgorz, i rzuciła się w przeciwną stronę ogrodu. Tu jednak zabiegł jej drogę Szczodrowski i teraz rozpoczęła się gonitwa tych dwóch ludzi, ścigających dziewczę, jeden od strony rzeki, drugi od strony domu. Doktór zasapany i okryty potem kręcił się w kółko na jednem miejscu, straciwszy całkiem głowę, obok niego dreptała, piszcząc rozpaczliwie i rozkrzyżowując pulchne dłonie, ciocia Monisia.

Wynik gonitwy łatwym był do przewidzenia. Panienka była odcięta od rzeki, o co szło przedewszystkiem, zmęczenie musiało ją niedługo oddać w ręce ścigających. Na razie jednak zmęczenia nie było znać ani śladu. Wyścig czynił ze strony panienki wrażenie zabawy, której oddawała się z zapałem i wesołością. Śmiech jej rozbrzmiewał co chwila srebrzysty i szyderczy. Od czasu do czasu z ust jej wylatywał żart, naigrawający się z daremnych wysiłków schwytania jej. Co chwila nastawiała się jednemu z przeciwników, pozwalając mu się dotknąć i chwycić i zaraz, jak błyskawica, wymykała się dłoniom wyciągniętym dla pochwycenia jej i odlatywała, jak ptak spłoszony.

Szczodrowski czuł, że go opuszczają siły. Nie mógł już uciekającej ścigać tak chyżo i zręcznie, jak z początku, z przerażeniem też spostrzegał ślady znużenia w postaci i zachowaniu się Oświeyki.

— Co będzie, jeśli jej nie dościgniemy i dopuścimy do rzeki? — myślał stroskany.

Przelatywało mu jednak przez mózg, że cała ta gra to może z jej strony tylko krwawy figiel dla dokuczenia i pomszczenia się na znienawidzonych ludziach. Ale przeczucie mówiło mu inaczej. Nie! to nie był przemijający incydent! przeżywali, widział to jasno, ostatni akt tragicznego dramatu.

Ona zaś tymczasem drażniła się z nimi coraz złośliwiej i coraz bezwzględniej, wyzyskując rosnące ich znużenie, którego sama nie zdawała się odczuwać zgoła. Jak uprzykrzona muszka przylatuje wciąż na to samo miejsce, drażniąc spoczywającego na murawie śpiocha,

tak i młoda dziewczyna zdawała się teraz pląsać dokoła swych prześladowców, zbliżając się jednak powoli, ale stale, w coraz to szerszych kręgach do wybrzeża. Wreszcie oddzielał ją już jedynie graniczny żywopłot od kępki mokradeł przybrzeżnych, za którą spadzisty obryw wchodził wprost w nurty Bugu. Jadwiga zaśmiała się znów donośnie, uderzyła w dłonie, jakby z nadmiaru uciechy i jednym skokiem znalazła się na żywopłocie.

Szczodrowski krzyknął rozpaczliwie i zapomniawszy znużenia, rzucił się ku uciekającej. Odpowiedział mu drżący przerażeniem okrzyk Jurka. A równocześnie od strony domu doleciał zgiełk zmieszanych okrzyków, na który mężczyźni, biegnący ku rzece, nie zwrócili uwagi. Gdyby myśli ich były w stanie zająć się w tej chwili czem innem oprócz nieszczęśliwej dziewczyny, którą pragnęli wydrzeć śmierci i gdyby oczy ich potrafiły oderwać się od jej białej postaci, pochylonej nad rzeczną topielą, ujrzeliby rzecz zdumiewającą. Oto bowiem we drzwiach werandy ukazał się nagle ksiądz Marceli w pełni odzyskanej swobody ruchów i wyciągnąwszy naprzód dłonie, kreśląc znak krzyża i wymawiając donosłym głosem słowa modlitwy, począł szybkim krokiem iść ogrodem ku rzece. Doktór biegł za nim, wymachując rękami i wykrzykując radośnie, a z drugiej strony biegła Wardężyna, oniemiała ze zdumienia i dająca wyraz swym uczuciom jedynie klaskaniem w dłonie. Tak podążali we troje spiesznym krokiem w dół, ku miejscu, z którego przed chwilą jeszcze bielała postać Jadwigi, zwieszona nad kępą i obrywem.

Ale zieleń żywopłotu ciągnęła się na krańcach

ogrodu nieprzerwaną taśmą, a rzeka płynęła u jej stóp cicha, tajemnicza, niezwykła oddawać tego, co skryło się w jej łonie.

X.

W chwili, gdy biała postać dziewczyny zsunęła się z żywopłotu i mignąwszy przelotnie nad obrywem, znikła w głębiach rzeki, Szczodrowski bez namysłu rzucił się za nią, a wnet potem uczynił to samo Oświeyko. Ale topielicy nie mogli zrazu odnaleźć. Obydwaj zanurzali się po kilkakroć, rozpaczliwym wysiłkiem szukając, ale szukali daremnie, skrępowani ciężarem odzieży i unoszeni ku środkowi łożyska bystrym prądem rzeki. Gromadka świadków tej sceny, skupiona dokoła księdza Marcelego, patrzała z zapartym oddechem pełna grozy na lśniące w słońcu fale, chcące zda się pogrążyć w swych głębiach już nie jedno tylko, ale trzy ludzkie istnienia. Ksiądz ręce wyciągał nad walczącymi ze śmiercią, modlił się głośno i błogosławił, inni zaś powtarzali za nim słowa modlitwy.

Nagle zaczerniało coś opodal obu płynących i wnet ukryło się w sinej toni.

— To ona! — wykrzyknął doktór, a ksiądz podniósł w górę obie dłonie błagalnym gestem.

Istotnie była to Jadwiga. Szczodrowski i Oświeyko dostrzegli ją również i z największym wysiłkiem zwrócili się ku niej. Czas jakiś borykali się z silnym prądem, który odrzucał ich i pociągał w inną stronę, wreszcie jednak pierwszy przezwyciężył go Szczodrowski i, zbli-

żywszy się do wypływającego znów ciała, pochwycił je w objęcia i począł płynąć do brzegu. Z drugiej strony przybliżył się porucznik i podtrzymał dziewczynę, zwisającą z rąk jego towarzyszowi.

Z brzegu rozległy się radosne okrzyki.

— Uratowana!

— Wracają wszyscy!

— Dopływają! dopływają!

Nagle jednak widzowie spostrzegli, że coś zaszło wśród płynących. Przedewszystkiem ciało Jadwigi, obwisłe dotąd bezwładnie, naprężyło się, ręce uniosły się do góry, a głowa na pół zanurzona stała się w całości widoczną. Wnet potem ujrzano z brzegu, że ocalona poczyna wyrywać się swym zbawcom i szamotać gwałtownie. Obaj mężczyźni wytężyli wszystkie siły, by ją powstrzymać, ale ona zdawała się obdarzona nadludzką mocą. Biła ich, szczypała, kąsała, aż dokoła tego splotu trzech szarpiących się ciał woda zabarwiła się krwią. Szczodrowski i Oświeyko tracili siły. Trzymali się jeszcze ubrania jej i włosów; ciało Jadwigi jednak wyzwoliło się z ich ramion. Zdawało się, że nie trudno już będzie dziewczynie oderwać się od nich. Ale ona zmieniła taktykę. Zamiast wyrywać się i uciekać, pociągała sama widocznie swych zbawców za sobą, płynąc ku środkowi rzeki, gdzie wir był najpotężniejszy.

— Chce ich utopić wraz ze sobą! — krzyknął pan Ksawery.

— Na Boga, co ksiądz robi? — wrzasnęła Wardężyna.

Paralityk zrzucał sutannę i ze zwinnością młodzieńca przesadził żywopłot, chwila jeszcze — był już w wodzie.

— Boże, ratuj go! — jęknął doktór i upadł na kolana.

Teraz nastąpiła chwila straszliwego oczekiwania. Czy jeszcze czwarta ofiara pogrążyć się miała z tamtemi w głębinach? Patrzącym zamarły serca. Oczywistem było, że Szczodrowski i Oświeyko stracili całkiem siły. Czynili już tylko słabe ruchy, by utrzymać się na powierzchni, ale fala unosiła ich bez oporu. W tej chwili jednak ksiądz podsunął się do nich. Płynął swobodnie i szybko, trzymając w górę podniesioną głowę, a oczy mu płonęły. Zwinnym, energicznym ruchem odciął naprzód Szczodrowskiego od Jadwigi, poczem paroma rzutami rąk zbliżył się do Oświeyki, odpychając go od topielicy.

— Do brzegu! — zawołał. — Do brzegu! ja sam z nią poradzę.

Głos jego tak był rozkazujący, a poczucie wyczerpania u obu tak wielkie, że posłuchali bez oporu i poczęli płynąć w kierunku obrywu. Ksiądz tymczasem zrównał się z Jadwigą i pochwycił ją silnie jedną ręką. Dziewczyna krzyknęła rozpaczliwie i spróbowała się wyrwać, zdawało się jednak, że opasujące ją ramię przygniata ją jak żelazo i odbiera wszystką moc. Kilkakroć jeszcze drgnęła konwulsyjnie, potem jęknęła boleśnie i opuszczając w dół głowę, zwisła bezwładnie. W kilka minut ksiądz składał zesztywniałą postać młodej dziewczyny na piasku wybrzeża.

Rzucili się ku niej wszyscy, szukając w tem nieruchomem ciele śladu życia.

— Już po niej! — zapiszczała ciotka Monika. — Nie żyje biedactwo moje.

— Nie żyje! — jęknęli jednym głosem Szczodrowski i Oświeyko.

Doktór nachylił się nad leżącą, szukając pulsu i oddechu.

— Żyje, — oświadczył po chwili; — daj tylko Boże wyrwać ją śmierci, prędzej przynieść mi tu wszystkie koce i kołdry, jakie znajdziecie i wody gorącej. I z pomocą Wardężyny jął rozcierać silnie stężałe członki ocalonej.

XI.

Wieczór zapadał. W pokoju bawialnym, z którego wyniesiono część sprzętów, zastępując je innymi, leżała Jadwiga nieprzytomna, miotana gorączką. Całe gronko mieszkańców starego dworu nad Bugiem otaczało ją, wpatrzone posępnie w twarz jej pobladłą, wychudłą i postarzałą od rana. Doktór trzymał jej rękę czas jakiś, potem opuścił ją i cofnął się o krok z wyrazem smutnego zniechęcenia na twarzy. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu z milczącem pytaniem.

— Kilka godzin jeszcze to potrwa, — odpowiedział. — Może do rana...

— I żadnej nadziei? — szepnęła, składając ręce, Wardężyna.

Pan Ksawery ruszył niecierpliwie ramionami.

— Czy pani sama nie widzi? gdyby choć była przytomność! ale gorączka zjada ją... I gorączka wzmaga się.

Jakby na potwierdzenie słów lekarza, poczęło z chorą dziać się coś dziwnego. Gorączka spotęgowała się naraz, wywołując konwulsye, których gwałtowność rosła z każdą chwilą.

Przymknięte dotąd oczy rozwarły się szeroko i zapłonęły dzikim wyrazem wściekłości, twarz oblała się łuną krwi, kurczowo zaciśnięte dłonie poczęły szarpać bieliznę, rwać włosy, na skroniach, pod wpływem wysiłku, zarysowały się sine żyły. Chora porwała się z łoża i poczęła wyć głosem tak przeraźliwym, że obecnych dreszcz przejął. Oświeyko ze Szczodrowskim podbiegli ku niej, próbując ją obezwładnić, ona jednak odrzuciła obydwóch od siebie, jak silny mężczyzna odrzuca malców, czepiających się jego nóg. I wyskoczyła z łóżka, okryta płaszczem ciemnych włosów o złotym odblasku, rozszalała, straszna.

— To furya! — zakrzyknął doktór. — Trzeba ją powstrzymać, związać, inaczej znów zrobi sobie jakie nieszczęście.

Rozpoczęło się pasowanie i trwało długo. Chora broniła się, szamotała, biła, kąsała. Nieludzki ryk rozlegał się szeroko przez otwarte okno, napełniając strachem przechodniów, a niemałem ukontentowaniem chmarę żydziaków, gromadzącą się dokoła sztachet i zamkniętej bramy, pomimo odpędzania ich przez stróża. Udało się wreszcie wspólnemi siłami wszystkich obecnych obezwładnić nieszczęśliwą i spowić ją prześcieradłami. Le-

żała teraz nieruchoma, grożąc pałającemi oczyma i wydając od czasu do czasu przeraźliwe wycie. Doktór chciał jej dać uspokajający napój: niepodobna go było jednak wlać do ust, tak silnie miała zaciśnięte szczęki.

— Co tu robić, co robić? — załamywał ręce pan Ksawery. — Myślałem, że organizm wyczerpany, teraz jednak widzę, że zapas sił jeszcze znaczny. Powrotu przytomności nie przewiduję, w razie zaś, gdyby stan taki miał trwać przez dni kilka, należałoby z Warszawy sprowadzić pielęgniarkę przy umysłowo chorych... Telegrafować, czy co?

— Wstrzymaj się jeszcze, — rzekł ksiądz. — Pozwól mi spróbować jednego środka. Może będzie skuteczniejszy od lekarskich zabiegów.

Doktór podniósł na niego oczy, ale ksiądz wyszedł. Wrócił za chwilę w komży i stule, z książką i wodą święconą.

Doktór tym razem nie protestował, ani się wyśmiewał. Stał poważny, wzruszony nawet. Ksiądz zaś rzucił na głowę chorej kilka kropel święconej wody i począł odmawiać litanię. Chorą chwycił atak furyi, silniejszy od poprzedniego. Wyprężała się tak, że część więzów rozluźniła się i trzeba było przymocowywać je na nowo.

A tymczasem ksiądz począł odmawiać Psalm. Rozebrzmiały słowa Króla Proroka, pełne ufności i otuchy w pomoc Pańską, mimo nastawań i sideł nieprzyjaciół.

»Zwalcz Panie nacierających na mnie, — wołał

Psalmista. — Powstań dla wspomożenia mego. Niech będą pognębieni ci, co pożądają duszy mojej.

»Niech będą jako proch przed obliczem wiatru, a anioł Pański niech ich zwycięży.

»Boże mój, Boże wejrzyj na mnie: dlaczego opuściłeś mnie«?

I teraz podniosła się ku niebu skarga bolesna przeciw nieprzyjacielowi ujarzmiającemu duszę.

»Dopókiż Panie zapominać będziesz o mnie? Dopókiż odwracać będziesz ode mnie oblicze Twoje?

»Jak długo wynosić się będzie wróg mój nade mną?

»Oświeć Panie oczy moje, bym nigdy nie zasnął w śmierci.

»By nie powiedział nieprzyjaciel mój: Przemogłem nad nim«.

I znów z pełnią nadziei zwracało się błaganie o pomoc przeciw nieprzyjacielowi, ku Władcy świata.

»Obcy powstali przeciwko mnie i mocni pożądali duszy mojej.

»Ale niech powstanie Bóg i niech się rozproszą nieprzyjaciele Jego i niech uciekają od oblicznośći Jego, nienawidzący Go.

»Niech znikną, jako znika dym i jako rozpływa się wosk w obliczu ognia, tak niech zginą w oblicznośći Boga!«

Podczas gdy kapłan słowa te wymawiał, chora pieniła się, bełkocąc niewyraźnie, próbując wyzwolić się z więzów. Robiła teraz wrażenie osoby przytomnej, której nadmiar wzruszenia jedynie przeszkadzał mówić. Ksiądz tymczasem czytał ustępy z Ewangelii, opowiada-

jące o wypędzeniu duchów nieczystych przez Chrystusa i uczniów Jego. Potem zaś zwrócił się wprost przeciw mieszkańcom otchłani.

— »Jak śmiesz, — wołał; — jak śmiesz stać i przeciwić się nieprzyjacielu rodzaju ludzkiego, wodzu śmierci i niszczycielu życia, skoro wiesz, że Chrystus, Pan twój, zniweczy poczynanie twoje?«

Mówiąc te słowa, kładł stułę na głowę chorej, szamoczącej się w konwulsyach.

— »Zaklinam cię, starożytny wężu, — wołał; — zaklinam cię przez Sędziego żywych i umarłych, przez Stwórcę świata i twego własnego Twórcę! zaklinam cię przez Tego, w Którego mocy wtrącenie cię do piekieł, byś bezzwłocznie odszedł od tej sługi Bożej, Jadwigi, wraz z postrachem i z wojskiem wściekłości twojej. Ustąp nie mnie, lecz słudze Chrystusa. Nie sprzeciwiaj się i nie zwlekaj z porzuceniem jej, jakiekolwiek są moje grzechy. Rozkazuje tobie Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch święty!«

Wymawiając te słowa, ksiądz kreślił na czole chorej wielkie znaki krzyża. Ona zaś dusiła się w paroksyzmie rozszalałej wściekłości, aż wreszcie raz jeszcze, w najwyższem napięciu siły, zerwała krępujące ją więzy i usiadła na łożu, rzucając wkoło siebie rozognione spojrzenia i podnosząc zaciśnięte pięści przeciw księdzu z gestem groźby, jakby chciała na niego się rzucić. Twarz jej zrobiła się niemal czarną i była w niej taka groza, że wszyscy obecni mimowoli cofnęli się wstecz. Ale ksiądz nie cofnął się, owszem pochylił się nad nią i ręce trzymające stułę położył na jej głowie.

— *Apage, satana!* — szepnął.

A wtedy z ust młodej dziewczyny wydarł się okrzyk tak straszny i tak wstrząsający, że go wszyscy uczestnicy długo potem mieli słyszeć w ciszy bezsennej nocy. Potem ręce jej obwisły bezwładnie, powieki zasunęły się, krew odbiegła z lica i wolnym znużonym ruchem ciało opadło na poduszki z głębokiem westchnieniem ulgi. A w tejże chwili wszystkim obecnym zdało się, że jakiś prąd zimnego powietrza przeleciał wśród nich i na mgnienie oka, jak błyskawicę, ujrzeli w szarej mgle wieczornej, zalewającej pokój, jakoby sinawy fosforyzujący kłąb posępnego światła, przesuwający się szybko od łoża chorej ku otwartym drzwiom parapetowym. Światło przemknęło wśród nich tak szybko, że nie byli w stanie rozpoznać się w jego kształtach, wszyscy jednak dostrzegli, że kształty te robiły wrażenie pięknej, młodzieńczej postaci w wojskowem ubraniu, jedyny zaś uczestnik urządzanych przez Żarniewicza seansów w postaci tej poznał Henryka Stężyńskiego, przyjaciela i towarzysza broni, takiego właśnie, jakim ukazał mu się kilkakrotnie na tych zebraniach.

Przyszło długie omdlenie. Pan Ksawery przypuszczał, że zakończy się ono śmiercią, ksiądz jednak był innego zdania.

— Muszę ją przecie pogodzić z Bogiem. Opuścił ją nieprzyjaciel: trzeba ją teraz oddać pod skrzydła anioła stróża!

I zasiadł przy jej łożu, śledząc słabe oznaki życia, które zdawało się, że gaśnie co chwila. Nie gasło

jednak, choć oddechu nie było słychać i puls zamierał. Z drugiej strony siedział doktór, podczas gdy Wardężyna kręciła się cichutko po pokoju, pochlipując od czasu do czasu, a Szczodrowski z Oświeyką ukryli się w ciemnym kącie, pogrążeni w myślach.

Minęła już północ. W miasteczku ucichły wieczorne rozgwary. Tu i owdzie odzywały się piejące koguty. Od wsi dolatywało senne poszczekiwanie psów. Przez otwarte drzwi i okna płynęła upajająca woń kwiatów i zieleni, odświeżonej rosą.

Ksiądz modlił się, opuściwszy w dół głowę. Nagle poczuł na sobie wzrok chorej. Spoglądała na niego przytomnie i spokojnie swem dawnem słodkiem spojrzeniem, które przez tyle czasu po jej przybyciu wnosiło w mury pustego przedtem domu, jakby promień słońca.

— Ojcze! — szepnęła. — Czy słyszysz mnie?

Ksiądz pochylił się ku niej.

— Słucham cię, dziecko moje! Czego pragnie dusza twoja?

— Powiedz mi, ojcze, co działo się ze mną?

Ksiądz dotknął lekko dłonią czoła chorej.

— Nie myśl o tem, dziecko! To już minęło i nie wróci!

— Ale co to było? Bo było coś i to coś strasznego. Coś, co w tej chwili jeszcze ściska mi duszę i krew ścina lodem...

— Nieprzyjaciel odwieczny owładnął tobą na krótki czas... Ale odszedł precz pohańbiony. Uspokój się i serce zwróć ku Bogu!

— Tak, ojcze... Bóg moją ostoją... Jego jednego

pragnę... Ale co działo się ze mną przez te ostatnie tygodnie? Mrok jakiś okrywa mi oczy, żelazna obręcz ściska mi mózg, gdy myślę o tem...

— Nie myśl!

— Muszę... Czuję spokój wielki i szczęśliwość obecnej chwili, ale mam też uczucie, jakbym tylko co wyrwała się z jakiejś otchłani ognia... Jestem uratowaną, prawda?

— Jesteś, dziecko moje, jesteś!

— Ach, to dobrze! — westchnęła z uczuciem ulgi i uśmiech radości przeleciał jej po twarzy. — Jak dobrze!

Zmilkła na chwilę, a potem zagadnęła znów.

— A pojednać się z Bogiem moim mogę?

— Możesz, dziecko.

— Prędko?

— Zaraz, jeśli chcesz!

Znów uśmiech rozjaśnił bladą twarz. Obecni wyszli z pokoju. Przy chorej pozostał ksiądz Marceli.

Świt rumienił już kraniec widnokręgu i ukryte jeszcze słońce zapalało wśród zielonej gęstwy drzew pierwsze swe promienie, kiedy ksiądz Marceli kończył mszę w domowej kaplicy. Do mszy tej służył mu brat, pogodzony na zawsze z nim i z Bogiem. Po mszy kapłan zbliżył się z kielichem w dłoni do Jadwigi, którą podtrzymywała Wardężyna ze Szczodrowskim.

— Przyjmij Wiatyk, Ciało Jezusa Chrystusa! — rozległy się słowa kapłańskie i poświęcona Hostya spoczęła na ustach młodej kobiety.

15.-

A wstające słońce rzuciło na wybladłą twarz konającej wielki snop złota, strojąc ją wspaniałą gloryą blasków, na znak, że skończoną już została próba, że rozpierzchła się niepowrotnie ciemność, i że duchy otchłani odegnane zostały na zawsze i zwyciężone kosztem ofiary jednego życia i paru serc.

KONIEC.

I.13.131

Pow. Biblioteka Centr.
Nr.....
w Inowrocławiu

akc. 235/65 W

1333

PUBLIC
BIB
1332

I
13.131